

MAGDALENA CIEŚLIK

# HISTERIA



NOVAE RES

MAGDALENA CIEŚLIK

# HISTERIA



**NOVAE RES**

„Ponoć taki drobiazg jak trzepot skrzydeł motyla  
może spowodować tajfun na drugiej półkuli”.

*Efekt motyla*

*Michałowi*

## SPIS TREŚCI

[Prolog](#)

[Rozdział I. Amanda](#)

[Rozdział II. Adam](#)

[Rozdział III. Sebastian](#)

[Rozdział IV. Suchorowski](#)

[Rozdział V. Mikołaj](#)

[Rozdział VI. Barbara](#)

[Rozdział VII. Ewa](#)

[Rozdział VIII. Sandra](#)

[Rozdział IX. Ostatni](#)

[Epilog](#)

## PROLOG

Świat tworzy spójną, ogromną iluzję normalności, która rozciąga się od Oceanu Spokojnego na jednym krańcu, nieopodal kraju wojny secesyjnej i tłustych hamburgerów, przechodząc przez kuchnię pełną wina i żabich udek, brytyjski akcent aż po wiecznie młodych czarnowłosych tokijczyków z zamiłowaniem do minimalizmu. Wszechogarniający fałsz szczypie w oczy, które coraz mniej chcą patrzeć na niedoskonałość tego, co przecież ciągle dąży do perfekcjonizmu. Każdy z nas jest na siłę wciśnięty, jak sardynka w puszkę, w pewien fragment czasu ziemskiego, gdzie niemal pod każdym, oczywiście wypowiedzianym dyplomatycznie, słowem kryje się ironia i sarkazm. Bez krzty zaufania patrzymy sobie na ręce, dzień po dniu tracąc wiarę w bezinteresowność. A trzeba właśnie w tych czasach, wypełnionych po brzegi techniką, ulokować emocje prawdziwe, soczyste, obfite, które wyrywają się na wolność i chcą zastąpić sztuczne mechanizmy, ubóstwienie metalowych krążków i nietrwałych papierków z małymi portretami królów, którzy z pewnością wnosili kiedyś o wiele głębsze wartości. Trzeba szukać tego najważniejszego uczucia, wiecznie tłumionego, a najbardziej pożądanego, które nie może znaleźć sobie miejsca w tej dwulicowości i kłamstwach będących dla niektórych ludzi nawykiem trudnym do zlikwidowania. Miłość. Słowo urywane, niedopowiedziane, mające mnóstwo trafnych definicji. Co w niej jest niepotrzebnego, dlaczego ucieka się od niej jak od chorego na zaraźliwą przypadłość? Przecież nie jest zarezerwowana tylko dla pisarzy z pokolenia *Cierpień młodego Wertera* ani scenarzysty

jednej z wieloodcinkowych telenowel, które wciągają jak paczka słonych orzeszków. Miłość to nie przywilej „uczuciowców” płaczących po kątach z powodu uświadomienia sobie swojej marności i beznadziejności. Ale niektórzy tworzą wokół siebie twardego mur z najprzeróżniejszych cegiełek: niezależności, samowystarczalności, strachu... Może i wydaje im się, że chcą mieszkać w tym swoim zamku, ale gdy zobaczą w małym okienku najwyższej wieży, jak koło ich fosy spaceruje szczęście w idealnych parach, dotrze do nich, jak wiele tracą przez swój egoizm, a w ich głowie pojawią się dwa słowa ociekające tragizmem: „Za późno”. W ich zmarnowanym życiu pojawią się same nieszczęścia, które będą chodzić w kwartecie. Czy warto budować tamę dla rzeki obfitującej w miód i mleko?

28 października 2016, piątek

*Często boję się zwykłego odrzucenia. Nieakceptacji. Powiedzenia nieśmiesznego żartu i tej wstydlivej ciszy zaraz po. To jest zabijający strach. Boję się mówić o tym, co we mnie siedzi, bo być może nie jest to wcale tak dramatyczne, jak to słyszę w swoich myślach. Choć coś mnie rozsadza od wewnątrz, napiera na przepalone płuca, choć nie umiem sobie poradzić z tymi zabójczymi myślami w głowie – nic im nie powiem. I czuję tę obrzydliwą satysfakcję, kiedy kolejny dzień mija mi bez wyżalania się, bez łez, bez otwierania się przed innymi. Ufam tylko sobie. Ba, zresztą czasem i sobie samej nie ufam. Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć? Już za późno. Nie mogę z tym żyć. Oni będą mogli. Oni nie wiedzą, że dla mnie są martwi, dla mnie ich nie ma.*

*Nie znam się tak dobrze, jak bym chciała. Nie miałam czasu*

*ze sobą porozmawiać, nie wiem, jakie lody lubię najbardziej i w jakiej pozycji najwygodniej mi się śpi. Ani który gatunek filmowy jest najbliższy memu sercu. Chciałam najpierw uporządkować dokładnie swoje zabałaganione wnętrze, ale musiałam działać szybko, póki wszystko było we mnie takie świeże. I czy powinnam się przejmować innymi, zdając sobie sprawę, że oni niczego nie wiedzą i fałszują moje życie? Czy ważne jest, co inni o nas myślą? Czyż nie taki jest sens w życiu? Chyba właśnie tak. Żyjemy wśród ludzi i dla ludzi... Czy trzeba im się podporządkowywać, przestawić na ich myślenie? Każdy z osobna, a jednak razem. Jednostka nic nie znaczy, ale bez jednostki nie ma zbiorowości. Nie podbiję już świata. Nic w nim dla mnie było.*

*Zaryłam mocno, bardzo mocno. Uderzyłam samym sercem o dno. Wypadło z mojego ciała. Rozsypało się na kawałki. Zbieram, zbieram je szybko i wracam na górę. Poczekają na lepsze jutro. Tak bardzo ich nienawidziłam, ale teraz życzę im jak najlepiej. Bo dla nich wciąż jest nadzieja...*

Czytała ten fragment już chyba dwudziesty raz, wciąż jednak wzbudzał w niej te same uczucia, ten sam przenikliwy żal. Najpierw niedowierzanie, potem złość, później nieustanna zgryzota. Z każdym kolejnym podejściem do tej krótkiej lektury gorycz pogłębiała się coraz bardziej, jakby nie istniała żadna granica, która mogłaby powstrzymać jej wyniszczające skutki. Łzy spływały po jej rozgrzanych policzkach, nie przynosząc żadnej ulgi; każda następna strona powodowała kolejny potok z jej oczu. W tych małych kropelkach chciałyby zawrzeć cały swój smutek, jednak był on tak wielki, że musiałyby wypełnić nimi wszystkie rzeki świata, aby poczuć choćby namiastkę radości. Trzymała

w ręku mocno wyświechtany już kawałek papieru, na którym widniało kilkadziesiąt słów pisanych czarnym długopisem zostawiającym niewielkie kleksy. Pozornie nieważny ciąg wyrazów, które nie zwiastują nadchodzącej tragedii. Wydarzyła się tak nagle jak oberwanie chmury w upalny dzień. Dopiero gdy czytelnik pozna całą historię, zdaje sobie sprawę, jak mały fragment może wzbudzać skrajne odczucia: niedowierzenie, potępienie, nienawiść, zrozumienie...

Zawsze skrzętnie dochowywała tajemnicy korespondencji. Wyznawała złotą zasadę „nie wtrącaj się w nie swoje życie”. Jednak w tym przypadku to życie już się skończyło, a nikt nie znał prawdziwego powodu jego kresu. Czyżby tylko wyrzuty sumienia? Ona jedna wiedziała o pamiętniku trzymanym pod obłuzowaną deską pod łóżkiem. Chciała znaleźć wyjaśnienie tego nieoczekiwanego ciosu zadanego jej i wielu innym zszokowanym ludziom, którzy mieli choćby przez chwilę styczność ze zbyt wcześnie zmarłą dziewczyną. Nie mogła uwierzyć, jak perfekcyjnie można ukryć swoje prawdziwe uczucia i zamiary pod maską normalności. Ze ściśniętą w dłoni kartką z pamiętnika pierwszy raz od kilku dni usnęła snem twardym i mocnym, słysząc jakby w oddali płacz małego dziecka. Zasnęła z delikatnym uśmiechem na ustach. Ona miała dla kogo żyć...

Pogrzeb to jedna z tych uroczystości, na którą chadza się raczej z przymusu i konieczności, bez specjalnego entuzjazmu. Każdy najmniejszy żart (argumentowany rozładowaniem atmosfery) uchodzi za brak szacunku. Większość obecnych popada w zadumę, myśląc o swojej marnej egzystencji, analizując popełnione błędy i obiecując sobie w duchu ich poprawę. Takie refleksje pojawiają się, gdy patrzymy na pięknie wyszlifowane



drewno obłożone z każdej strony kilkunastoma bukietami przepięknych kwiatów. Można wtedy dojść do wniosku, że człowiek jest otoczony takimi wspaniałościami, jakich podczas życia nie było mu dane doświadczyć.

Płakali niemal wszyscy. Mały, niewiele rozumiejący Staś, jak i zawsze oschły i nieczuły dziadek. Każde kolejne słowo pocieszenia przynosiło znowu potoki łez, sprawiało klucie w sercu. Pobożne pieśni nikły gdzieś w wybuchach rozpacz i głośnych pochlipywaniach pod nosem, gnając razem z silnym wiatrem, zgrabnie omijającym kilkadziesiąt ciemnych płaszczy i kurtek trzęsących się niekoniecznie z zimna. Młode dziewczyny zebrały się w jeden szereg, zawodząc najgłośniej, co miejscami wydawało się bardzo nienaturalne. Wszyscy obecni mężczyźni starali się chować swoje prawdziwe emocje pod przykrywką sztucznej powagi, jednak wielu z nich z trudem powstrzymywało drżące nozdrza, a niejeden uronił kilka słonych kropel, nie zmieniając jednak przy tym wyrazu twarzy. Lekko błyszcząca trumna stała na środku starego kościoła wraz z estetycznie podpisanymi wieńcami. Niczym gwiazda estrady. Kazanie było krótkie, zwięzłe i trafne. Ksiądz, podstarzały, niemal inwalida, z pewnością wypalił się już na polu teologicznym albo zwyczajnie w świecie nie miał powołania, a wybrał taką, a nie inną profesję z niewiadomych powodów. Nie łączył się w bólu i cierpieniu ani ze zrozpaczoną matką, ani z tłumem przyjaciół zmarłej, którzy na tę śmierć z pewnością nie byli gotowi. Wydawał się nawet lekko poirytowany. To był już drugi pogrzeb w tej rodzinie, proboszcz dokładnie pamiętał, jak kilkanaście tygodni temu u progu ołtarza leżała osoba o tym samym nazwisku, a zamknięta teraz w czterech drewnianych ścianach dziewczyna już wtedy wyglądała jak widmo człowieka.

Życie nas zawsze zaskakuje. Kiedy myślimy, że nic więcej się nie wydarzy i do końca naszych dni będzie nam towarzyszyła monotonia, te same rutynowe czynności bez żadnych ekscesów i spontaniczności, nagle przychodzą sytuacje, które burzą naszą spokojną wegetację i sprawiają, że stajemy w obliczu nieznanych spraw. Tak rodzą się kłopoty, stresujące momenty i wybuchające znikąd kłótnie. Gdybyśmy mogli żyć zawsze tak samo, trwalibyśmy w spokoju o jutro bez zbędnego strachu. Ale na szczęście nikt nie chce tak żyć. Ludzie potrzebują problemów do rozwiązywania, chwil, w których się płacze, sytuacji wywołujących salwy śmiechu, ciekających kranów do popołudniowych napraw, rozwodów do otwierania nowych rozdziałów życia... Ale nikt nie chce śmierci, końca wszystkiego ziemskiego, ostatniej strony naszej życiowej książki. A to właśnie śmierć przychodzi niespodziewanie. Bez znaczenia, czy umiera sędziwy staruszek, który zdecydowanie zasługuje już na godny odpoczynek, czy młoda dziewczyna, która dopiero poznaje życie, ma określone plany i marzenia, jest otoczona ludźmi, którzy ją kochają.

Mikołaj Nastecki stał na samym tyle kościoła, opierając się o filar i obserwując wszystkich zebranych wiernych. Jak wyglądałby ten pogrzeb, gdyby znali prawdę, którą trzymał razem z kilkoma wtajemniczonymi osobami, aby pozwolić na spokojny pochówek?

## Amanda

Słońce powoli wędrowało za horyzont. Całe ciepło coraz krótszego zresztą dnia gdzieś uciekało, być może zabierane wraz z silnym wiatrem, który z minuty na minutę dął coraz mocniej, rozwiewając grzywki roześmianym dziewczynom i porywając zwiewne chustki z głów starszych pań. Właśnie nadchodził czas, kiedy wszystkie lampy na starym, zabytkowym rynku zapalały się, tworząc w jednej chwili uroczy widok, pełen romantyzmu i wyczuwalnej podniosłej atmosfery. To bardzo zastanawiające, jak w jednym momencie nieciekawym, zrujnowanym plac z cenionym (zupełnie niezrozumiale) przez połowę mieszkańców ratuszem pośrodku, z dziurą w co trzeciej płycie chodnikowej, zmienia się w krajobraz rodem z centrum Paryża. Wszechobecne uszczerbki na drodze, spadający tynk i amatorskie graffiti wygolonych na лыso postawnych mężczyzn przestają się liczyć.

Sandra potknęła się o uszkodzoną płytę chodnikową. Zakląła siarczyście. Nigdy nie lubiła, kiedy coś toczyło się wbrew jej planom i zamierzeniom, nawet jeśli chodziło o zwykłe obejście placu rynkowego. Doszła do miejscowego centrum handlowego, chyba jedyne znanego jej skupiska lokalnej ludności. Mnóstwo ubłoconych samochodów, niemal wszystkie niewiele młodsze od niej, w co piątym fotelik dla dziecka. Przed wejściem chłopiec w rozdartej kurtce i blizną na brodzie sprawdzał działanie automatycznych drzwi, wchodząc i wychodząc ze sklepu, raz po raz stając pod różnym kątem do czujnika ruchu. Cóż, okazały się niezawodne. Sandra weszła do środka, obrzucając chłopca

wymuszonym uśmiechem. Widziała ją już z daleka, obserwowała, jak niecierpliwie stuka paznokciami o szklany blat, przyglądając się bajecznie drogim pierścionkom, na które prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić. Zauważyła niechłujnie nałożony lakier w kolorze niemal tak intensywnym jak jej jaskrawozielony płaszcz. Wzięła głęboki oddech i z impetem wkroczyła do sklepu jubilerskiego. Amanda Suchorowska od razu odwróciła ku niej głowę.

- Cześć, już jesteś. - Sandra udawała lekkie zaskoczenie punktualnym przybyciem przyjaciółki.

- Tak, czekam już z dziesięć minut.

Wiedziała, że kłamie i jak zwykle wyolbrzymia, chcąc wyjść na kobietę zorganizowaną. Już zaczynała ją irytować. Rzuciła okiem na jej twarz. Nieprawidłowo nałożony fluid mocno odcinał się na linii zuchwy. Rzęsy lekko muśnięte tuszem, miejscami posklejane ze sobą. Jedynie brwi były idealnie wymodelowane, zgodnie z obowiązującymi trendami. Co się stało z jej idealnym makijażem, który tak chętnie wszystkim pokazywała?

- Dobra, jak już jestem, to możemy iść.

- Czekaj, patrzę na... - Amanda ucięła w połowie zdania i kiwnęła na lśniąca biżuterię, jakby bojąc się wypowiedzieć słowa: „pierścionki zaręczynowe”.

- A co, zamierzasz się komuś oświadczyć? - Sandra zażartowała, szczerząc zęby.

Przyjaciółka obrzuciła ją karcącym spojrzeniem, dając do zrozumienia, że nie jest jej do śmiechu.

- Nie sądzę, by którykolwiek z pierścionków mógł poważnie nadszarpnąć jego budżet - powiedziała poważnie, otwierając szeroko oczy i potrząsając głową, jakby chciała dodać: „więc nie rozumiem, czemu jeszcze go nie dostałam”.

Sandra zamknęła oczy, nie mając zamiaru się odzywać. Obsesja Amandy na punkcie małżeństwa stawała się coraz bardziej męcząca, zwłaszcza dla niej. Wiedziała, że jest jej jedyną powierniczką. Rozejrzała się po sklepie i odrzekła:

- Wiesz, popatrzę trochę na zegarki...

- No co ty, daj spokój, idziemy! - Sandra mocno wypuściła powietrze nosem na znak irytacji, po czym zaśmiała się głośno. Zawsze rozbawiał ją widok zezłoszczonej z byle powodu przyjaciółki. Patrzyła, jak jej blondwłosa towarzyszka ostentacyjnie wychodzi ze sklepu niczym urażona klientka.

Amanda spojrzała potępiającym wzrokiem na koleżankę. Widok rozweselonej ciemnowłosej przyjaciółki spowodował u niej ukłucie zazdrości. Tak, Sandra Majkowska była bardzo ładna. Może nie od razu „piękna”, może nie zwracała uwagi każdego mężczyzny na ulicy, ale rzeczywiście wyglądała nieźle. Szczupła, bardzo zgrabna, właściwie o idealnej figurze. W jej delikatnej twarzy uwagę zwracały przede wszystkim oczy. Błyszczały z odległości metra. Wyrażały każdy jej stan emocjonalny. Śmiały się i smuciły razem z nią. Ale nigdy nie płakały. Nikt nie widział Sandry zapłakanej ani nawet delikatnie wzruszonej. Nie pokazywała swoich uczuć na zewnątrz. Wszystko trzymała w sobie, budując w głębi siebie swój inny świat. Mimo to nikt nie myślał o niej źle, nikt nie mówił, że jest niewzruszona czy bezduszna. To była po prostu zamknięta w sobie Sani. Po chwili zaczęły rozmawiać ze sobą na różne błahe i idiotyczne tematy, które stanowiły jedynie wypełniacze pustki między kolejnymi westchnięciami i chrząkaniami. Usiadły na swoich stałych miejscach w zatłoczonej kawiarni. Amanda zaczęła opowiadać, jak to miała w zwyczaju, o sobie. Sandra czasami podczas jej słowotoku przestawała słuchać, wiedząc, że może sobie na to

pozwolić, gdyż pytań w tym monologu było zadziwiająco niewiele. Nawet jeśli padły, mogły śmiało pozostać bez odpowiedzi.

Majkowska skrupulatnie analizowała twarz koleżanki. Przerazało ją, ile rzeczy uznawała w niej za denerwujące. Prawe oko miała znacznie mniejsze od lewego. Blizna pod nosem uderzająco przypominała niewytarty smark, a czerwonych plam na policzkach nie dałby rady przykryć żaden puder. Na dodatek nieestetyczny pieprzyk na brodzie dodawał jej twarzy dziwnej śmieszności. Amanda jednak uważała się za osobę nieprzeciętnie ładną, a w atrakcyjnym stroju nawet wyjątkowo piękną. W kawiarni spędziły prawie dwie godziny. Żadna z nich nie określiłaby tego czasu jako przyjemny. Dlaczego zgodziły się na spotkanie? Obie chciały jedynie na siłę wypełnić obowiązek, który wynikał z ich długoletniej znajomości. Sandra pośród wszystkich swoich wad, z których świetnie zdawała sobie sprawę, miała jedną, którą od zawsze starała się wytepić, ale była ona jak chęć jedzenia podczas rygorystycznej diety - nie do pohamowania. Sandra czuła, że brakuje jej konsekwencji. Zgadzała się na wszystko bez konkretnego powodu, nie potrzebując choćby błahego argumentu. Tłumaczyła sobie, że nie lubi zawodzić ludzi i chce im zrobić przyjemność, jednak prawdziwy powód takiego zachowania tkwił w jej niedowartościowanej naturze. Godziła się na wszystko, czego oczekiwali od niej inni, bo chciała podnieść poziom swojej przydatności. Wydawało się jej, że dostanie w prezencie więcej satysfakcji z życia. Tak nigdy się nie stało, ale uleganie innym przerodziło się w nawyk.

W oczach Amandy Sandra jawiła się jako lekko znudzona życiem. Nie wprowadzała do jej cennych godzin żadnego urozmaicenia. Z kolei ta druga uznawała swoją przyjaciółkę za dziecinną i nieodpowiedzialną, a jej beztroskie zwyczaje były dla

niej trochę wymuszone.

Sandra lubiła małą knajpkę niedaleko największego w ich mieście kina, a Amanda przepadała za kawiarnią na najwyższym piętrze w centrum handlowym. Ostatecznie, drogą kompromisu, jako miejsce pozadomowych spotkań wybierały ciasną, ale przytulną pizzerię niemal na obrzeżach miasta. Żadna z nich nie była stuprocentowo zadowolona z takiego wyboru, ale nie wypowiedziały tego głośno, trzymając się zawartego porozumienia. Tego gorącego popołudnia siedziały przy ostatnich już kawałkach włoskiej pizzy. Dyskretnie masowały się po wypełnionych do granic możliwości brzuchach, które wylewały się znad przyciasnych spodni, mocno opiętych na biodrach i ściśniętych przez skórzane pasy. Omawiały bieżące sprawy, wyrażając swoje – najczęściej odmienne – zdanie na każdy temat. Kiedy zaczęły kończyć się tematy, Amanda powiedziała:

- OK, odprowadzisz mnie, proszę, na autobus? Muszę już spadać, wiesz...

Sandra nie wiedziała, ale ochoczo pokiwała głową, może trochę zbyt entuzjastycznie. Czas oczekiwania na przystanku wypełniały przyjaciółkom głównie niezliczone spojrzenia na zegarek. Sandra lubiła towarzystwo, ale czekała, by Amanda jak najszybciej już pojechała, zostawiając ją sam na sam z jej myślami, których miała aż za dużo. Autobus przyjechał z dziesięciominutowym opóźnieniem. Sandra pożegnała się wystarczająco czule i szybkim, bardzo energicznym krokiem, przypominającym niemal bieg, udała się w stronę antykwariatu oddalonego prawie dwa kilometry od przystanku. Po kwadransie, zasapana i nieprzyjemnie spocona, otworzyła drzwi bardzo obskurnie wyglądającego lokalu. Zaskrzypiały tak głośno, że wydawało jej się, że uruchomiła jakąś ogromną maszynę, jeszcze



z epoki średniowiecza. Średniowieczne z pewnością było wnętrze sklepu.

- Dzień dobry. Jest pan Kazimierski?

Gruby brodaty starzec zmierzył ją od stóp do... pasa. Nie spojrzał jej w oczy, jakby traktował ją jak legendarnego bazyliuszka albo jego wychowanie nie pozwalało patrzeć na biust młodej kobiety. Wskazał bez słowa drzwi na prawo. W środku można było zobaczyć właściwie tylko trzy główne obiekty: starca, książki i te właśnie drzwi.

- Dziękuję.

Nacisnęła mosiężną klamkę i przeszła dalej.

- Ach, Majkowska, tak?

- Tak, proszę pana.

Ten pracownik był o wiele miłszy. No, niezupełnie pracownik. Właściciel antykwariatu. Podobno miał tyle samo lat, co recepcjonista (jak go powszechnie nazywano), ale Sandra dałaby sobie rękę uciąć, że na pewno był o wiele młodszy. Takie miało się wrażenie, patrząc na jego wesołe spojrzenie, bładoniebieskie błyszczące oczy i bujne, choć kompletnie siwe włosy. Sandra najbardziej lubiła jego kurze łapki obok oczu. Prawie zawsze patrzyła na ten detal, kiedy poznawała nowych ludzi. Wtedy od razu wiedziała, czy ktoś ma poczucie humoru, czy nie. Zazwyczaj trzymała się z dala od gburowatych osobników, a właśnie tych kilka zmarszczek stanowiło dla niej najlepszy wyznacznik. Każdy dzień bez śmiechu to dzień stracony. Ona tej zasady trzymała się kurczowo. Śmiała się za dużo, za często, a czasami nawet na przymus. Ot, tak dla zasady. Albo z nawyku. Zresztą nawyków miała ogromną ilość. I wciąż dodawała sobie nowe. Tak, tak, po prostu dodawała. Wymyślała nowe nawyki i dodawała je sobie na konto. Z powodów różnych i niebanalnych. Albo dla urozmaicenia



szarości życia, albo dla rozwoju osobistego. Rozwój bardzo sobie ceniła. Codziennie chciała być przecież coraz lepsza, coraz bardziej doświadczona. Doświadczenie zdobywa się z wiekiem, często przypadkowo i mimowolnie, ale ona nie starała się dojrzewać na siłę. Sądziła, że to potrzebne, tak jakby chcieć przeżyć dwa życia naraz. Nie brakowało jej czasu. A to przecież dla niej dobrze, że nie miała zmarnowanych chwil, które musiałaby szybko wypełniać, aby nie odczuwać niepotrzebnego marnotrawstwa.

- Co tym razem? Sprzedajemy, kupujemy?

Popatrzyła na niego chwilę, aby dodać sobie powagi. Nie wiedziała, czy udało się ten zamiar osiągnąć, ale dla jeszcze lepszego efektu powiedziała niskim tajemniczym tonem:

- Tym razem chcę coś sprzedać.

Uniósł brwi ze zdziwienia. Na pewno nie zdziwił go jej ton ani ta chwila ciszy. Pytanie wydawało mu się niemal retoryczne. Ta brązowowłosa nastolatka chyba od czterech lat przychodziła dosyć regularnie do jego antykwariatu. Zawsze po to, aby kupić jakąś ciekawą (bo przecież tylko takie ją interesowały) książkę. Najlepiej napisaną przez mężczyznę. Tłumaczyła się, że chce poznać męski punkt widzenia, bo kobiecy już zna.

- Chcesz sprzedać? A co ciekawego masz do zaoferowania?

Poruszyły się w końcu jego kurze łapki i uwidoczniły w całej okazałości sztuczne zęby. Majkowska mimowolnie też się uśmiechnęła.

- Wszystko, co mam.

- Wszystko?

- Wszystko.

- Wszystko, co tu kupiłaś?

- Tak. I wszystko, co miałam wcześniej... albo kupiłam gdzie

indziej.

Zaczerwieniła się, jakby wstydząc się tego, że kupowała jeszcze w innym miejscu niż jego sklep uznawany w całym mieście za najlepszy. Miała minę zbitego psa, który zdradził swojego właściciela, jednak profesor Jan Kazimierski zauważył zmianę jej wyrazu twarzy i szybko powiedział:

- No tak, tak, rozumiem. Wszystko, co masz, co kiedykolwiek kupiłaś.

- Albo dostałam!

- Albo dostałaś... - Zaśmiał się niskim, ale melodyjnym śmiechem. - Czy mogę zapytać, dlaczego znawczyni niemal wszystkich największych męskich dzieł i największa młoda fanatyczka czytania, jaką znam, chce sprzedać cały swój bibliotekarski dobytek?

- Tak, może pan.

Usiadła na twardym, odrapanym krześle i zaczęła opowiadać. O swoim nowym pomysle na siebie i zaczynających się nazajutrz warsztatach.

Amanda miała w głowie tylko jeden cel: dojechać do centrum. Oddychała bardzo płytko i starała się nie włączać nosa w ten proces, bo zapachy unoszące się w miejskim autobusie mogłyby poskutkować sporą dawką wymiocin. Czuła fasolkę po bretońsku, trzydniowe skarpety, brak antyperspirantu i wczorajsze kamikadze przeplatane kuflami piwa. Jej wyczulenie na zapachy przysparzało samych kłopotów. Czuła się jak bohater filmu, który wczoraj pobieżnie obejrzała - miał możliwość słyszenia wszystkich ludzkich myśli. Choć wydawać by się mogło, że jest to niewątpliwa zaleta, na dłuższą metę stało się to nie do zniesienia. Zresztą kto chciałby tak naprawdę znać myśli wszystkich ludzi?

O tym, jak wkręcić dzieciom szpinak do obiadu, dlaczego wczoraj całowałam się z tym prawie bezzębnym chłopakiem, jak to mi się nie chce stać dziesięć godzin za ladą sklepową, ile kosztuje naprawa ekranu do nowego samsunga, czy właśnie dostałam okres, czy to tylko przez ten upał?! Dochodzące do niej kolejne olfaktoryczne doznania - na wpół uschnięte frezje i dopiero co spalony papieros - wołały porcje rzygowin, które pałętały się już gdzieś w okolicach przełyku. Nagle poczuła zawrót w głowie i uświadomiła sobie, że ma déjà vu. Wiele o nim słyszała, ale nigdy nie doświadczyła, aż do dziś. Pomyślała o tym, że to już było. To déjà vu czy wspomnienie? Popatrzyła na numer autobusu. Nie, to nie ten co wtedy. Pamiętała, jak go poznała...

*Stała na przystanku krótko, oczekiwany autobus przyjechał punktualnie. Usiadła na pierwszym możliwym miejscu obok zakapturzonego chłopaka. Muzyka. Słuchawki w jej uszach miło drgały, najgłośniej, jak tylko można. Amandzie zawsze wydawało się, że jest o wiele za cicho, jednak nie mogła walczyć z techniczną stroną jej odtwarzacza, przyjmowała z przykrością taki stan rzeczy. Znane jej melodie były jak miód na serce. Przez krótkie trzy minuty tkwiła w innym, własnym świecie, dokładnie taka, jaką chciała być. Z muzyką mogła się budzić i zasypiać. To jej najdłuższy związek, najbardziej namiętny kochanek, najwierniejszy towarzysz.*

*- Można posłuchać?*

*Wzdrygnęła się lekko. Twarz chłopaka w kapturze zbliżyła się na zaledwie kilka centymetrów.*

*- Słucham?!*

*- Pytam, czy mogę posłuchać. - Uśmiechnął się zawadiacko, jakby opowiedział żart, którego ktoś nieinteligentny nie potrafi pojąć.*

- Yyy... No tak, tak...

Nie wiedziała, co dokładnie miałaby mu odpowiedzieć. Wydawało jej się dziwne, że zupełnie nieznajomy człowiek skrada jej chwile intymności z muzyką. Ma się dzielić swoim małym światem z jakimś obcym chłopakiem, którego po raz pierwszy w życiu zobaczyła kilkanaście minut temu? W głowie chciała szybko ułożyć ciętą ripostę, która zmaszałaby z jego przystojnej twarzy głupi uśmieszek pewności. Dobrze wiedziała jednak, że wszystko, co chciała powiedzieć w danej chwili, przyjdzie dużo później, kiedy już zabraknie jej rozmówcy. Wyciągnęła słuchawkę i podała mu.

- Proszę.

Zdjął kaptur, włożył drgający sprzęt głęboko do ucha i zamknął oczy. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Patrzyła na niego z lekkim rozbawieniem, trochę zbita z tropu.

- Przepraszam bardzo, czy ty spałeś z hakiem w ustach?

Zaśmiał się trochę za głośno, ale nie skomentował tego. Z dudniącą słuchawką zamknął oczy i rozłożył się na siedzeniu jak w najwygodniejszym fotelu w najlepszym salonie meblowym. Uznała to za trochę bezczelne i nie zamierzała iść w jego ślady. Siedziała do końca drogi wyprostowana jak struna, nie mogąc się już na niczym normalnie skupić, tym bardziej na słuchaniu piosenek w jednej słuchawce, która jej pozostała na końcu napiętego kabla. Chłopak wyglądał, jakby się świetnie bawił, podrygiwał w rytm, a jego ręce wybijały stosowne tempo. Strasznie ją denerwowała ta jego nie wiadomo skąd biorąca się beztroska. Ale obiecała sobie, że dotrwa do końca trasy i nie wyrwie swojego ulubionego sprzętu z jego małżowiny usznej. Nieważne, jak bardzo miała ochotę to zrobić. „Jeszcze dwa przystanki”. „Jeszcze jeden, jeden dłuższy”. „Ha, koniec!”

*- Przepraszam, wysiadam.*

*Otworzył oczy.*

*- A tak, tak, proszę.*

*A dziękuję?! Wysiadła, potykając się o własne nogi, za co się głośno w duchu skarciła. Chciała wyjść z całej sytuacji z podniesioną głową, odrzucając włosy do tyłu, a zamiast tego ledwo zdążyła wysiąść z powodu nadgorliwości kierowcy i własnej bezradności. Była już na świeżym powietrzu i zaczęła przebierać nogami najszybciej, jak się dało, żeby dotrzeć do szkoły, osiągając wręcz fazę biegu. Policzki jej płonęły, pod nosem ciągle powtarzała parę dobitnych zdań:*

*- Co za pajac! No, idiota.*

Zaspana i nieestetycznie spocona, dosłownie wpadła na swoją znajomą, koleżankę ze starej klasy. Nie do uniknięcia wydawała się wytarta fraza „Musimy się spotkać i pogadać”, na co najczęściej odpowiada się dwukrotnym skinieniem głowy i uśmiechem w stylu Miss Mokrego Podkoszulka. W każdym razie nie traktuje się takich zaproszeń na spotkanie równie poważnie jak wezwania na komendę, ale nie lekceważy aż tak jak ludzi rozdających ulotki. Po prostu odkłada się je na kolejny raz, podobnie jak ćwiczenia na dolne partie brzucha. W tym jednak przypadku jej rozmówczyni przechodziła do konkretnych propozycji, używając trywialnych sposobów namawiania: „No chodź, tam będzie super”, „No nie wiem, ja nie chodzę na takie”, „Nie bądź taka sztywna, będzie fajnie”. Amanda krzywiła się na tak popularne wyrażenia jak fajny, ekstra, super. Były dla niej takie proste i mieściły zbyt obszerny zakres różnych innych przymiotników. A przecież było ich tak wiele, że można opisywać wszystko o wiele bardziej kolorowo. No i słowo „sztywna” tak ugodziło jej damskie ego, że nie mogła odmówić, jeśli chciała

pokazać, jak bardzo się myli ta pewna siebie, niebieskooka chudzina. Musiała teraz dążyć do tego, aby nie dać sobie przykleić etykiety, której z pewnością nie chciałyby nosić i musiałaby ją ciągle zakrywać poobdzieranymi ubraniami. Więc tak, zgodziła się. Wytłumaczenie dla siebie samej - „a co mi szkodzi?” - wystarczyło jej zupełnie, tak jak wtedy, gdy zaglądała do lodówki tuż przed północą. Nie lubiła hucznych imprez, zwłaszcza tych zakrapianych alkoholem. Uważała je za prymitywne i niemal zwierzęce, a upitych znajomych nazywała „ludźmi bez perspektyw na jutro”, przypisując ich do zupełnie innej kategorii niż ona. Amanda miała perspektywę na całe życie. Ale mimo wszystko dała się wplątać w niechcianą sytuację. Po kilkunastu godzinach od rzuconych luźno słów „dobra, niech będzie” siedziała na zbyt jaskrawej kanapie przy ogromnym popiersiu z pewnością bardzo znanej postaci, o której z pewnością nic nie wiedziała. W jej głowie pojawiły się same pozytywne myśli wywołane przyjęciem o wiele za dużej liczby małych szklanych pojemniczków z bezbarwnym, nieprzyjemnie pachnącym płynem. Popatrzyła wokół siebie, po kolei na każdego. Tak, otaczali ją ludzie, których kochała. Chciała teraz ich wszystkich wyściskać, żeby im okazać swoją dozgonną miłość. A miała jej tyle, że mogła obdzielić każdego, a jeszcze by jej zostało. Dodatkowo czuła, że to coś, co niedawno zjadła, niebezpiecznie kumuluje się gdzieś między nadwyreżonym żołądkiem a przełykiem. W głowie dudniło jej od głośnej muzyki, coraz bardziej traciła kontrolę nad swoim ciałem, które stawało się coraz bardziej frywolne. Potknęła się chyba parę razy.

- Pijemy?

Ktoś krzyknął nad jej uchem. Bez znaczenia kto. W końcu każdy jest teraz jej przyjacielem. Na całe życie.



- PEWNIE!
- Ej, ej, nie drzyj się tak!
- Sorry, tu jest tak głośno, że...

„Sorry”. Nie używała takich słów na co dzień. Uwielbiała obce języki, ale nie lubiła, kiedy tych kilka magicznych słów (jak są powszechnie one nazywane) zostaje tak okrutnie przekształconych, tracąc swoje właściwości. O ile jeszcze „dziękuję” mogło zostać swobodnie sprowadzone do krótkiej formy „dzięki” (stosowane do wszystkich innych przypadków), to „przepraszam” i zamerykanizowane „sorry” w ogóle do siebie nie pasowały. Zbyt duża zmiana. Mogłoby się mówić „przepra”, idąc drogą skrótów i dostosowania oficjalnego słownictwa do młodzieży i tych znajomych. Ale nikt tak przecież nie mówi. I mówić nie będzie.

Ale teraz Amanda Suchorowska nie myślała trzeźwo. Może dlatego, że była kompletnie pijana.

- Daj mi... - nie dokończyła, bo z jej ust wypłynął strumień różnobarwnych wymiocin. Parę dziewczyn siedzących obok z obrzydzeniem odsunęło się od niej, mamrocząc pod nosem niestosowne wyzwiska. Jednak Amandzie było wszystko jedno. W końcu nie czuła tego okropnego ucisku w żołądku, który męczył ją od jakiegoś już czasu. Siedziała ze zwieszoną głową, co parę minut powtarzając ten nieprzyjemny dla otoczenia proces. Za każdym razem było jej lżej. Czuła się już kompletnie bezwładna. Słyszała, jak ktoś krząta się wokół niej i krzyczy: „Weźcie ją, bo mi całą wykładzinę zarzyga!”.

„Zarzyga”. Mimo chwiejnego stanu, słysząc kolejne dziecińnię słowo, miała ochotę natychmiast poprawić właściciela z pewnością niezbyt wybitnych myśli. Ale w obecnym stanie każdy, jakikolwiek wywód zaadresowany do obojętnie

jakiej osoby wyglądałby jak śmieszne wygłupy pijanej dziewczyny, być może nagrywanej na niezbyt dobry jakościowo sprzęt, aby stworzyć film puszczony na cały kraj, dzięki któremu ludzie będą uśmiechać się pod nosem. Po chwili z dwóch stron wzięto ją pod barki i gdzieś prowadzono. Szeptala wciąż:

- Wolnieeeej, nogi mnie bolą. Weźcie, bo nie nadażam. Chce mi się spać.

Traktowali ją jak worek ziemniaków, starając się tylko, aby jak najszybciej opuściła dom Sroków. Po jej bluzce spływały kawałki, niedojedzonego zresztą, kroieta w dość przetworzonej już konsystencji. W głowie huczało coraz bardziej, a jej już strasznie chciało się spać. Próbowwała wyrwać się z ucisku dwóch dryblasów.

- Puśćcie mnie, muszę się położyć, nogi mnie bolą.

- Czekaj, nie wyrywaj się tak.

- Właż do samochodu.

Zamknęły się głośno drzwi zielonego peugeota 207.

- Ej, podłóżcie jej jakąś miskę!

- Skąd ja wezmę ci miskę?

- To dawaj tę reklamówkę, załóż jej na uszy.

- Udusi się od tego smrodu.

- Nie gadaj, to samochód mojego starego, nie będę świecił za nią oczami.

- Co to za laska?

- Nie wiem, pierwszy raz ją widzę.

Amanda słyszała już tylko szmery. Pulsująca głowa nie dawała jej spać. Czowała zapach benzyny. Gdy oddychała, reklamówka przyklejała się jej do nozdrzy.

- Idę spać, obudźcie mnie później.

Jak się okazało, „później” nastąpiło dwanaście godzin po



ekspresowym zaśnięciu, a obok niej na perfekcyjnie zaścielonym łóżku leżał chłopak. Brak bokserek i frywolna pozycja świadczyły o tym, że zrobiła coś okropnego...

Wizyta w tym miejscu była dla niej męczarnią. Oglądanie go w tym stanie było jeszcze gorsze. Myślała, że czuła się pewnie dokładnie tak jak on. Ubezważniona. Zależna od innych. Odcięta od świata. Podniosła słuchawkę.

- Cześć.

Jak wiele cierpienia kryło się w tym prostym przywitaniu. Przełknęła głośno ślinę. Trochę na pokaz, trochę z braku chęci, by odpowiedzieć. Znow się odezwał:

- Amanda...

Boże, jak ona nienawidziła tego imienia, zwłaszcza kiedy on je wypowiadał. Nie wiedzieć czemu kojarzyło jej się z tanią prostytutką. Czy jej mama w erze Katarzyn, Magdalen i Justyn nie mogła trzymać się obowiązującej mody? Patrzyła na niego wzrokiem pełnym litości, nad czym ciągle pracowała. Nie chciała, żeby czuł się jak niepełnosprawny, na którego ludzie patrzą i nie wiedzą, czy podejść i pomóc, czy udawać, że jest w pełni sprawny, aby poradzić sobie z codzienną czynnością. Powiedziała to, o czym nieustannie myślała:

- Nienawidzę tego.

Spuścił wzrok.

- Przychodzenia do mnie?

- Tego miejsca.

- Wierz mi, że ja też.

Wciągnęła powietrze na znak, że jest jej głupio. Jednak zamiast „przepraszam, nie o to mi chodziło” czy „nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz” brnęła dalej w swoim

rozżaleniu:

- To twoja wina, to twoja wina, to twoja...

Mówiła coraz głośniej, musiał jej przerwać.

- Wiem, cieszę się, że w końcu mi to powiedziałaś. Przychodzisz tu już kolejny raz i słyszę, jak mnie głaskasz słowami. Jakbym zrobił coś niestosownego. Jak dziecko, które trzeba upomnieć. Ja jestem potworem, zrobiłem coś strasznego i dlatego jestem tutaj. Tak, Amanda, to moja wina. Nie musisz mi mówić, że będzie dobrze, opowiadać, jak ci mija dzień i co robią sąsiedzi, jakbyśmy byli na wycieczce. Jesteś u mnie na wizycie w więzieniu, bo jestem przestępcą i o tym będziemy rozmawiać!

Kamil Romański czuł, że traci nad sobą panowanie. Żyłka na jego szyi drgała w rytm przyspieszonego oddechu. Poczzerwieniał. Zarówno ze wstydu, jak i z wściekłości. Patrzył na dziewczynę, która siedziała z rozchyłonymi ustami, a na jej twarzy odbijała się ulga. Dostał przyzwolenie na wylew swojej goryczy. Patrzył na dziewczynę, która może byłaby jego własnością w innych okolicznościach, za murami tego miejsca. Piliby czerwone desperadosy przed durnym filmem stanowiącym pretekst czułych pocałunków i ocierających się o siebie ramion. Sam nie rozumiał, dlaczego ona tu przychodzi. Zanim wydarzyła się ta tragedia, zmieniająca bieg jego historii, znali się może miesiąc. Zobaczył ją w autobusie linii 113 i w typowym dla niego stylu zapytał o coś nietypowego. Pamiętał jej zmieszanie, kiedy prosił o słuchawkę z jej ekstrawaganckiej empetrójki. Chciał tylko wzbudzić jej zainteresowanie. Nie zamierzał dłużej rozmawiać, poznawać się i zaczynać sztucznej znajomości. Nie potrafił tak podrywać dziewczyn. Męczyli go koledzy, którzy z nosami w telefonach odczytywali wiadomości od gderających za uchem Eweliny, Marty, Iwony i wszystkich innych pospolitych dziewczyn z identycznymi

włosami, telefonami i paznokciami. Był towarzyski i wokół niego zawsze pojawiał się wianuszek kolegów, którzy z zaciekawieniem, kiwając głową na znak zrozumienia, słuchali jego celnych uwag odnośnie do nowoczesnej sztuki i polityki, czyli tematów, które były mu najbliższe. Rodzice, którzy wychowywali syna na swoje podobieństwo, mocno ograniczali zasób tematów, którymi powinien się interesować. Ale w relacjach damsko-męskich odsuwał się na bok, nie chciał gonić króliczka i sam nie chciał być goniony. Potrzebował płynności. Pojawienia się w jego życiu kogoś, kto w nim zostanie bez żadnych naciąganych spotkań i nieśmiałych dotyków. Teraz przed nim siedziała ona. Spotykali się przypadkowo, aż przypadkiem zaczęła rządzić reguła. Nie mieli jeszcze żadnych planów wobec siebie. Żadnej deklaracji. A jednak tu siedziała.

- Jesteś przestępcą.

Wypowiedziała to i mocno wciągnęła powietrze, wyrzucając ze swojej głowy pytania, które siedziały w niej od tych kilku tygodni:

- Dlaczego tu przychodzę? Dlaczego mam wrażenie, że jestem ci coś winna? Że i ja powinnam z tobą tu być. Nie chcę od ciebie usłyszeć, że to moja decyzja i że nie potrzebujesz moich odwiedzin. Chcę, żeby ktokolwiek mi odpowiedział, dlaczego robię to sama z siebie!

Ostatnie zdanie powiedziała płaczliwym tonem. Teraz to Kamil popatrzył na nią z litością.

- Myślę, że masz nadzieję. Odpuść sobie. Odpuść w końcu, bo mnie nie zbawisz. Skup się na czymś innym. Powiem ci dlaczego. Wydaje ci się, że wspólnie coś zaczęliśmy. I nie pozwalasz sobie zostawić tego tak niedokończonego, bo jesteś skretyniałą perfekcjonistką.

Nie obraziła się za nazwanie jej skretyniałą. O wiele bardziej uderzyło ją „perfekcjonistką”.

- Boże, dlaczego wszyscy mi to mówią? Czy naprawdę to mój życiowy ciężar? Bycie idealną? Czy to nie cele czynią z nas ludźmi sukcesu?

Nie chciał jej odpowiadać, nie czuł, że mogłaby zrozumieć, co o tym myśli. Teraz chciał jej wyperswadować tylko jedno.

- Przestań tu przychodzić. To nie twoja wina. Zaczynij żyć gdzie indziej. Nie chcemy być nawzajem w swoim życiu. Opuść mnie sobie, nie pomożesz mi. Daj życiu płynąć. To jest właśnie mój nurt. - Rozłożył ręce i obrzucił ściany wzrokiem, jakby pokazując jej swoje królestwo. Chciał, żeby już wyszła.

- Kamil... Wyjdę stąd dzisiaj i nie wrócę. Obiecuję. Ale chcę mieć cię odhaczonego. Chcę tylko zrozumieć...

- ...dlaczego to zrobiłem?

Przełknęła ślinę. Tak, już tu nie przyjdzie, ale musi wiedzieć. Inaczej to nie da jej spać. Nachylił się.

- I tylko tyle chcesz wiedzieć?

Zacisnęła usta. Nie, nie tylko...

- Wiem, że to może wydawać się nietaktowne, ale...

- Pff, do kogo to mówisz. Jestem chodzącym nietaktem.

Uśmiechnęła się. Pierwszy raz, odkąd przyszła.

- Tak, masz rację. Więc, eee... Jak tu jest? Chcę po prostu cię ulokować w głowie. Jeśli mam zamknąć ten rozdział, muszę wiedzieć, jak wyglądasz otoczony tą sytuacją. Ciągle myślę, że zostawiłam cię na pastwę wytatuowanych zielonym tuszem osiłków z obrzydliwym uzębieniem, a ty boisz się głośniejsz odetchnąć i bierzesz prysznic na pół gwizdka, bo...

- Nie, nie martw się, nikt mnie tu nie gwałci. Jest tu dokładnie tak, jak to sobie wyobrażasz, tak, jak to pokazują w filmach. Ale

żadne słowa nie opiszą tego smutku, którym jestem owinięty. Nigdy nie spodziewałem się, że to, co mnie czeka za kratkami, to nie złość, bezsens, samotność i znudzenie, ale ten ogromny smutek. Że tak niewiele brakowało mi do innego życia.

Uniosła brwi.

- Tak niewiele?

- Prawdopodobnie kilka zapalek.

Teraz musi jej powiedzieć.

- Kamil, dlaczego podpaliłeś ten dom?

W jednej sekundzie twarz z rozbudzonej i chętnej do rozmowy stała się szara i pokryta żalem.

- Bo chciałem go ukarać.

- Kogo?

- Tego policjanta.

- Za co?

- Za to, co mi zrobił.

- Co ci zrobił, do cholery?! Nie odpowiadaj mi jednym zdaniem! - Stała się natarczywa. Tyle czekała na te odpowiedzi, a on się nie kwapił do obszernych wyjaśnień. Nagle usłyszała znany jej dźwięk i niski głos:

- Koniec wizyty!

Kamil pokręcił głową. Już wiedziała, że jej nie powie. Jeszcze jedno musiała wyciągnąć:

- Czy wiedziałeś, że ktoś jest w środku?

Zagotował się we wnętrzu, ale odpowiedział wyjątkowo spokojnie:

- Gdybym mógł, zabiłbym się na twoich oczach, żeby przywrócić życie tej kobiecie.

Widziała, jak odchodzi, i czuła, jak ulatuje z niej jakaś mała niewidzialna cząstka. Nie była już spięta. Dziwny spokój zagościł

w jej sercu.

Sandra włożyła sobie w usta całą paczkę małych drażetek. Zaczęły się powoli rozpuszczać, ale starała się nie ulec pokusie ich połknięcia.

- Chrząszcz brzmi w trzcinie, w Szczebrzeszynie. Grzegorz Brzęczyszczkiewicz. Stół z powyłamywanymi nogami. Wyścigowa wyścigówka wyścignęła wyścigową wyścigówkę na wyścigach wyścigowych wyścigówek. Szedł Sasza suchą szosą, same nogi Saszę niosą.

Przegryzła ze cztery drażetki. Jedna bardzo niefortunnie ulokowała się w przedostatnim zębie, który od jakiegoś czasu był niedumnym właścicielem kilkumilimetrowej czarnej dziurki. Skrzywiła się i natychmiast wypluła całą zawartość jamy ustnej, która potoczyła się po wypastowanej podłodze. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu ostrego narzędzia. Zauważyła jedynie czarną wsuwkę, która chwilę później była już cała w ślinie, wraz z wydobytym kawałkiem kokosowej słodyczy. „Muszę iść do dentysty”. Uśmiechnęła się sama do siebie i oceniła dosyć negatywnie odcień swoich zębów. Doliczyła ten mankament do tworzonej ciągle w głowie listy „do poprawki”. Omiotła wzrokiem pomieszczenie, w którym bałagan tkwił nieprzerwanie od kilku tygodni. Nigdy nie lubiła sprzątać, mimo że od urodzenia wpajano jej miłość do czystości, tak uwielbianej przez jej matkę. Jednak nie tylko pod tym względem różniła się od reszty domowników. Często czuła, jakby ktoś na siłę przykleił ją do tej, a nie innej rodziny. Wiele razy rozważała scenariusz, według którego pochodziła z adopcji. Nieraz przypuszczała, że jeśli ta hipoteza by się potwierdziła, to z pewnością jej biologiczni rodzice zamieszkiwali słoneczne wybrzeże Włoch. Właśnie do tego kraju

ciągnęło ją najbardziej. Niekoniecznie przez jej pierwszą miłosną przygodę na którymś z kolei letnim obozie, ale głównie przez wzgląd na tłąstą pizzę, zabawny język i brązowookich mężczyzn. Ewentualnie brała pod uwagę Wielką Brytanię, czuła, że ma w sobie coś z typowej Angielki. O ile nie urodę (wyjątkowo rzadki przypadek koloru skóry zbliżonego do mąki), to sposób wypowiedania się oraz niezwykłą grację.

Niedoszła więc Włozka lub Angielka usiadła na brzegu łóżka, już mocno zapadniętego, z niewymienioną od paru miesięcy pościelą, i zaczęła przyglądać się kilku tomom książek ułożonych wyjątkowo równo na zakurzonym biurku. Dostojewski, Wiśniewski, jeszcze raz Dostojewski, Sapkowski, Tołstoj. Trochę rosyjskiego, trochę polskiego. Zabierała się do ich czytania równie skutecznie jak do sprzątania. Nie, nie chodziło o to, że czytać nie lubiła czy nie umiała. Miała po prostu na głowie setki innych spraw, niecierpiących zwłoki. Wygrzebała spod poduszki telefon (mimo ostrzeżeń mamy, że taki sprzęt pod głową szkodzi zdrowiu podczas snu) i wyszukała numer swojej przyjaciółki. Amanda odebrała po trzech sygnałach. Sandra, nie witając się, od razu zapytała:

- Co robisz?

- Zastanawiam się, ile soku pomarańczowego trzeba wypić, żeby zrobić trzy testy ciążowe.

- Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

- OK.

Majkowska pomyślała, że pogoda jest wręcz idealna do podróży rowerem, więc zbiegła do piwnicy i po kwadransie, zziajana, stała przed frontowymi drzwiami domu Amandy. Chwilę później siedziały we dwie w perfekcyjnie wysprzątaney kuchni u państwa Suchorowskich i raz po raz wyrzucała z siebie



metaforyczne zdania, które najlepiej określały jej uczucia:

- Mam w sobie taki żal, że gdybym go z siebie wyrzuciła, to mogłabym zbudować z niego drugi mur chiński.

Jeszcze nigdy nie czuła takiej goryczy, takiego rozczarowania. To rozwijało się w niej, w środku. Dławiło każde słowo, nie pozwalało normalnie funkcjonować, tak jak dawniej. Uczucia, które do niego żywiła, przerastały ją. Przerastały ją do tego stopnia, że uniemożliwiały prawidłowe, racjonalne myślenie. Wszystkie decyzje, które podejmowała, były pochopne, miały więc niemalże gwarancję nietrafności.

- Sandra, słuchaj, nie chcę ci tu prawić, że tego kwiatu jest pół świata ani że on na ciebie nie zasługuje - co oczywiście jest prawdą najprawdziwszą - bo wiem, że nie to chcesz usłyszeć. Ale niestety nie mam dla ciebie rad, które wyleczyłyby cię z przygnębienia.

Sandra westchnęła głośno z nutką niemego „przecież wiem!” i mocno zacisnęła powieki tylko po to, żeby je zaraz efektownie otworzyć.

- Myślałam, że coś mi to da, jak ci wszystko powiem...

- I bardzo się z tego cieszę, że przyszłaś mi się wyzalić!

- ...ale teraz myślę, że to nic nie pomogło.

- Nie podważaj mojego przyjacielskiego autorytetu!

- Nie o to chodzi! Jestem zła i czuję się oszukana - efektowna pauza - ale obie wiemy, że nie powiesz mi niczego, co by to zmieniło, choćbyś zasypała mnie gradem komplementów. Tak to już jest. Każdy ma swój życiowy dramat. Jedni nie mają co jeść, inni się nieszczęśliwie zakochują.

Amanda wyciągnęła z szuflady niewielkie opakowanie.

- Może słowa nie pomogą, ale czekolada?

Zasmucona brunetka roześmiała się.



- Panno Majkowska, czyżbym właśnie poprawiła ci humor?

- Właśnie uruchomiłaś kilkanaście mięśni mojej twarzy, które będą pracować, dopóki nie zjemy ostatniego kawałka!

W chwili, gdy łamały mleczno-truskawkową słodycz, w oddali usłyszały dźwięk tłuczonego szkła. Albo czegoś innego, co mogłoby się stłuc.

- Przepraszam...

Sandra spojrzała na nią, nie wiedząc, czy powinna ją teraz zganić, że przeprasza zupełnie niepotrzebnie, czy ją przytulić i powiedzieć, że nic się nie dzieje, to nie jej wina. Obie wiedziały, że żadna z nich nic nie powie i będą traktować te dźwięki i towarzyszący im głośny męski bas o zbyt dużym natężeniu decybeli jak całkiem przyjemną muzyką dobiegającą z radia. Właściciel męskiego głosu zupełnie nie przejmował się ograniczeniami, jakimi były późna pora czy obecność gościa w ich domu. Sandra wyszeptała speszonym głosem:

- Pójdę już, mam jeszcze tyle do zrobienia, a już noc...

- Daj spokój, nie idź jeszcze. Dopiero wyjadłyśmy orzechy.

Sandra nie mogła rozpoznać, czy to zatrzymywanie jej było błagalnym „nie zostawiaj mnie z nimi samej!”, czy nieudolną próbą udawania, że nic w tym domu się nie zmieniło, od kiedy tu przyszła, tak jakby coraz wyższy poziom hałasu dotyczył zupełnie innego lokum. Majkowska, przelękając ślinę, rzekła:

- Jest ciemno.

- Jest wcześniej, jak jest zima, to się szybko ściemnia.

Tłuczone lustro? Na pewno coś szklanego.

- Zasiedziałam się.

- Sandra...

- Mama pewnie dzwoniła, zostawiłam chyba telefon w domu.

- Majkowska wiedziała, że jej komórka leży bezpiecznie na dnie

jej torebki, którą miała przy sobie.

- Naprawdę dawno już tak nie było.

Sandra zacisnęła mocno wargi. Cisnęło się przez nie jedno niewypowiedziane pytanie: „Czyżby?”. Amanda usłyszała je telepatycznie.

- Nie aż tak.

Nie może jej pocieszać, skoro jej problem nie został jeszcze nazwany. „Co mam robić, co mam robić? Uciec?”

- Słuchaj, może wyjdziemy na wieczorny spacer?

Amanda, nie wiedzieć czemu, poczuła się urażona. Wiedziała, że Sandra nie to miała na myśli, ale jednak...

- Przestań, nie będziemy za każdym razem wychodzić z domu, bo mój ojciec się awanturuje! Ja tu mieszkam, a ty jesteś moim gościem i będziemy tu siedzieć, i zjemy razem tę czekoladę. I powiem ci jeszcze, że będziesz tu siedzieć do północy, aż przyjdzie pora, żebyś poszła do domu, bo jesteś zmęczona, a nie wtedy, kiedy czujesz się niekomfortowo, bo mojemu ojcu spadły zyski w firmie i musi się wyładować na rodzinie!

Powiedziała to wszystko na jednym wydechu, co sprawiło jej sporo wysiłku. Wiedziała, że awanturujący się ojciec to jej problem, na który nie mogła mieć wpływu. Nic się nie zmieniało, od kiedy pamiętała. Po chwilowym spokoju, udawanych uśmiechach i wspólnych posiłkach przy dębowym stole przychodziły tłuczone porcelanowe ozdoby, wypowiedanie coraz to nowych wyzwisk, które były z dnia na dzień bardziej nowatorskie. Nie oczekiwała nagłego zwrotu akcji, nie miała sielankowego dzieciństwa, a w jej głowie brakowało obrazu taty podnoszącego ją z ziemi i wesoło obracającego na karuzeli. Praca zawładnęła jego życiem, rodzina stawała się potrzebna tylko w oficjalnych momentach, wyłącznie jako jego wizytówka:

dojrzałego, spełnionego mężczyzny. Nie chciał słyszeć o problemach pod swoim dachem, tu miał być jego azyl, świeże czasopisma, zimne piwa i paczka mocnych papierosów. Jego córka przejęła po nim jedną cechę, którą charakteryzował się w pracy - była zorganizowaną perfekcjonistką, co od jakiegoś czasu zaczęło przeszkadzać jej otoczeniu. A teraz i jej samej. Pragnienie normalnej rodziny, propagowanej w reklamach płatków śniadaniowych, było tylko marzeniem, nigdy nie miała zamiaru podejmować kroków, aby ją scalić i uformować. Nie była maltretowana ani dotykana w niewłaściwy sposób, więc ustawiła swoją rodzinę na zupełnie innym podłożu niż inne nieszczęśliwe rodziny. Myślała o słowach Tołstoja: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób” i podpisywała się pod nimi obiema rękami. Jednak wstyd, z jakim musiała się uporać w każdym momencie wybuchu złości ojca przy jej znajomych, od zawsze był dla niej skazą. Jakby to miało świadczyć także o jej charakterze.

Sandrze zrobiło się żal przyjaciółki, ale jednak poczuła jeszcze coś innego. Ogromną chęć złapania ją za ramiona, aby mocno nią potrząsnąć i wybić z głowy pragnienie funkcjonowania całego świata pod jej dyktando. Nie miała ochoty już tu siedzieć, fakt obecności na dole rozjuszonego pana Suchorowskiego tylko to potęgował, nie przyszła do niej jak do kogoś niezastąpionego. Jego córka była jej przyjaciółką, ale coraz bardziej tylko z nazwy i z braku kogoś innego, z kim mogłaby podzielić się swoimi rozterkami miłosnymi. Chciała z nią rozmawiać o zwykłych sprawach bez emocjonalnego zagłębiania się. A ona na siłę trzymała ją przy sobie jako jej wspierająca przyjaciółka. Amanda trochę ochłonęła i zrozumiała, że niepotrzebnie użyła takiego władczego tonu. Odezwała się spokojnym głosem:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się dzisiaj bałam.

Sandra popatrzyła na nią ze zdziwioną miną.

- Tych testów ciążowych.

- Aaaa. Ale wyszły negatywnie, także...

- Ale pomyśl, co by było! - Kiwnęła głową w stronę drzwi, za którymi ojciec wyrzucał kolejne tabuny drażniąco brzmiących słów.

- Widocznie nie powinnaś spać z przypadkowymi mężczyznami. - Sandra powiedziała to trochę zbyt szorstko, więc od razu dodała: - Ale jesteśmy młode, błędy się zdarzają.

Suchorowska chciała powiedzieć: „Ale nie mnie”, jednak ugryzła się w język. Znowu wyszedłby z niej tak krytykowany perfekcjonizm. Nie wspomniała również przyjaciółce, że na ostatnim teście pojawiła się ledwo widoczna druga linia. Uznała, że skoro była ledwo widoczna, to tak jakby nie pojawiła się wcale.

Sandra dodała po chwili:

- Zresztą myślałam, że po Sebastianie nie będziesz szukała przypadkowych nocnych przygód.

- Po pierwsze, wyszliśmy tak późno, że to już była poranna przygoda. Po drugie, byłam nieprzyzwoicie pijana, a po trzecie, właśnie to mi się należy. Po oczekiwaniu na oświadczyzny, po długich miesiącach męki z jego tak zwanym kalectwem...

- Przecież naprawdę połamał kość w kilku miejscach! - Sandrę trochę oburzył brak empatii ze strony przyjaciółki.

- Tak, ale nikt tak dobrze jak ja nie wiedział, ile w jego kuracji było naciąganego bólu, udawania i wymyślania coraz to nowych schorzeń, które miałyby być następstwem jego wypadku. Człowiek, który staje się na chwilę wykluczony z dotychczasowego stylu funkcjonowania, zaczyna sobie na siłę tworzyć koszmar życia, oczekując dookoła współczucia.

Nieistotne. – Zakończyła wypowiedź, choć zamierzała rozwinąć ją w głowie. Tak długo musiała udawać, że opieka nad niedoszłym piłkarzem, który od ponad dwóch lat pozostawał jej chłopakiem, była dla niej wyczerpująca. Wymyślała mnóstwo wymówek, dla których nie mogła się nim zajmować, bo miała dość steku bzdur, którymi karmił wszystkich chcących go jeszcze słuchać – o tym, jakim mógłby być dobrym sportowcem, o tym, jak bardzo go swędzi, drapie, ciągnie i szczypie, i jaki jest upośledzony i wyłączony z życia. Na początku bardzo mu współczuła, przepłakała razem z nim jego pobyt w szpitalu i ochoczo go pielęgnowała, a wszelkie narzekania w mig zapominała. Przecież miała prawo. Pamiętała ich rozstanie.

Idąc wtedy na spotkanie z Sebastianem, zaplanowane i mające miejsce po tych kilku tygodniach od wypadku, analizowała parę spraw. Przed samym wyjściem zaspokoila swoją starganą wiecznym rozważaniem duszę zdecydowanie najmocniejszym ze wszystkich napojów dostępnych na półkach w sklepie monopolowym. Powoli zmierzała w kierunku znanych alejek i rozważała. Uważała, że są dwa gorsze uczucia od miłości i nienawiści. Tęsknota i obojętność. Dwa dziwne, odmienne uczucia. Tęskniąc za kimś, człowiek doświadcza działania strasznej siły, która zabija go od środka. Jednak to pozwala uświadomić sobie, jak bardzo ważna jest ta osoba. Ale jej tu nie ma. To sprawia, że zaczynamy się dusić w tych ciasnych czterech ścianach, które nas otaczają, stają się naszym całym światem. A obojętność? Czy może być coś gorszego od udawania, że nie istniejesz, że nie ma cię obok, jesteś tylko zbędnym przedmiotem? Lepsze są głośne awantury, wywlekanie największych brudów, niekończące się kłótnie... Wszystko jedno, byle czuć ze sobą kontakt, który sprawia, że chcemy po prostu żyć.

Siedzieli wtedy na ławce w parku, otoczeni przez kilkanaścioro bawiących się dzieci. Właściwie to ona siedziała na ławce. On wciąż jeszcze poruszał się na wózku inwalidzkim. I to on zaczął mówić, przerywając niezręczną ciszę:

- Ja po prostu boję się z tobą być, nie chciałbym cię zranić, to wszystko dzieje się teraz tak bardzo nie po mojej myśli.

To ona chciała zakończyć ten związek, ale myśl, że to on jest inicjatorem tego zakończenia, była dla niej drażniąca. Biła się z myślami.

- Wiesz, w sztuce odrzucania ludzie dzielą się na pewne grupy. Pierwsi to ci, którzy zachowują się zwyczajnie po chamsku. Czasami nazywają to „prosta szczerość” albo „nieowijanie w bawełnę”. Ale są też urodzeni dyplomaci, którzy potrafią ubrać słowo „nie” tak bajecznie i kolorowo, że ich ofiary same czują się winne - wyrzuciła z siebie te zdania jednym tchem.

Sebastian wyglądał na obruszonego.

- Nie jesteś moją ofiarą.

- Jestem. A ty jesteś najgorszym z rodzajów drapieżników. Bo nie rzucasz się na mnie i nie rozszarpujesz mnie na strzępy, co by było szybkie i bezbolesne, ale robisz coś o wiele gorszego. Zabijasz mnie powoli, a im dłużej to trwa, tym bardziej boli. Wyrывasz mi całe wnętrze, kawałek po kawałku, i rozkoszujesz się tym procesem, jakby to był po prostu dobry musical. - Nie wiedziała sama, czemu mówi do niego tak wyniośle i metaforycznie. Po prostu taka była. Ważne chwile w jej życiu musiały być podniosłe. A rozstanie z człowiekiem, z którym miała stanąć na ślubnym kobiercu, wydawało się ważne. Miała już przecież nawet segregator z niebieskim napisem „Idealny ślub”. Oczekiwała więc płaczu, pocieszeń, wzruszeń...

- Przepraszam za tamto. - Sebastian, mówiąc to, nie patrzył

jej w oczy.

Pragnęła przeprosin, akceptacji...

- Daj spokój. - Amanda chciała szybko uciąć kolejną dyskusję.

Siedzieli w milczeniu, a ona rozkoszowała się słońcem i mówiła sama do siebie w myślach, nie chcąc, żeby słyszał, co tak naprawdę ma mu do powiedzenia. Nie zasługiwał na to. „Mam jakieś plany, ambicje i oczekiwania wobec siebie samej”.

Sebastianowi znowu zaczęła przeszkadzać cisza, więc nieśmiało zapytał:

- Będziemy tak siedzieć i nic nie mówić?

„Nie mogę nie dotrzymać obietnic, które sobie złożyłam, bo dla siebie stałabym się nikim. Jak zwykła wegetująca roślina”. Mówienie do siebie jej pomagało.

- Powiesz coś jeszcze?

„Nie chcę się zawodzić i zaprzepaszczać tego, na co tak długo pracowałam i do czego doszłam w życiu”.

- O czym myślisz?

Amanda przestała powtarzać sobie zdania, które miały ją motywować w ciężkich chwilach. Albo powstrzymywać od płaczu.

- O niczym.

- Możemy nie rozchodzić się tak drastycznie? Nic się nie stało, szkoda by było naszej znajomości. - Powiedział to bardzo spokojnie, sylabując każdy wyraz.

- Dobrze.

- Ludzie za szybko mówią sobie „kocham”. W ogóle uważam, że to jedyny czasownik, który nie powinien mieć czasu przeszłego. Kocha się i już. Nie istnieje coś takiego jak „kochałem”. Mówi się to raz i zostaje do końca, nie można tego zmienić.

- A co, jeśli ktoś tak czuje, wyznaje to drugiej osobie, a potem



dochodzi do wniosku, że to jednak nie to?

- Powinien powiedzieć „przepraszam, myliłem się, wcale cię nie kocham”.

- Ale takie słowa muszą strasznie boleć.

- Dlatego nie mówmy ich tak szybko.

Rozstali się bez fajerwerków, bez krzyków, bez szeptów. On w prawo, ona w lewo. Obydwoje z wyznaczoną właśnie misją udawania.

Na ekranie telefonu Sandry widniał czerwony napis: „Nieodebrane (14)”. Ktoś bezskutecznie próbował się z nią skontaktować. Po wyjściu z domu Suchorowskich i odetchnięciu z ulgą oddzwoniła. Chwilę później biegiem przemierzała ulice miasta z wystraszonymi oczyma.

Po filmie *Manhattan* komicznie wyglądającego Woody’ego Allena Sandra spodziewała się znacznie więcej, biorąc pod uwagę nagrody i świetne opinie przypadkowych ludzi w internecie. Pod śmiesznymi pseudonimami silili się na profesjonalne recenzje, które notabene były parafrazą innych wypowiedzi. Spodziewała się więcej zabawnych tekstów, więcej zdań wartych zastanowienia, myślała, że zamęczy przycisk pauzy, aby dokładnie zrozumieć, co powiedział aktor na zamglonym planie. Zamiast tego co rusz przyspieszała film, wiedząc, że przedłużająca się scena nie wniesie nic odkrywczego. Podobnie robiła z książkami, kiedy opis natury zaczynał się wydłużać. Szukała linijki z dialogiem i od tego momentu kontynuowała czytanie. Jej niecierpliwość prawie nigdy nie przynosiła korzyści. Wychodziła z kolejki w sklepie, rzucając paczkę orzechów włoskich i trzy banany, kiedy ludzie poruszali się zbyt wolno

i nieudolnie rozpakowywali swoje zawałone koszyki, szukając najpierw torebki, potem portfela, potem karty... Ach, karty nie zabrałam, więc gotówka, chwila, może będą drobne, a jednak nie! Kilkakrotnie chodziła na pocztę, starając się uniknąć godzin szczytu, jednak okazało się, że ruch jest tam jednostajnie ogromny. Ledwo dysząca pani w długim płaszczu, w długiej spódnicy, w długich kozaczkach. Przecie tu stała, tylko musiała wypełnić kwit, wypisać adres i zapakować coś domowej roboty i coś zupełnie nienadającego się do wysyłki. Otyły mężczyzna z nieprześwitującą siateczką, w której co chwilę stukwały o siebie butelki tyskiego, sapał nieco głośniej od wspomnianej pani „we wszystkim, co długie”, głównie z powodu nieustającego śmiechu z własnych żartów o tym, kto doszedł, kto pociąga, kto tu popycha, kto kogo i za co. Trzymając w ręce zapoconą już kopertę z bezsensownym dokumentem w nieważnej sprawie, czekała tak długo, aż postanowiła przyjść później, koniec końców dotarłszy tam na drugi dzień. Była niecierpliwa i impulsywna. Zbyt impulsywna jak na sytuacje, które ją spotykały. Ale też nie na tyle impulsywna, by dopuścić się morderstwa. Sandra Majkowska tylko raz do tej pory miała krew na rękach - kiedy, zupełnie zresztą nieudolnie, próbowała zatamować krwotok swojej matki.

Otrzymanie listu tradycyjną Poczta Polska wydawało się Amandzie czymś tak abstrakcyjnym, że już dobrą godzinę trzymała gruby plik kartek w rękach, nie mogąc się nadziwić, że jest naprawdę zaadresowany do niej. Kiedy zobaczyła nazwisko nadawcy, najpierw z impetem rozerwała kopertę, ale zanim zaczęła czytać pierwszą linijkę, napisaną koślawym pismem, odłożyła list, kładąc go na dopiero co wypolerowany blat, i pogłaskała papier. Wydawało jej się, że jest bardzo ważny. Nie

mogła przeczytać ot tak, jak broszurkę jakiegoś muzeum, w przerwie między bułką z serem a przeglądaniem zdjęć sławnej modelki w internecie. Zasługiwał na skupienie i spokój. Czuła ogromne podekscytowanie i sama siebie starała się przytemperować. Wiele razy, mimo iż była jedyną osobą w pokoju, zachowywała się, jakby ktoś ją widział i mógł w każdej chwili wtargnąć z pouczeniem. Świadomość czyjejś obecności przeszkadzała jej w beztrosce, zaznaniu pełnej swobody. Zrobiła sobie kawę ze wszystkimi możliwymi dodatkami. Błat kuchennego stołu był zasypany piankami, cukiereczkami, płatkami czekolady i oblepiony bitą śmietaną. Musiała go wyczyścić, zanim przysiadzie do lektury. Zajęło jej to całą godzinę. Potem spojrzała na kapiący kran, na odchodzące kafelki przy kuchence elektrycznej, na płamę po czerwonym winie w rogu niebieskiego, puchowego dywanu. Widziała wokół siebie same niedoskonałości. Jak natchniona zaczęła zabierać się do naprawy wszystkiego, co możliwe. Czuła, że potrzebuje perfekcyjnego otoczenia. Szorowała, kleiła, mocowała się z obluzowanymi szafkami, żeby po kilku godzinach usiąść na krześle i stwierdzić, że to nie to. Nie doznała oświecenia ani oczyszczenia. Czuła się nawet jeszcze brudniejsza. Miała wrażenie, że nawet jej dusza jest czarna jak smoła. Łzy zebrały się jej w kącikach oczu. Zdała sobie sprawę, że od kilku dni każda jej czynność kończy się płaczem. Nie mogła rzucić tego na kobiece dni ani na zachwianą gospodarkę hormonalną. Czuła raczej, że to jej psychika płata jej figle, że coś siedzi w tyle jej głowy i co jakiś czas wypuszcza z jej oczu gorzkie łzy. Roztrzęsionym ruchem wzięła do ręki plik kartek.

*Amando,*

*wiem, że nie lubisz swojego imienia, dlatego często*

wymyślam Ci rozmaite przezwiska. Zdziwiłabyś się, jak w tym miejscu szybko przychodzą mi do głowy słowa i myśli, o które bym się nigdy sam nie podejrzewał.

Myślałem, że robię dobrze, właściwie. Że każdy by się zachował na moim miejscu tak samo. Tak mówią ludzie, którzy zrobili coś chwalebne dla innych. A czy mój czyn był chwalebny? Wtedy wydawało mi się, że tak. Poznaliśmy się tak krótko przed tym, jak mnie aresztowali. Dzięki temu nie doświadczyliśmy pierwszych kłótni, momentów zwątpienia, scen zazdrości. I to mnie teraz tu trzyma przy życiu. Wyobraźnia. Dni zatrzymały się dla mnie trzeciego kwietnia. Dwa dni przed pożarem. Byliśmy wtedy razem nad Wisłą, wokół tysiące innych osób. Skończyły nam się tematy do rozmów i byliśmy wdzięczni temu szumowi, bo tak się baliśmy niezręcznej ciszy.

To nie jest list miłosny. To jest moja forma spowiedzi. Wiem, że chciałaś wiedzieć dlaczego. Ja, chłopak z dobrego domu (bo tak się mówi na tych, którzy mają pieniądze i zmieniają obuwie co miesiąc na nowe). Ojciec robiący karierę polityka ze swoją na pół łysą fryzurą, którą codziennie starał się pielęgnować. Jakby myślał, że ludzie nie widzą jego ogromnych zakoli. I nie słyszą, jak co jakiś czas nienaturalnie wciąga powietrze, wykrzywiając usta w tę stronę, gdzie nie miał lewego kła. Wydawał miesięcznie pensję sekretarki na pielęgnację swojego bmw i nigdy nie zainteresował się konsultacją stomatologiczną. Dlaczego Ci o tym piszę? Bo to mnie w nim tak denerwowało, małe szczegóły w jego zachowaniu. Niezłomny dyrektor, który był zwykłym irytującym kolesiem. Żyłem z nim pod jednym dachem. Kochałem go, naprawdę, nadal kocham, mimo jego gwałtownej reakcji i kilku siniaków na mojej ręce. Wiem, że zachował się tak z wielu powodów. Zawiodłem go i byłem gwoździem do trumny. Wybory

szą już dla niego z góry przegrane. Nie z jego winy. Cały czas pouczał mnie i napominał przy każdej okazji. Miał dokładne wyobrażenia, jak powinien zachowywać się syn przyszłego prezydenta miasta. Wpajał mi to, kiedy mógł, często zapewne mimowolnie. Dawał najlepsze rady, znał się niemal na wszystkim, był moim bohaterem, ale nie pozwalał wybrać swojej drogi. Zerwanie z postawą sztywniaka, rezygnacja z gładkich słów w towarzystwie były dla mnie jak oddawanie moczu po wypiciu baniaka wody. Ulga. Czujęm kajdany na nadgarstkach. A przecież nic takiego mi nie robił, nie uniósł na mnie ręki, nie był brutalny. Spokojny głos, beznamiętny potok słów bez nawet jednego zająknięcia... To nie typowy tatuś w za krótkim topie i z paskiem w rękę, który czekał w domu na swojego zalanego w trupa syna, żeby spuścić mu manto. Nie mogłem dzielić się z kolegami, jaką mam „kosę ze starymi”, co odwalilem, jaki dostałem szlaban. Tylko spokojne rozmowy. Rozmowy długie, męczące, mające mnie postawić na właściwe tory. Mama była moją odskocznią. To po niej odziedziczyłem długie rzęsy i poczucie humoru. Naśladowała ojca, parodiując go, gdy nie był w pobliżu. Wszystko, co się wokół niej działo, przyjmowała zbyt lekko. Wolny duch. Czasami bałem się, że jest nieco stuknięta. Jakby nie wiedziała, jak ważne dla ojca jest następne głosowanie, moja edukacja, zapłacenie rachunku. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł na nią krzyknąć. Tak jakby uniesienie głosu w otoczeniu tej kobiety miało spowodować, że się rozplynie w powietrzu. Była tak nieszkodliwa, że aż chciało się ją zamknąć w szklanej kuli, aby się nie uszkodziła. Jej zwiewne suknie, nieregularne posiłki, zakochanie w twórczości Szyborskiej stanowiły opozycję do codziennej porcji mięsa, wypastowanych butów, równego kroku mojego taty. Kiedy zabrała mnie policja, płakała tak długo i tak cicho, aż

wydawało mi się, że zaraz cała się skropi, zostanie z niej tylko plama. Tego dnia po raz pierwszy widziałem ją tak trzeźwą, tak świadomą życia, jakby była urzędniczką wykonującą sto pięćdziesiąt procent normy w pracy.

Wielu mówi, że nasze dzieciństwo rzutuje na całe życie. Czy się z tym zgadzam? Nie wiem. Napisałem o moich rodzicach, a odpowiedź zostawiam Tobie. Powiedziałaś, że już więcej mnie nie odwiedzisz, i niech tak zostanie. Nie odpisuj na ten list, bo żadnej odpowiedzi nie oczekuję i nie chcę znać. Sam sobie już odpowiedziałem, Twoim głosem.

Pytało mnie o to mnóstwo ludzi. Nie tylko na przesłuchaniu, nie tylko w celi. Kiedy wywołałem pożar, ze strachu, zamiast utrzymać to w tajemnicy, chciałem dzielić się tym z każdym, jakby to miało pomniejszyć moją winę. Pamiętam, że powiedziałem Ci, że spaliłem jego dom za to, co mi zrobił. A co mi zrobił? Patrząc przez pryzmat czasu, zdaję sobie sprawę, jakim jestem debilem. Jak proste miałem myślenie, jak chciałem odwetu za nic. Zemsty bez powodu. To była prawdziwa histeria. Śmiałem się wtedy histerycznie, moje myśli były histeryczne, czułem się jak w szale. Z wściekłości wpadłem w odrętwienie, by zaraz całkowicie zgłupieć.

Znałem tego policjanta. Znałem jego żonę. Była nauczycielką mojej siostry. Przedszkolanką. Często, gdy odprowadzałem małą, co stanowiło jeden z moich obowiązków narzuconych przez ojca, spotykałem ją roześmianą z fioletowym kubkiem wypełnionym parującą kawą. Kilkakrotnie zamieniłem z nią parę zdań. O zwykłych, nieistotnych sprawach, których teraz nie pamiętam. Nie można powiedzieć, że ją znałem, ale kiedy dowiedziałem się, że to ona, poczułem z nią więź, jakby była moją dobrą przyjaciółką. Wiem, że jej mąż, Mikołaj Nastecki, był wtedy



*policjantem, wiem też, że nie mogli mieć dzieci.*

*Kilka dni wcześniej miałem oderwanie od musztry. Tak nazywałem dni, kiedy spędzałem czas w domu, pod obserwacją ojca. Zadzwoniło do mnie dwóch kumpli. Takich, których znałem od dzieciństwa. Nie wiem, czy mogę ich nazwać przyjaciółmi. Podobno przyjaciel to ktoś, komu możesz opowiedzieć o sobie, przed kim nie wstyd nazwać wykręcenie jelit stresem, a drżące nogi strachem. Nie wyżalałem się im, nasze rozmowy to puste refleksje, obserwacja świata. Inni stanowili dla nas pożywkę. To ich komentowaliśmy, czyniliśmy sobie tematy do dyskusji. Nie zgrywaliśmy silnych mężczyzn bez prawa do chwili słabości. Takie było po prostu nasze naturalne zachowanie, pod osłoną zwykłych słów, bez wyniosłości, bez patetycznego charakteru pokazywaliśmy swoje prawdziwe osobowości. I kochałem tych chłopaków. Bo zawsze byli obok, byli moją furtką do normalności (...).*

Przełknęła ślinę i odłożyła list. Poczwała silne mdłości, jednak zamiast jak najszybciej pobiec do jednej z trzech toalet w ich domu, wyrzuciła swoją niechęć do tej niesatysfakcjonującej czystości na kuchenny blat, jeszcze przed chwilą pachnący świeżą cytryną. Poczwała nie tylko ulgę. Czwała, że coś w niej pękało...

Z trudem otworzyła ciężkie powieki, budząc się z niespokojnego snu. Czwała, że nie może ruszyć żadnym mięśniem. Jej wychłodzone ciało było skrępowane, jedynie głowa pozostała nieprzywiązana do lodowatego blatu, który chwiał się na wszystkie strony. Wydawać by się mogło, że wąskie nóżki nie wytrzymają ruchów jej szamoczącego się ciała. Poczwała, że za chwilę zwymiotuje. Odwróciła się w prawą stronę, by wylać



z siebie podchodzące do gardła resztki wczorajszej kolacji, jednak jej usta wypełnione były czymś, czego użyto również do wiązania jej kończyn i tułowia. Nie mogła się jednak powstrzymać – resztki tortilli spływały teraz po jej ustach i brodzie, kapiąc na metalowy stół. Nierówne oczy szaleńczo rozglądały się po pomieszczeniu, które wydawało jej się znajome. Jednak teraz w amoku nie mogła przypomnieć sobie, skąd je zna. Boże, nie, nie, to niemożliwe!

Zaczęła szybko oddychać nosem, czując smród swoich wymiocin. Zrobiło jej się jeszcze gorzej, czuła, że napływa druga fala prosto z jej żołądka. Uświadomiła sobie, że jest kompletnie naga. Wszystkie niewydepilowane włoski stanęły na baczność. Po skroniach leciały jej łzy ogromne jak ziarna grochu – jedyne źródło ciepła. Usłyszała kroki za sobą i choć miała możliwość odchylenia głowy, strach całkowicie ją sparaliżował, przestała się ruszać i wstrzymała oddech, nabierając powietrza w policzki, jakby zamierzała zanurkować.

- Dostałaś gęziej skórki.

Nad zakneblowaną dziewczyną pojawiła się jedna z najstraszniejszych twarzy, jakie widziała. Jej oprawca wyglądał przeraźliwie. Ona sama była zadziwiająco świadoma swojej beznadziejnej sytuacji. Rozebrana, oblepiona własnymi wymiocinami, związana w kilku miejscach ludzkimi włosami, znajdowała się w znajomym miejscu. Kilkakrotnie wracała tu w koszmarnych snach, po których budziła się złana zimnym potem. Dlaczego tu była?

- Miło jest czasami móc się wygadać. Mówić i wiedzieć, że ktoś cię słucha. - Sandra zbliżyła twarz do swojej ofiary. Wiedziała, że nawet własna matka by jej nie poznała. Wyszepiała do leżącej dziewczyny:

- Prawda, Amando?

Dziewczyna zaczęła się wić na stole, widać było, że bardzo chce coś powiedzieć, jednak wydawała tylko śmiesznie brzmiące, niezrozumiałe słowa.

- To wspaniałe. Miałam ci tyle do powiedzenia, ale za często trenowałam tę przemowę. Znudziła mi się. Znam wszystkie słowa na pamięć. I nie chcę się nimi dzielić.

Jej ekstrawagancki makijaż nie miał na celu kamuflażu. Chciała, żeby jej najlepsza przyjaciółka wiedziała do samego końca, że to ona. Chciała tylko wyglądać groźnie. Sprawiać, że będzie się bała tego, co widzi, i tego, co słyszy. Zawiodła się lekko tym miejscem. Miało być obskurne, śmierdzące i samo z siebie nadawać ton strachu. A wydawało jej się po prostu brudne, jakby to była jego jedyna funkcja. Czuła się oszukana. Stół niebezpiecznie skrzypnął pod konwulsyjnymi ruchami nagiej dziewczyny. Sandra wyciągnęła z kieszeni lśniąca paczkę papierosów. Odpaliła zapalniczkę ruchem wyuczonym, zwinnym, chcąc ratować beznadziejność sytuacji. Nie była teraz taka odważna, nie czuła, że spełni się jej plan. Gdyby można było łatwo odkręcić całe wydarzenie, na pewno by się na to zdecydowała. Ale już poszła za daleko. Pociągnęła szybko papierosa. Za szybko.

- Pamiętasz, kochana, jak się poznałyśmy? Ile miałyśmy lat? Dwanaście?

A jednak. Jej wytrenowana mowa sama z siebie zaczęła wychodzić z jej ust. Tak, zamierzała zacząć od tego pytania.

- Byłam wtedy ubrana za ciepło. Mama kazała mi założyć żółty sweter, który mogłam zmienić dopiero w sobotę. Nosłam go już czwarty dzień z rzędu. Czwarty dzień ten sam sweter! W maju, w ciepłym miesiącu. Założyłam naszykowany sweter, bo tak kazała mi mama.

Nie miało być tak długo o jakimś swetrze. Przypomniała sobie

ten dzień. Chciała wszystko dokładnie opisać. Nawet żółty sweter.

- Ty miałaś sukienkę w drobną łączkę i małymi rączkami gładziłaś ją co jakiś czas, jakbyś nie mogła przejść kilku metrów z jakimkolwiek zgięciem. Cholera! Ciągłe coś gładzisz, coś poprawiasz? Świat wokół ciebie musi być taki uporządkowany? Na siłę wszystko układasz. Co teraz powinnaś robić? Iść na zajęcia z jogi trwające czterdzieści pięć minut? Obejrzeć coś w telewizji o równej godzinie? Chyba to zabójstwo trochę krzyżuje ci plany?

Stół zaczął się chybotać coraz gwałtowniej. Sandra uśmiechnęła się. Za wcześnie wprowadziła ostre słowa. Mogła utrzymać trochę tajemniczości, zasiać w niej nadzieję. Udawać, że to tylko głupi żart.

- Tyle razy kazałaś mi się wstydzić za to, co mówię. Nie mogłaś mnie uprzedzić, pomóc, powiedzieć coś, co odkręci moją głupotę? Zawsze czekałaś, aż się wypowiem do końca, żeby mnie poprawić. Udajesz, że nie widzisz, jak mam rękę między zębami, żeby ktoś inny zwrócił mi uwagę?

Jakie błahe sprawy. Zrobiło jej się gorąco. O tym zamierzała wspominać? O rękoli między zębami? O tym, że Amanda podaje jej deser z mniejszą ilością dodatków? Miała wrażenie, że najbardziej pragnie teraz rzucić się do wierzgającej dziewczyny i uwolnić ją z obrzydliwych węzłów. Pozwolić jej uciec. Dać jej życie. Była bezsilna wobec swoich własnych zamiarów. Myśli w jej głowie nachodziły na siebie, jednak w głębi wiedziała, że jest już za późno. Choć wydawało się to głupie, nie chciała teraz zbłąźnić się przed swoją ofiarą. Przed dwudziestotrzyletnią dziewczyną, która niedługo umrze z jej własnych rąk. Ona nikomu nie opowie o jej stanowczości, o jej nieustraszonej woli. Jest teraz jedyną widownią, ale nie przekaże już nikomu tego, co się zaraz wydarzy.

Sandra podeszła blisko do stołu i ponownie nachyliła się nad koleżanką. Specjalnie wypuściła prosto w jej nozdrza powietrze z ust, z których nieprzyjemnie dobywał się swąd po dopiero co spalonym papierosie.

- Chciałaś wyjść za mąż, zapewne mieć dwójkę równie ułożonych dzieci. Marzyłaś, żeby ich włosy były tak czarne jak Sebastiana. Pomyśl teraz, że nic, o czym marzyłaś, się nie spełni. Rozluźnij się. Już nie musisz się niczego bać, nic cię nie czeka.

Złapała ją za szyję obiema rękami i odskoczyła jak poparzona. Dotyk zimnej skóry podziałał na nią odrzucająco. Nie tak, nie tak. Pomyślała, że nie ma żadnego planu B. Najważniejszy aspekt tego wieczoru był kompletnie niezorganizowany. Dopracowywała każdy szczegół zwabienia przyjaciółki do tej obskurnej budy, a kiedy nadszedł czas na gwóźdź programu, pozostała bezradna. Jej ofiara wyglądała, jakby pogodziła się z losem, przestała się ruszać, a z policzków kapały ogromne łzy, które schludnie chowały się w gęstych włosach. Być może miała nadzieję, że nie stanie się to, czego się spodziewała, być może chwiejna psychicznie Sandra wycofa się ze swoich zamiarów, wiedząc, jakie to stało się trudne. W głowie związanej dziewczyny pojawiło się wiele „być może”, a przy „być może to tylko sen” wyzionęła ducha.

## Adam

Adam siedział w wyjątkowo, jak na wtorkowe popołudnie, zatłoczonej restauracji, ulokowanej między sklepem mięsnym, z którego zawsze dochodziły nieprzyjemne zapachy, oraz nową księgarnią okupowaną przez kilku kujonów szukających nowinek technicznych w najnowszych wydaniach „Mechanika”. Mimo unoszących się wokół nieciekawych perfum starszych pań oraz mieszanki potu i zapachu napiętej skóry paru mięśniaków z pobliskiej siłowni filiżanka ciemnego espresso wydawała mu się obecnie najprzyjemniejszą rzeczą, która przydarzyła mu się w ciągu całego dnia. Miał niezwykłą zdolność wyłączania wszystkich niepotrzebnych zmysłów i popadania w zadumę, myślenia o rzeczach dla niego ważnych. A co teraz nazywał ważnym? Sam dokładnie nie wiedział albo nie umiał tego nazwać. Czuł jednak, że powinien iść drogą inną niż dotychczas. Od kilku miesięcy starał się dokładnie wszystko przemyśleć. Często odkładał te ważne refleksje na później i wmawiał sobie, że nie ma teraz na to czasu, który z dnia na dzień, płynnie przechodząc przez fazę dzieciństwa aż do dorosłości, biegł coraz szybciej. Niczym rozpędzający się piętnastoletni samochód. Choć w rzeczywistości czasu miał tyle, że mógłby przemyśleć całe swoje życie i zaczepić nawet o kilka innych. Ale szukał odpowiedniej pory i miejsca. Nie chodziło jednak o myślenie szkolne, potrzebne do rozwiązywania trudnych krzyżówek albo skomplikowanego fizycznego zadania, ale myślenie o tym, co musi, a co powinien, co trzeba, a czego nie wypada. Dokładnie od

ośmiu miesięcy zebrało się w nim tyle spraw do przemyślenia, że wiedział, że odkładanie tego na kolejne jutro było już niemożliwe. Tak, wreszcie wybrał restaurację. Starą, znaną. Nie, to nie było idealne miejsce. Ale ta lekko spontaniczna decyzja przyszła nagle i z pewnością wykraczała nieco poza jego zamiary. Wyobrażał sobie przecież tyle razy, że swoje życiowe decyzje będzie podejmował podczas silnego wiatru na szczycie rozległej góry, otoczony skałami, tuż obok przepływającego strumienia. A więc restauracja. Miejsce pospolite i niezbyt atrakcyjne. Po drugie, miało być samotnie najbardziej, jak się da. Ale i tym razem plan upadł. Otaczało go chyba z dwadzieścia innych osób, nikt nie próbował nawet mówić stonowanym głosem, właściwie niemal każdy zachowywał się, jakby był na ogromnym targowisku i negocjował trzy komplety skarpetek za cenę dwóch. No i całości dopełniała muzyka w tle. Zwykła, radiowa, a nie podniosła i liryczna. Jennifer Lopez zamiast Mozarta. Jedynie w temacie pory wszystko się zgadzało. Zapadł już wieczór, lampy na zewnątrz paliły się od dobrej godziny. Tak, pora była idealna. Zamówił kolejną filiżankę i zaczął myśleć. Na poważnie. Było mu tak cholernie źle jak jeszcze nigdy. Tym razem przeniósł swoje myśli znowu do małego Igora. Igor, Igor, Igor. Jak by teraz wyglądał? Czy widząc przygnębionego brata, podszedłby do niego i poklepał po ramieniu, mówiąc, że jakoś to będzie, że wszystko się ułoży i nie ma co płakać z powodu dziewczyny? Czy nazwałby go sierotą, mazgajem i przedrzeźniałby go, udając zapłakanego geja? Adam wiedział, że nieistotne, która wersja okazałaby się prawdziwa – żadna z nich nigdy się nie urealni. Za każdym razem, kiedy gdybał na temat Igora, budziło się w nim uczucie podobne do ogromnego głodu. Jednak nie dało się go zniweczyć dwoma hamburgerami zalanyymi puszką coli. Musiałby przeszczepić sobie

mózg, co nieraz oferowali mu złośliwi koledzy. Musiałby przestać myśleć i pozbyć się wszystkich wspomnień. A to jedno jedyne utrzymywało się w nim tak mocno jak azot z tlenem w powietrzu. Niestety nie mógł sterować zasobem swoich wspomnień i wybierać tych, które postawi sobie w głównej komorze serca, tuż obok aorty, aby móc się nimi chwalić, wracać do nich i stymulować dzięki nim tych kilkanaście mięśni twarzy, które powodują uśmiech. Z drugiej strony czuł jednak, że nie może traktować wspomnienia o swoim bracie jak resztek po wczorajszej pizzy. Przecież to część ich wspólnej historii. Może bolesna i uwierająca, jak metka przy nowej bluzie, ale część nieodłączna.

Płyta nielegalnie zgrana na jego odtwarzacz leciała ciągle i ciągle od początku. Wpadł już w stan tak głębokiej apatii, że nie wiedział, czy jest jeszcze na tym świecie, czy już po drugiej stronie. Ale chciał tak trwać. Nie musiał wstawać, niepotrzebnie się podnosić z miejsca, w którym jest mu tak wygodnie. Może i trzeba było coś zrobić, najlepiej coś produktywnego, co podniosłoby stan jego zależącego i od dawna nieaktywnego umysłu. Podjął pewną decyzję mającą na celu zaważyć na jego przyszłości, na tej płaszczyźnie przyszłości, która powinna być dla każdego człowieka najważniejsza. Ale nie jest. Może i na szczęście, bo przecież musi istnieć jakaś równowaga w przyrodzie – coś musi być bardzo złe, żebyśmy zobaczyli, że coś jest bardzo dobre. Prosta definicja życia, zresztą jedna z wielu.

Tak, podjął decyzję i właśnie analizował wszystkie za i przeciw. Choć raczej szukał wymówek i usprawiedliwień, to ten denerwujący cichy głosik ciągle powtarzał mu w głowie kolejne denerwujące słowo: MUSISZ. Nie mógł już patrzeć na to, jak go rozsadza i nosi po całej kuli ziemskiej, a z drugiej strony wszystko



w nim upada i chce leżeć.

Powiedział to sobie w dzień pogrzebu brata. Zostanie lekarzem. Decyzja może i została podjęta, ale tak już jest, że od podjęcia decyzji do jej wykonania jest długa droga wyściełana najróżniejszymi kamieniami – płaskimi, po których można ślizgać się naprzód, albo kanciastymi i ostrymi, które swoją chropowatą powierzchnią powodują tarcie przedłużające drogę. Ale ślepi nie jesteśmy, widzimy te kamienie z daleka, przecież zawsze należy patrzeć pod nogi. Trzeba zbierać te kamienie, a kiedyś ułożyć z nich niezniszczalną twierdzę, a nie mur wyższy i potężniejszy od nas, niepozwalający się przebić na tę lepszą stronę.

Zasnął na kanapie, miękkiej i wygodnej. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Część uznała go za młodego pijaczka, który po maratonie w nocnych klubach przyszedł zaspokoić swój wilczy apetyt i w błogim stanie odsypia utracone godziny. Dla innych stanowił nieszkodliwy element dekoracji i klimatu tego miejsca, tak że postanowili nie ingerować. Czasami bywa tak, że wracające co chwila myśli stają się tak rutynowe, że przywołują nagły sen. Nagle Adam znalazł się w ciasnym samochodzie, pędzącym o wiele za szybko w stosunku do tak wyboistej drogi i licznych zakrętów. Wóz wydawał odgłosy niczym samolot odrzutowy. Jednak z każdą sekundą wydawało mu się, że jest coraz ciszej i ciszej... Odwrócił się. Za nim siedział uśmiechnięty Igor. Jego przydługie już włosy wesoło unosił wiatr, który przedostawał się do samochodu przez w połowie otwarte okna. Śmiał się głośno, na początku wesoło i radośnie, a potem coraz bardziej szyderczo, głosem mrozącym krew w żyłach. Igor ciągle krzyczał w jego stronę, ale tak naprawdę nie wydawał żadnego dźwięku. W końcu, cały spocony, obudził się i zapragnął już nigdy nie zasypiać. A przynajmniej nie w tej knajpie, gdzie stał się teraz

główną atrakcją, będąc uznanym za szaleńca.

Spotkał ją na ciasnej, zatłoczonej ulicy tuż obok wykwintnej restauracji, chyba jedynej w obrębie kilkuset metrów, i od razu zwrócił na nią uwagę. Nie, nie poczuł od razu, że to ta jedyna albo że zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nic z tych rzeczy. Nie był nawet onieśmielony czy oczarowany. Po prostu zwróciła jego uwagę, a przecież często zwracamy uwagę na sprawy błahe i nijakie jak przelatujący po ulicy papier albo na ludzi kompletnie bez wyrazu, bezbarwnych, którzy przyciągają nas jakimś prostym detalem. W tym przypadku padło na malutką bliznę. Ot, zwykła pamiątka po jakimś miniwypadku, który zapewne wtedy był dla niej ogromną tragedią. Obok okrągłego (zwanego przez jej rodziców kartoflanym) nosa, umiejscowiona może ze dwa centymetry nad kącikiem spierzchniętych, kompletnie niezadbanych ust. Dwadzieścia minut życia upłynęło Adamowi na dogłębnej analizie tej blizny jako czegoś niezwykłego i odkrywczego. Zastanawiał się, czy poprawiał obraz jej pyzatej twarzy, czy wręcz przeciwnie. Zwykle nie odzywamy się do obcych ludzi, bo przecież są obcy, nie wiadomo, co odpowiedzą (o ile w ogóle). Lepiej nie ryzykować zapasów bezstresowej egzystencji i nie wdawać się w wymianę słowną z osobą z nieznanego środowiska. Ale nieraz cisną się na usta pięknie ułożone zdania, które analizujemy w głowie jeszcze kilkanaście razy, robiąc to często niepotrzebnie i zdecydowanie za długo, tracąc przy tym czas na ich wypowiedzenie.

- Gdybyś miała możliwość zagwarantować komuś, że jego życie będzie pasmem szczęśliwych momentów, kto by to był?

Odwróciła się. Przez chwilę zastanawiała się nad autorem tych słów. Niemożliwe.

- A jaka odpowiedź stawia mnie w najlepszym świetle? -  
Uśmiechnęła się zawadiacko. Zaskoczyła go, choć nie dał tego po sobie poznać. Odparł tonem zupełnie obojętnym:

- To było chyba jedno z głupszych pytań, jakie mi przyszło do głowy. Chciałem być tak bardzo oryginalny.

Zmrużyła oczy.

- Pewnie sam masz kogoś, komu chciałbyś dać tonę szczęścia. Dlatego ci się to nasunęło.

- Masz piękne włosy.

- Co to za zmiana tematu?

- Jestem prostolinijny. Coś mi się podoba, to chcę o tym mówić. To moje iście coelhowskie pytanie to durnota. Podoba mi się te skrzypek, o tamten. - Pokazał jej palcem wskazującym chłopaka, który z otwartym futerałem oczekiwał na zapłatę od zabieganych przechodniów, wygrywając na kilku strunach proste melodie, które dla każdego amatora wydawały się całkiem miłe.

- Taa, jest niezły.

- Znasz się na muzyce?

- Co to znaczy, że się znam? Mówię ze strony zwykłego obserwatora. Też jestem prostolinijna, coś mi się podoba, to o tym mówię.

- Co z tymi włosami?

- Co z nimi? Dlaczego tak zmieniasz tematy?

- Wiem co nieco o damskich zabiegach. Prostujesz je czy kręcisz?

- Naprawdę cię to tak interesuje?

- Chcę wiedzieć, czy jesteś kreatywna, czy głupia.

- Rozumiem, że mnie szpiegujesz i wcześniej upewniłeś się, jak jest naprawdę. Inaczej chyba bałbyś się, że druga wersja jest prawdziwa i stracisz potencjalną znajomą.

Zaśmiał się perlistym śmiechem.

- Na świecie jest ponad siedem miliardów ludzi. Myślisz, że jedna znajoma robi mi jakąś różnicę?

- Tak sobie zdobywasz przyjaciół? - Dała mu kuksańca w bok, co go lekko zbiło z tropu. Tak szybki kontakt fizyczny po kilkudziesięciu minutach gapienia się na bliźnę i paru zdaniach rozmowy?

- Dobra, zacznijmy od nowa.

- OK. Jestem Sandra.

- Po co mi się przedstawiasz?

- Przecież zaczynamy od nowa!

- Myślisz, że imię jest najważniejsze, kiedy dwie osoby dopiero co się spotkały?

- Jeśli nie jesteśmy w burdelu, to tak.

Przeszukiwanie mózgu w celu szybkiej riposty nagle się zacięło. Wydobył z siebie tylko jedno.

- Skąd wiesz, jak to jest w burdelu? - zapytał Adam, po czym uśmiechnął się z miną bezdomnego po sześciu piwach.

- Jesteś bezczelny!

- Ja? Ty jesteś bezwstydna. Dziewczynie nie przystoi mówić takich rzeczy!

- A co nam przystoi?

- Wam? Jesteś tu tylko jedna.

- Nie wiem, czy wiesz, ale mianem „dziewczyny” określa się więcej niż połowę ludzi ze wspomnianych przez ciebie siedmiu miliardów...

- Jaka pyskata!

- Jaki... yyy!

Od dawna nie przeklinała, więc nazwanie go teraz w sposób, jaki miała na końcu języka, nie mogło jej przejść przez gardło.

- Ooj, przyznaj, że to nie było zbyt błyskotliwe! Takich przymiotników to używają dzieci w przedszkolu.

- Mam cię wyzywać jak dorosły?

- No nie mów, że zaczniesz przeklinać!

Wciągnęła powietrze i niskim, wręcz melodyjnym głosem oznajmiła:

- Nie mam czasu na takie pierdoły. Spieszę się. - Lekko szturchnęła go barkiem, powodując delikatne odchylenie od pozornie niewzruszonego pionu.

Może oczekiwała, że ją zatrzyma, złapie za nadgarstek, pociągnie do siebie i zatopi w jej niepomalowanych i niewymasowanych, mimo rad internetowych blogerek, wargach. Jednak nie zachował się jak aktor z amerykańskich wyciskaczy łez, tak uwielbianych przez szesnastoletnie dziewczyny. Po prostu pozwolił jej iść dalej, sam pokręcił jedynie głową.

Kim był dla Sandry Adam Roznerski? Często robiła sobie dokładną analizę ich relacji. Był jej krzesłem, jej telefonem, jej łóżkiem. Dlatego już chciała, żeby mógł być wszystkim, bo łatwiej komuś powierzyć kolejne funkcje, niż budować wszystko od nowa. Siedziała teraz naprzeciwko niego. Nie miała pojęcia o tym, że być może w przeciągu poprzedniej godziny jego nieproporcjonalnych w stosunku do reszty twarzy ust dotykały obce wargi, a rozczochrane włosy gładziła obca dłoń. Uwielbiała na niego patrzeć. Był tak niesamowicie szczery. Szczerość przejawiała się w każdym jego kroku, w każdym ruchu, w każdym słowie, nawet w każdym mrugnięciu okiem i głębokim spojrzeniu. Ale najpiękniejszy był jego szczery śmiech. Zupełnie jak dziecko, które cieszy się z tego, że wymalowało nowymi farbami cały pokój gościnny. Był uzależniony od tytoniu. Nienawidziła tego

nałogu, ale przecież nie mogła mu tego zabronić, bo przecież nie należał do niej. Wyłączyła wszystkie urządzenia elektroniczne, które ze sobą nosiła, chcąc mieć stały kontakt ze światem. Miała świadomość, że to ułuda.

Skoro podjął już decyzję, to czas najwyższy przełożyć myśli na czyny. A raczej na słowa. Ale właśnie zdarzyło się to, co zazwyczaj ma miejsce, kiedy już zyskamy gotowość, by się czegoś podjąć. Pojawiają się przeszkody absolutnie nie do przeskoczenia. Tak się przynajmniej wydaje. W tym przypadku tą przeszkodą było sto osiemdziesiąt centymetrów europejskiej piękności z oczami przeświecającymi jak laser. Pojawiła się tak nagle i niespodziewanie, a właśnie takie nieoczekiwane sytuacje rosną do rangi najgorszych do udźwignięcia dla przeciętnego osobnika. Sto osiemdziesiąt centymetrów pięknego ciała pod kopułą rozwianych złocistych loków, uznawanych przez wszystkich kolegów Adama za zbyt dziewczęce. Siedzieli na zdecydowanie zbyt miękkiej kanapie, trzymając w rękach nowe pady, i z całej siły wciskali rozmaite guziki, aby na ekranie stać się szybszymi, lepszymi, celniejszymi. Przechylali się na wszystkie strony, traktując swoje ciało jak część ekranowej postaci, która żyje w dwóch różnych światach. Musiał zacząć. Mimo że pamiętał dokładnie obietnice, które jej składał, już teraz wiedział, że nie jest w stanie spełnić żadnej z nich.

- Nigdy nie myślałem, że będę miał kogoś, z kim będę mógł pograć w gry wideo, i że to będzie dziewczyna.

Zarumieniała się. Odebrała to jako komplement. Przecież bez przerwy słyszy się o dziewczynach, które dają swoim drugim połówkom ultimatum: ja albo gry, ja albo koledzy, ja albo papierosy. Ona nie chciała być taka szampowa. Dawała mu dużo swobody. Nie inwigilowała go w żaden sposób. Wciąż wydawał jej

się zbyt nierzeczywisty, dlatego odsuwała każdy akt natręctwa, aby czuł się tak komfortowo, jak to tylko możliwe. Starła się za wszelką cenę wbić w jego świat, wyczuwać jego nastroje i dostosowywać się do nich. Chciała patrzeć jego oczyma, mieć takie samo zdanie na każdy temat i dzielić dokładnie takie same pasje. Wiedziała, że ta fascynacja mogła się wydawać obsesyjna. Ogarniała ją histeria, strach przed niepowodzeniem. Ta niespokojna myśl, że mogłoby go teraz zabraknąć, wydawała jej się śmiertelna. Zwłaszcza po ostatnich przeżyciach. Mimo że dotknęła ją ta rodzinna katastrofa, myślami krążyła często wokół jego dramatu, swój odstawiając gdzieś na bok.

- Myślisz czasami o bracie?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie taki miał być temat dzisiejszego wieczoru. Chciał zacząć od komplementu, złagodzić całą sytuację i płynnie przejść do głównego wątku. Nie rozumiał, po co zaczynała rozmowę o jego bracie. O wypadku. Sandra już zaczęła się bać, że popełniła gafę i że to może go zbytnio zasmucić, starała się więc szybko myśleć, jak zmienić tory rozpoczętego dialogu, więc dodała:

- Wiesz, chodziło mi o brak męskiego towarzystwa. Bo gdyby nie ja, pewnie teraz to z nim byś grał i robił eee... inne rzeczy. Męskie.

- Nigdy nie graliśmy razem. Był jeszcze za mały - skwitował krótko.

Nie chciał dodawać, że po prostu nie lubił, gdy mały krzątał mu się wokół ekranu, a na jego usilne namowy, aby jako starszy brat pomógł mu zrozumieć ten skomplikowany mechanizm i wprowadził go do świata kolorowej grafiki i energicznych ruchów kciukami po plastikowych urządzeniach, reagował totalną ignorancją. Zauważył, że Sandrze zrobiło się smutno, a nie chciał



jej przecież sprawiać przykrości. Wielu ludzi go pytało o brata i zawsze starał się odpowiadać stonowanym głosem, przygotowanym wcześniej tekstem. Najczęściej kończyło się to słowami: „Wszystko dobrze, idziemy do przodu, jakoś to będzie, oby mu było tam lepiej”. Odezwał się swoim charakterystycznym, chropowatym głosem:

- Od męskich spraw miałem przyjaciela. Sebastiana. Ale nie mamy ze sobą kontaktu. Jakoś się nam urwało, było nie po drodze.

Nie była to do końca prawda, ale póki co miała wystarczyć.

- Hmm... Wiem, jak to jest. Też miałam przyjaciółkę i nam też było nie po drodze. Za dużo różnic, jakoś się to rozplynęło.

- Ta, więc wiesz, o czym mówię. No widzisz, ludzie są ze sobą zżyci, mają niby tyle wspólnego, a jednak coś nie zagra i koniec.

Wydawało jej się, że każdy jej organ rozrywany jest na części. Nie wierzyła w to, co mówi. Zawsze na początku przychodziło niedowierzanie. Później nadzieja przeplatana z cierpieniem. Nieustające czekanie. A kiedyś zapomnienie. Każdy z tych etapów rządził się swoimi prawami, których nie chciała zaakceptować.

Adam w duchu wiedział, że to dobry moment na rozstanie. Spotykali się już kilka miesięcy. Z początku był nią szczerze zafascynowany. Jednak szybko zauważył, jak ona łatwo się od niego uzależnia. Wyczuł w niej brak pewności siebie. Gotowa była przyjąć wszystkie jego opinie za swoje, wszystkie jego gusta podejrzanie pasowały do jej. Nie tyle przeszkadzało mu kupowanie lodów o tym samym smaku, pójście do kina na film wybrany przez niego czy zgoda na palenie papierosów w jej obecności, mimo widocznego grymasu na twarzy. Potrzebował przeciwności, czuł silną potrzebę popisania się, szokowania, nic nieznaczących kłótni, dopięcia swego... Czuł, że dając mu

swobodę, Sandra jednocześnie całkowicie go ogranicza. Że przez nią stoi w miejscu.

Sandrze przyspieszył oddech. Nie była głupia. Wiedziała, o co chodzi, bo rozpoznała jego minę, która świadczyła o tym, że zamierza się z czegoś wycofać. Nie chciała dopuścić do kontynuacji tej rozmowy. Potrzebowała jednak jednego małego potwierdzenia. Wstała z kanapy i prawie nie mrugając, powiedziała:

- Tak, masz rację. To nie ma racji bytu. Czuję dokładnie tak samo.

Brak jego reakcji był tym potwierdzeniem. Długo później dowiedziała się o Kai, swojej koleżance z warsztatów, na które chodziła bardzo systematycznie. Sandra chciała pracować w teatrze, była jedną z najlepszych dziewczyn, ze swoją świetną dykcją i wczuwaniem się w rolę jakby pisaną tylko dla niej. Rzuciła wszystko z powodu zajść w jej mieszkaniu na trzecim piętrze. Adam był jej oazą, tak bardzo ją wspierał, mówił tyle obiecujących słów, które wyryła sobie w myślach i powtarzała co wieczór, co ułatwiało jej zaśnięcie. Czy już wtedy prowadził podwójną grę? Sandrze wydawało się to niemożliwe. Tak często gościł w jej myślach, aż uznała, że jest przy niej cały czas, więc niewykonalnym był fakt, aby mógł ją zdradzać. Ona musiała ukrywać fakt, że nie wiedziała o Sebastianie, który przecież był chłopakiem Amandy, więc nie sposób było nie wiedzieć, o co się pokłócili i dlaczego tak emocjonalnie reagował na wspomnienie o jego młodszym bracie, który zginął w wypadku.

Była wściekła. Złość odbierała jej teraz umiejętność logicznego myślenia. Ale chyba już dawno je straciła. Pewnie zaraz po tym posunęła się do zabójstwa, które nie pozostawiło w niej nawet krzty żalu. Sandra czuła, że znajduje się

w tragicznej sytuacji. Była pólsierotą opuszczoną przez swojego ukochanego, bez przyjaciółki, która jako jedyna знаła jej nieszczęśliwe zaloty wobec Adama. Amanda nie wiedziała już, że jej się udało, że przez parę miesięcy mogła być dziewczyną tego, który tak długo był dla niej niedostępny. A teraz znowu znajdowała się w punkcie wyjścia. Znow Adam był „tym niedostępny”. Ale o tym jej przyjaciółka się nie dowie. Więc nie zobaczy jej drwiącego uśmiechu, pełnego triumfu.

Dzisiaj musiała bardzo się spieszyć, żeby zdążyć przed zamknięciem sklepu obuwniczego. Kiedy człowiek się spieszy, przestaje zauważać, co się wokół niego dzieje, silnie skupiając się na celu. Istotnie, nie zauważyła przechodzących obok niej, zabawnie wyglądających bliźniaczek ani małego chłopczyka, który stroił głupie miny i był bardzo zawiedziony faktem, że nie wywołał tym u niej choćby miłego uśmiechu. Miała już silne rumieńce na twarzy i lekką zadyszkę, a w duszy modliła się, żeby właścicielka sklepu bardzo ociągała się z zamknięciem interesu. Albo chociaż miała niesprawny zegarek. Nowe buty musiała mieć dziś, to było jej absolutnie potrzebne i nic nie mogło stanąć na przeszkodzie. Prawie biegła, gdy przed oczami ukazała jej się sylwetka wychodząca właśnie zza rogu, za którym miała skręcać. Przechodziły obok niej dziesiątki przeróżnych ludzi, ale jego nigdy by nie przegapiła, nie przeszłaby obok obojętnie i z pewnością by go nie zignorowała. Nie mogła wyjść z podziwu, jak dobrze działa w tym przypadku prawo przyciągania. Jeszcze chwilę temu, śliniąc się, patrzyła na jego zdjęcie udostępnione w internecie. Jakby był od niej oddalony o kilkaset kilometrów i miał nigdy nie pojawić się w jej życiu. Obliczyła szybko w myślach, że do spotkania z nim ma około minuty. Na nic zdadzą

się zabiegi mające na celu ulepszenie fryzury czy poprawianie makijażu i było o wiele za mało czasu, żeby czerwone rumieńce zdążyły zniknąć. Zauważył ją. Sandra nie mogła uwierzyć, że właśnie patrzy na Adama. Na chwilę jasny brąz jego oczu spotkał się z głęboką zielenią, przy akompaniamencie poruszających się warg wypowiadających trzy literki, z których składał się jednosylabowy wyraz „hej”, pozornie niemający żadnego znaczenia, niewnoszący niczego w życie wypowiadającego go człowieka. Przeszli obok siebie, robiąc sztuczny wiatr, który zakręcił się w miejscu. Odwróciła się i patrzyła na jego szybkie kroki, modląc się, żeby on nie zrobił tego samego. Wystarczyła jedna krótka chwila, jedno urwane spojrzenie i jedno słowo, żeby serce biło jak młotek w rękach fachowca, a twarz przypominała dorodnego buraka. Tak właśnie na nią działał. On ją fascynował o wiele bardziej niż spotkanie z międzynarodową gwiazdą. Widziała w nim to, co najlepsze, w jej oczach otaczało go błękitne światło nadające mu rangę bóstwa. Tak właśnie go postrzegała. Zapewne znajdowała się o krok od fanatyzmu, jednak ściśle trzymała się tej granicy, co więcej, nie dawała nawet po sobie poznać, jak on działa na każdy jej organ. To była trudna sztuka, która wymagała od niej wiele energii. Energii, która nie słabła z dnia na dzień, co mogło wydawać się bardzo dziwne z powodu braku jakichkolwiek oznak zainteresowania z jego strony. Ale tak to właśnie jest w dzisiejszym świecie - najsilniejsza miłość to ta nieodwzajemniona. Czy to ma jakiś sens? Czy może być tak, że całe uczucie, które powinno mieścić się w duszach dwóch osób, jest zawarte tylko w jednej? To boli i niszczy, ale nie tyle, by jednoznacznie - jakkolwiek - zakończyć nienazwaną jeszcze gehennę. Codziennie biła się w twarz za ten brak odwagi. Oczywiście biła się w myślach, żadna fizyczność nie wchodziła

w grę. No właśnie, żadna - między nimi także. Czasami myślała, że ich natury są kompletnie rozbieżne, i to dlatego nigdy się nie spotkają. On ze swoją swobodą wypowiedzi i jasno określonymi zasadami był od niej oddalony o lata świetlne. Od niej: nieśmiałej, zaplątanej, nieokreślonej i zmiennej. Nie potrafiła mu pokazać swoich dobrych cech, bo tak ją onieśmielał, że jej błyskotliwe poczucie humoru zmieniał w mizerny chichot. Sytuacja jednak miała się zmienić, bo Sandra zauważyła - a obserwowała to zjawisko bardzo uważnie - w sobie pewne zmiany. Nazwała to napojem Galów. Nie tylko dlatego, że wczoraj oglądała jedną z części *Asterixa i Obelixa*. Uważała, że podobnie jak Galowie, ona też czuje w sobie magiczną moc po wypiciu napoju. Nie sądziła, że może mieć jakiegokolwiek negatywne skutki dla jej zdrowia, skoro przynosi niemal zbawienne skutki dla jej umysłu. Rozjaśnionego i odważnego. Po napój sięgała za każdym razem, gdy czuła, że znalazła się o wiele za nisko na swoim wykresie dobrego humoru. Na początku ten humor kupowała sobie za ogromne pieniądze, dopóki nie pochłaniał większości jej wydatków. W końcu porzuciła na tym humorze z najniższej półki, o który prosi się cichym, wstydliwym głosem. Dobiegła do sklepu. Zamknięte. Na cztery spusty. Miała wrażenie, że krzątająca się właścicielka szyderczo uśmiecha się pod nosem, widząc zza witryny zziąjaną dziewczynę. Szlag!

W odbiciu zauważyła wysoką postać, która ewidentnie szła w jej stronę. Odwróciła się. To ona! Czy to możliwe? Czy siła przyciągania naprawdę tak działa? Co następne? Spotka jego matkę, kuzynów, bandę kolegów ze szkoły?

- Sandra, cześć!

Nadgorliwe przywitanie. Miała wrażenie, że Kaja ma zamiar wycisnąć z niej soki trawienne. Jej uścisk od razu wydał jej się

nienaturalny i poniekąd złowieszczy, choć nie umiała dokładnie wytłumaczyć dlaczego. Typowe kobiece, instynktowne szukanie wroga w kobiecie jej wymarzonego mężczyzny. Kaja miała na sobie luźne ubrania, które nonszalancko opadały z jej ramion i uwidaczały jej chude biodra. Obie dobrze wiedziały, że nie była to nieprzemyślana stylizacja, a celowy zabieg mający na celu ukazanie jej seksownej strony. Miała też nieprzyjemny tik polegający na otwieraniu oczu bardzo szeroko, jakby co chwila coś do niego wpadało. Sandrze pasowała ta jej malutka niedoskonałość. To może być jedna z wielu rzeczy, które mogłyby zrazić Adama, choć na pewno znika na tle wszystkich jej zalet. Kaja ze swoim rozgadanyim typem charakteru zaczęła rozmowę z niechętnie nastawioną Sandrą, która zdawała sobie sprawę, że od minuty nieświadomie się uśmiecha.

- Szłam sobie właśnie, no nie, i gdzie nie patrzę, tam pozamykane. Święto jakieś czy coś? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Wiem, co się stało, Sandruś. Bardzo mi przykro, nawet nie wiesz jak! Kiedy nie przyszedł na warsztaty aktorskie któryś raz z rzędu, zrobiłam wywiad z każdym, kto cię mógł lepiej znać. Dopiero Adam mi uświadomił, co jest grane. Masakra. Totalna masakra.

Używanie słów „masakra”, „totalna” i „no nie” było równie odpychające, co jej głupi tik nerwowy. W jednej wypowiedzi przypomniła jej dwie sprawy, które ciągle szamotały się ze sobą w jej świecie, które wciąż wywoływały takie same emocje.

- Taaa... Wiesz, nie chwaliłam się tym nikomu. Właściwie ucięłam wiele kontaktów, nie mówiąc już o zajęciach. Skupiłam się na bieganiu. Odchodzę z warsztatów na stałe.

- Naprawdę?! Byłaś jedną z lepszych dziewczyn! Serio! Masz taką... taką charyzmę. Mówisz na scenie, jakbyś sama to napisała.

Podziwiałam cię, nieraz byłam o ciebie zazdrosna.

„Co za przekorny los! Ja jestem zazdrosna o ciebie, wysoka flądrol” Kaja poczuła w sobie jak gdyby zmysł terapeutki.

- Wiesz, ty i Adam bardzo mi teraz przypominacie siebie. On po stracie brata, ty po...

- Kaja, proszę, wiem, że masz dobre zamiary i chcesz mnie pocieszyć, ale nie trzeba. Nie jestem zbyt sentymentalna ani płaczliwa. To już minęło, to już mija, dzisiaj cały dzień myślałam o cholernych butach w tym sklepie - zapukała w szybę obuwniczego, w którym ekspedientka nadal krzątała się, układając rozrzucone buty na odpowiednich półkach - więc chyba wszystko ze mną w porządku. Nie spędzam czasu na cmentarzu, nie latam po psychiatrach i jeżeli wyglądam jak zombie, to tylko przez kilka niedospanych nocy. Tyle w temacie.

Kaja nie wyczuła jej niegrzecznego tonu. Ale nie trzeba jej było dwa razy powtarzać.

- Hm, masz rację, najważniejsze to iść do przodu. Brawo, dziewczyno!

„Co za tępota! Zaraz mi wciśnie jakieś górnołotne cytaty”.

Chociaż oprócz wspólnych warsztatów teatralnych, i Adama, który był ich wspólną miłością, nic nie łączyło jej z Sandrą, chciała z nią chwilę postać i porozmawiać. Może dlatego, że już nie miała swojej najlepszej przyjaciółki... Postanowiła zagaić na jakiś temat, który pozwoli oderwać myśli od Adama:

- Kaja, słyszałaś o tym wypadku w kostnicy?

Dziewczyni błysnęły oczy. Znowu irytująco otwierane na nienaturalną szerokość.

- Tak, tak! Coś strasznego. Nie mogłam uwierzyć. U nas w miasteczku! Gdzie wszyscy się znajdują! I nikt nie wie, jak to mogło się stać, a co najważniejsze, kto to zrobił. Przecież ja wiem,

jakie pieczywo kupuje babka dwa bloki dalej i kiedy się urodziło dziecko dostawcy kebabów z centrum miasta. Jak to się mogło stać, że takie morderstwo pozostaje niewyjaśnione?!

Po jej minie Sandra wnioskuje, że naprawdę jest zszokowana i pełna zdziwienia, że lokalna policja nie jest w stanie rozwiązać tej zagadki. Pewnie wydawało jej się, że w takim mieście jak to anonimowość nie ma prawa bytu. Czuła się lekko połamana, bo wyczuła u znajomej podziw dla mordercy za jego przebiegłość i możliwość ukrycia się. Sama była pełna podziwu dla siebie. Miała nawet przez chwilę ochotę zdradzić jej szczegóły swojej zbrodni i opowiedzieć, jak udało się jej czmychnąć z miejsca tragedii zupełnie niezauważona, bez pozostawienia śladów swojej obecności. Chciała ją wprawić w osłupienie, zszokować... Jednak z trzeźwym umysłem odpowiedziała:

- W policji dzieją się teraz dziwne rzeczy. Mam wrażenie, że chaos na komisariacie utrudnia im pracę na zewnątrz.

Kaja spuściła wzrok i stłumionym głosem odrzekła:

- Ach tak, przesłuchiwali ciebie i mamę...

- Mhm. Ta cała Maria Werner to głupia, tępą idiotką! Nie potrafi zadawać pytań, zrzuca winę na ciebie, a przecież...!

Zdawała sobie sprawę, że za bardzo się uniosła. A to miała być jedna z jej zasad - nie pokazywać po sobie, że coś, co ma związek z morderstwem, w jakikolwiek sposób ją drażni. Kaja zauważyła jej wściekłość. Od razu zrzuciła to na stres z powodu jej ojca. I całej sytuacji. Chciała szybko zmienić temat i przypadkiem weszła na grząski grunt. Choć ta sprawa siedziała jej gdzieś z tyłu głowy, przyjęła sobie za punkt honoru, aby jej nie poruszać. Jednak chęć uspokojenia dziewczyny całkowicie zaburzyła jej racjonalne myślenie.

- Wiem, że ty i Adam mieliście ze sobą jakąś...



„A jednak! Co ona robi?!” Sandra była pewna, że nieporuszenie tematu mężczyzny, który skradł serca dwóm dziewczynom naraz, to nadrzędna zasada rozmów na trzeźwo (kobiety zakropione alkoholem już dawno wyjaśniłyby sprawę z powyrywaniem włosów i naskórkiem za obdrapanymi paznokciami). Wypuszczając haust powietrza, Sandra weszła jej w zdanie:

- ...jakąś nic nieznaczącą historię.

- Ach, to dobrze, bo wiesz, no nie, to pozwoli nam być przyjaciółkami.

„Przyjaciółkami?!”

- Nie mówię tu o takiej przyjaźni, wiesz, nie wiadomo jakiej, ale jakbyś miała ochotę kiedyś, coś.

- Tak, jasne, dzięki wielkie.

Powiedziała to tonem, który świadczył o końcu ich rozmowy. Tym bardziej że wykonała widoczny ruch w stronę, z której przyszła, mając zamiar wrócić do domu. Zamiast się pożegnać i obiecać sobie, że zrobi wszystko, by unikać jej do końca życia, wypaliła z pytaniem, na które chciała znać odpowiedź tylko w przypadku, gdy będzie dla niej taka, jaką sobie sama posklejała w hipotetycznym dialogu:

- Czy Adam coś o mnie wspominał?

Kaja wydawała się zbita z tropu. Szybko prześledziła swoje wspomnienia. Jej odpowiedź świadczyła o tym, że z zakresu empatii, wyrozumiałości i dobrego zachowania wobec porzuconych dziewczyn oblałaby każdy egzamin życia:

- Ach, no wiesz, tylko tyle, że w sumie zapowiadało się na coś fajnego, ale po tych dwóch miesiącach był zmęczony twoimi nastrojami. - Zanim zakryła usta ręką, domyślając się, że nie to powinna powiedzieć, a ta szczerza wypowiedź była kompletnie nie

na miejscu, Sandry już nie było. Pokazała, jak świetnie idą jej treningi biegowe.

Adam przeglądał kolejny gruby tom, wciąż natrafiając na niezrozumiałe wyrazy. Czasami upewniał się, czy aby na pewno książki są pisane w języku polskim, bo kolejne zdania kazały mu mocno w to wątpić. Kilka, ba, kilkanaście razy musiał powstrzymać się przed ciśnięciem książką z całej mocy w świeżo malowaną ścianę. Ale wtedy zamykał na chwilę oczy i mówił do siebie po cichu:

- Musisz, musisz.

Po czym brał kilka głębszych oddechów, bo gdzieś przeczytał, że odpowiednie oddychanie to klucz do spokoju. Zdawał sobie sprawę, że dla wymyślanego obserwatora z zewnątrz albo dla równie hipotetycznej ukrytej kamerki musi wyglądać jak kompletny idiota cierpiący na ciężką psychiczną przypadłość. W końcu usiadł na starym tapczanie, jedynym tak obskurnym w całym domu, i ukrył twarz w dłoniach. Uważał, że to wygląda dramatycznie, a właśnie tak się czuł. Siedział w ten sposób może kwadrans i trwałby tak pewnie dłużej, dopóki ktoś nie zapukał do jego drzwi. Myśl, że to Kaja, pojawiła się w nim szybciej, niż światło dociera do Ziemi.

- Cześć, kochanie.

Mama.

- Co ty tu robisz? - zapytała nieśmiało, zdając sobie sprawę, jak bezsensowne jest to pytanie. Weszła przecież do pokoju swojego syna, który siedział z nietęgą miną na sofie. Zamknęła cicho drzwi i zajęła miejsce obok niego.

- Siedzisz w tym pokoju od wczoraj, nigdzie nie wychodzisz. Jesteś chory?

Matka zrzucała teraz każdą jego gorszą chwilę na chorobę. Denerwowało go to jej proste myślenie, jednocześnie poczuł falę ciepła. Wciąż była tą jedyną osobą, która tak bardzo się o niego martwiła. Dotknęła nieludzko chłodną dłonią jego czoła.

- Nie, mamó, nie jestem. Muszę się przygotować na jutro.
- A co jutro jest?
- Ważny egzamin z mechaniki.
- Mhm.

Siedzieli obok siebie, nie patrząc w swoim kierunku. Tkwiąc w nieruchomej pozycji, spoglądali przed siebie, jakby ściana z kontaktem była obecnie najistotniejszą rzeczą w całym wszechświecie.

- Z kim pójdziesz na komunię Marysi?
- Nie wiem.

Ot, zwykły kontakt w ścianie. Adam zapatrzył się w niego i wpadł w błogi stan. Nie chciał nawet na chwilę odrywać od niego wzroku. Komunia. Rodzinne spotkanie pełne zachwyków nad idealnym ciastem, głośnego sączenia taniej kawy, stukania się kieliszkami przy każdym toaście. Wujek w spodniach z szelkami, bo nie mógł znaleźć odpowiedniego paska przy jego otyłości brzusznej. Niezliczona ilość zdań rozpoczynających się od „A pamiętasz...”.

- Z Kają?

Cały czarny kontakt z białym obramowaniem. Wkręciło go to małe plastikowe cacko. Miał ochotę zdjąć je ze ściany.

- Nie.

Oczy pani Roznerskiej powędrowały dziewięćdziesiąt stopni w prawo, zatrzymując się tuż przy twarzy jej syna.

- I nie powiesz mi dlaczego, tak?
- Mamó, nie musimy rozmawiać na takie tematy.

- Ty nie chcesz rozmawiać na żadne tematy.

- Taki jestem.

Kobieta wstała i wyszła. Ot, tak po prostu, bezceremonialnie, jakby chciała w pustym pokoju popatrzeć z synem przez chwilę na kontakt w ścianie, po czym znudzona wróciła do swoich obowiązków. Adam nie chciał i nie mógł z nią rozmawiać, bo ciągle miał przed sobą jej widok: skulonej, zapłakanej i małej, leżącej w kuchni, jak gdyby tam znajdowało się jej łóżko. Zatkanął sobie wtedy uszy, żeby nie słyszeć przerażającego płaczu, w którym ukryta była straszna gorycz. Nie podszedł, nie pomógł jej wstać, nic do niej nie powiedział, tylko z zasłoniętymi uszami patrzył bezmyślnie w ekran telewizora. Od tamtej pory stwierdził, że skoro on nie przejął wtedy jej problemu na siebie, to ona nie może dźwigać jego kłopotów. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że już to ją bolało i sprawiało, iż czuła, że utraciła jeszcze jednego syna...

- Chcesz zostać lekarzem?

- Tak.

- Od kiedy?

Adam popatrzył na nią w taki sposób, że wiedziała. Mimo wszystko zapytała, choć przyszło jej to z trudem:

- Od wypadku, tak?

- Tak, mamo.

Pani Emilia Roznerska przełknęła głośno ślinę i odłożyła krzyżówki trzymane w ręce. Długopis z łoskotem spadł na podłogę. Wstała bardzo energicznie i złapała Adama za ramiona.

- Synu, wiesz, że lekarze nie mogli mu pomóc! Zmarł na miejscu. Nie wiem, skąd w tobie taka decyzja, ale nie możesz mówić, że zawiedli lekarze i ty chcesz wszystko naprawić.

Adam przewrócił oczami. Cała mama i jej wyszukane zdania. Popatrzył na nią z miłością. Bardzo się cieszył, że trzyma go za ramiona. Było to dla niego takie półprzytulenie, którego bardzo potrzebował, choć zdawał sobie sprawę, że umiejętnie ją od siebie odpychał.

- Mamo, ja naprawdę zrozumiałem jedno. Nie wiem, jaki to ma związek z wypadkiem. Ja po prostu od tamtej pory chcę mieć jakiś cel w życiu. Coś się we mnie poruszyło, czułem się taki zgnięty od środka, nie mogłem znaleźć niczego, czym mógłbym się pochwalić.

- Ale, kochanie, takie rzucanie się na głęboką wodę? Mogłeś skosić trawnik.

Roześmiali się jednocześnie. Adam poczuł się nagle tak bardzo szczęśliwy. Wystarczyła mu obecność tej kobiety, krótka rozmowa, jej kurze łapki wokół ciemnobrązowych oczu. Żaden wieczór z Kają nie mógł mu tego dać. Przytulił mamę mocno, chciał zawrzeć w tym uścisku wiele uczuć, ale wiedział, że ona potrzebuje tylko jego bezpieczeństwa. Potrzebuje myśli, że jej syn idzie w dobrym kierunku, że nie chce zawieść samego siebie. Przez moment ucieszyła ją jego decyzja. Nie myślała o tym, że będzie mogła się chwalić koleżankom w restauracji, zdając im na bieżąco raport o jego wynikach. Nie brała pod uwagę ciężkiej drogi, jaką będzie musiał przejść, aby się dostać na medycynę. Jedyne, co jej sprawiało radość, to fakt, że przyszedł w końcu do niej, sam z siebie, bez gburowatego nastroju, pochwalić się jej swoim małym sukcesem. Tak jak Igorek, który po raz ósmy z rzędu narysował kanciasty dom i plamkę przypominającą psa i podkładał jej pod sam nos, czekając na słowa pochwały. Łza zakręciła jej się w oku. Adam uznał to za oznakę wzruszenia.

- Wiem, mamo, że nie da się ostatnio ze mną wytrzymać. Ale

nie chcę, żeby tak było. Na pewno czeka nas jeszcze mnóstwo głupich niezgodności, będziesz chciała skracać moje wyjścia ze znajomymi i gonić mnie do pomagania w domu, a ja będę się migał, jak tylko mogę. Ale chcę tak żyć, normalnie, choćby nie wiem jak ta normalność miała teraz wyglądać. Tata oszedł tak dawno, że jesteś dla mnie obydwójkiem rodziców w jednym. I ja teraz chcę być dla ciebie dwoma synami.

Popłakali się oboje. Jednak po wysuszeniu ostatnich kropeł na policzkach zaczęli rozmowę, jakby byli swoimi kolegami. Emilia świetnie dopasowywała się do slangu Adama i zadawała wnikliwe pytania, co nie przeszkadzało mu w żadnym stopniu, bo dramatycznie potrzebował kogoś, komu mógłby się w końcu wygadać.

Właśnie zdarzyło się coś, co zmieniło myśli Sandry na zawsze. Przynajmniej tak jej się wydawało. Tak jak obiecywała sobie, że nie będzie już używała cukru. Mimo tego pokusa była tak ogromna, że musiała sięgnąć chociaż po jedną łyżeczkę. Ale teraz czuła, że to będzie coś innego, coś głębszego i bardziej trwałego. Czuła, że te miesiące ciągłej pogoni za jego spojrzeniem, za słowem skierowanym tylko do niej wcale nie poszły na marne. Co więcej, opłaciło się je przeczekać. Właśnie po tych kilku miesiącach stało się to, co już wielokrotnie miało miejsce w jej myślach, w jej snach i urojeniach, w jej wieczornych scenariuszach i jej najgłębszych fantazjach. I tych najpłytszych też. Przekonywała się o jednym. Wiedziała, że jest największym egoistą, jakiego znała. Że jest brutalny, natarczywy, często niemoralny. Że jego zachowanie, jego słowa były absolutną opozycją w stosunku do jej dziecięcych marzeń o cudownym księciu, idealnym w każdym calu, dla którego będzie liczyła się

tylko ona, jej potrzeby, spełnianie jej zachcianek, uczestnictwo w jej marzeniach. Wiedziała, że to człowiek zasługujący na największą pogardę, na krzywe spojrzenia poważnych ludzi, na mentalną chłostę za wszystkie upokorzenia i nieetyczne występki. Ale wiedziała na pewno jeszcze jedno. Że to miłość jej życia. W największym parszywcu dostrzegła mężczyznę, z którym chciałaby spędzić resztę swoich dni. Wmawiała sobie to bardzo długo. Musiała się porządnie nakręcić. Nienawiść do niego wzbierała w niej z sekundy na sekundę. Spotkanie z Kają jej w tym pomogło. Przypominała sobie jej twarz i zszokowaną minę. „Tak, tak! Coś strasznego. Nie mogłam uwierzyć. U nas w miasteczku! Gdzie wszyscy się znają!”

Teraz też nie uwierzy. Jeszcze nigdy nie widziała ich razem. Zawsze osobno, ostatnio często z ukrycia. Nie miała pojęcia, gdzie spędzają wspólny czas. Jak mogą wyglądać ich randki? Wstała z łóżka, na którym leżała dobrych kilka godzin, wbijając sobie do głowy nowe kłamstwa, które miały oczerniać Adama i sprawiać, że stanie się dla niej obiektem nienawiści. Z Kają nie miała już takiego problemu. Dla niej była z góry skreślona. Zabicie jej przyjdzie o wiele łatwiej. Zakręciło jej się w głowie.

Popatrzyła w lustro umieszczone naprzeciwko jej okna. Całą twarz miała popuchniętą. Nie zdawała sobie sprawy, że tak wygląda. Widocznie mimowolnie musiała sobie popłakiwać. Odkręciła kran z zimną wodą i zanim zanurzyła swoje palce pod strumień, ktoś zapukał do drzwi. Jeszcze nie wiedziała, że to ostatnia osoba, z którą będzie rozmawiać przed śmiercią. Otworzyła powoli drzwi, jeszcze mocniej czując opuchliznę na swojej twarzy. Za nimi stała jej sąsiadka. Sandra marzyła, by mogła zastąpić jej matkę.

Droga dłużyła się w miarę zbliżania się do celu. Czuła się coraz bardziej znużona, mimo że najlepsze atrakcje były jeszcze przed nią. Wypaliła z tuzin papierosów i skrupulatnie odkładała je do słoika wypełnionego wodą, w którym złowieszczo pływał spalony popiół z upchanymi śmierdzącymi petami, ułożonymi bardzo starannie na dnie. Jedną ręką zamknęła wieczko, drugą manewrowała kierownicą, ledwo utrzymując kontrolę nad pojazdem. Asfalt wymagał gruntownego remontu, dziury na jezdni wydawały się nie do ominięcia, zresztą i tak starała się przejechać po każdej z nich. Z przeciążonego bagażnika raz po raz dochodziły odgłosy przerzucanego worka ziemniaków. Sandra uśmiechała się pod nosem i z zadowoleniem patrzyła na swoje skórzane rękawiczki, które z lekkim skrzypieniem przesuwają się po obręczy kierownicy. Przez otwarte okno wpadało świeże majowe powietrze; rozkoszowała się nim i głęboko wciągała do płuc. Wiedziała, że do końca zostało jeszcze kilka kilometrów. Wdepnęła mocniej pedał gazu i na chwilę zamknęła oczy. Ta droga była prawie nieuczęszczana, mogła sobie na to pozwolić. Dobra, już są. Budynek wyglądał tak, jak to sobie wymarzyła. W środku wszystko czekało przygotowane. Tym razem była gotowa na kilka opcji, założyła niespodziewane sytuacje i po cichu miała nadzieję, że coś nie wypali, żeby mogła wdrożyć któryś ze swoich planów awaryjnych. To, co zamierzała zrobić, nie wystarczało jej spragnionej doznań duszy, chciała problemów, zamętu. Z bagażnika dobiegały stłumione głosy. Nagle cały tył samochodu zaczął pulsować. Sandra uśmiechnęła się pod nosem. Nie, nie w głowie im teraz swawole. Są przywiązani tak blisko siebie, może kręci ich niestandardowa sytuacja. Tak to sobie dopowiedziała, oczami wyobraźni widziała spoconą dwójkę ludzi, którzy mimo mocnych więzów rozebrali się i teraz ocierają się



o siebie, mocno napaleni, modląc się, aby móc się w siebie zatopić. Jakże się rozczarowała, kiedy podnosząc klapę, zobaczyła dwie wystraszone twarze spoglądające na nią z bólem w oczach zaszkłonych łzami. Dziewczyna miała całą twarz opuchniętą po całogodzinnych krzykach, które zatrzymywały się na srebrnej taśmie mocno przewiązanej przez usta. Chłopak wyglądał o wiele lepiej, jego oczy świdrowały okolicę. Otumaniony świeżym powietrzem, nie wierzył w to, co widział wokół siebie.

- Co, misiaczki kochane? Jak wrażenia? Widoki po drodze były cudowne, szkoda, że nie mogliście tego zobaczyć!

Dziewczyna znowu chciała krzyczeć, jednak głos uwiązł jej w gardle. Sandra kontynuowała:

- Dziwne, że nikt tu nie mieszka. Żadnej żywej duszy w okolicy. Ale na pewno pojawi się kilka martwych. Co ty robisz?!

Spodnie chłopaka zaczęły nasiąkać w kroku moczem. Mimo usprawiedliwienia widać było, że jest bardzo speszony. Sandra zdenerwowała się. Chciała niespodziewanych sytuacji, ale nie obrzydliwych. Dodatkowa czarna robota.

- Z twojego sprzętu nigdy nic dobrego nie mogło wyjść. Ty głupia fujaro. - Kopnęła go z całych sił w mokre miejsce. Zwinął się z bólu, strumień łez popłynął z przekrwionych oczu.

Byli ściśnięci tak mocno, że ich kończyny mocno zsiniały. Żadne z nich nie było w stanie wykonać wielu ruchów, ale ostatek sił próbowali się szamotać i wrywać. W Sandrę wstąpiły niesamowite moce. Po półgodzinnej walce wywlekła oboje do ceglanego budynku z jednym oknem i dwoma fotelami. Sama usiadła na taborecie naprzeciwko rzuconych ciał, które patrzyły na nią z coraz większym strachem. Słoik z wypalonymi papierosami postawiła na parapecie. Wyciągnęła z kieszeni kurtki pilniczek i ochoczo zaczęła wyrównywać sobie paznokcie

u kciuków.

- Wiecie, ten pilniczek ma ciekawą historię, ale nie chcę wam jej teraz opowiadać. Mam ciekawsze sprawy do omówienia. Ale najpierw pytanie. Kaja, masz ochotę się czegoś napić? Wiem, że jesteś abstynentką, ale przyznasz, że taka okazja wymaga dobrego trunku. Chyba dziś sobie nie odpuścisz. Taka sytuacja może się więcej nie powtórzyć.

Adresatka pytania z sekundy na sekundę robiła się coraz bardziej czerwona. Prawie tak czerwona jak wino, które Sandra otworzyła z wielkim hukiem.

- Napij się, kochana. Zasłużyłaś.

Cała butelka alkoholu wylądowała na kruczoczarnych włosach i spływała powolnym strumieniem na twarz. Jej ciało zaczęło konwulsyjnie dygotać. Zapach moczu unosił się w powietrzu.

- Kochanie, wiesz, że nigdy nie lubiłam zapachu papierosów. Nie odpuściłeś sobie nigdy dymka, dmuchając mi nim w twarz dla zabawy. Teraz, skoro chciałeś zostać lekarzem, pewnie miałeś zamiar rzucić. Czy szewc bez butów chodzi?

Zbliżyła do niego swoją twarz z drwiącym uśmiechem. I stała się kolejna niespodziewana rzecz. Chłopak uderzył ją czołem w nos.

- Ty debilu! Ty debilu!

Zatkała sobie ręką krwawiące nozdrza i z impetem podeszła do okna, i otworzyła słoik z petami. Całą zawartość wylała na swojego napastnika. To miała być jedna z tych rzeczy, które miały ich upokorzyć. Najpierw zamierzała go tym napoić, jednak z góry wiedziała, że ten zabieg mógł nie pójść już tak gładko. Zapach moczu zmieszał się teraz z o wiele okropniejszym zapachem. Butelka wina uderzyła o betonową podłogę w opuszczonym magazynie, Sandra, wystraszona, poderwała się lekko,

zapominając o bolącym nosie i strumieniu krwi.

- To miał być mój popisowy numer, chciałam poprzeć go długim wywodem, ale cóż, nic nie jest tak, jak sobie to planujemy, co?

Wrócił jej dobry humor. Znowu czuła się triumfatorką. W końcu to oni są skazani na nią. Nie ma się czego bać, nic jej nie mogą zrobić. Czuła, że rozpiera ją nowa energia, ból jakby ustąpił, a ona znajdowała się niemal w euforycznym stanie.

- Uwaga, pytanie numer dwa! Co to jest?!

Wyjęła z kieszeni skórzanej kurtki ciężkie metalowe narzędzie. Jej towarzysze rozwarli mocniej oczy, o ile było to jeszcze możliwe. Ich przerażenie sięgało zenitu.

- Tak, kochani, wygląda na pistolet, co?

Z rozmachem wstała z krzesła, które z łoskotem opadło na beton, i podeszła do dygocącej dziewczyny, która w sekundę zeszywniała. Sandra przez chwilę napawała się jej widokiem i nagle z niesamowitą siłą rozdarła jej bawełniane szorty, które skrywały pod sobą pomarańczowe figi. Zauważyła cienką podpasękę, już od dawna przesiąkniętą krwią. Zdała sobie sprawę, jak cała akcja robi się coraz bardziej obrzydliwa. Najpierw mocz, teraz krew menstruacyjna. Nie czuła zapachu ognia, zimnej stali, wiszącej w powietrzu grozy. Wszystko, co się teraz wokół niej działo, było albo odpychające, albo zwyczajnie nudne, życiowe. Mimo wyciekającej krwi postanowiła ciągnąć dalej swoje przedstawienie.

Miesiączkująca dziewczyna nie czuła się zakłopotana, serce biło jej w piersi coraz szybciej, w miarę jak stalowy pistolet wsuwał się jej między uda. Poczowała chłodzące zimno. Nie miała siły krzyczeć. Poza tym bała się, że najmniejszy ruch może spowodować wystrzał.

- Wydaje mi się, że dawno nie miałaś tam niczego tak szerokiego.

Zaśmiała się niemal demonicznym śmiechem, który wielokrotnie ćwiczyła. Teraz wyszedł jej prawie naturalnie.

- Tak, wygląda na pistolet, a to - wyciągnęła z jej krocza zimny przedmiot i nacisnęła spust. Z lufy wyłonił się mały płomień - tandetna zapalniczka!

Choć wiedziała, że w samochodzie czeka na nią kanister z benzyną i że, zgodnie ze swoim planem, musi go tylko przynieść, rozlać jego zawartość na wijącą się parę i podpalić cały nieużywany budynek, to patrząc na zsiniałego chłopaka, z którym przecież tyle ją łączyło, wpadła na inny pomysł...

## Sebastian

Stawał się coraz bardziej poirytowany. Zwykła czynność, którą wykonywał do tej pory w ciągu kilku sekund, teraz zajmowała mu cały kwadrans. Dwanaście głośnych oddechów i marny efekt. Zawiązana sznurówka wyglądała jak dzieło uczącego się tej czynności dziecka. Wyprostował się i popatrzył na siebie w lustrze. Blond włosy opadały na czoło mimo użycia kilku różnych środków do stylizacji, reklamowanych przez mężczyzn o niezmienniejącej się fryzurze. Jego lewa noga była znacznie grubsza od prawej. Próbował siłą woli wepchnąć do niej do końca sprawnej kończyny nowe mięśnie. Jakby od samego patrzenia i ogromnej chęci miały się w niej pojawić. Tak bardzo pragnął wyglądać jak kiedyś. Schodzić po schodach, podskakując, pokonywać gładko niskie ogrodzenia. Przejście kilkunastu metrów było dla niego męczarnią, czasami bardziej psychiczną niż fizyczną. Krępowały go ludzkie spojrzenia, które wciąż starały się wywnioskować po ruchach reszty ciała, czy jego ułomność jest wrodzona, czy nabyta. A jeśli to drugie, to od jak dawna. I kiedy wypada wyciągnąć ku niemu pomocną, ale nie litościwą dłoń. Zdawał sobie sprawę, że oczekiwał pocieszenia z każdej strony. Lubił znajdować się w centrum uwagi, łechtany dobrymi słowami, mieć rękę na ramieniu któregoś ze swoich licznych kolegów, słyszeć śmiech dziewczyn, które rozbawił jego sprośny żart. Wypadek niczego nie zmienił w jego narcystycznej naturze. Mimo że wstydził się tego, jak wygląda (co przy każdej możliwej okazji skrętnie wyjaśniał), bardzo chciał, żeby wszyscy wiedzieli, jak

źle i podle mu w nowym ciele, jak wypadek zmienił jego życie. Jego związek z Amandą był już dawno skreślony. Rozbite auto i mnóstwo szwów nie zmieniły niczego w jego braku pociągu do tej dziewczyny. Czuł się przy niej jakby ubezwłasnowolniony, czasami zdawał sobie sprawę, że od kilku miesięcy nie zjadł niczego, co mu naprawdę smakuje, bo ona dobierała mu wszystkie posiłki, które według niej powinien jeść prawdziwy mężczyzna. Ze szpinakiem między zębami myślał o tym, że ich rozmowy są zbyt oficjalne. Zanim odpowiedziała na jego pytanie, już znał jej odpowiedź. Wypadek tylko pogorszył ich relacje. Po pierwszych łzawych dniach i niemal całodobowej opiece przyszło zmęczenie. Nie interesował się jej uczuciami, nie chciał wiedzieć, jak ona odnosi się do nowego etapu ich znajomości. Pragnął tylko odzyskać siły i wrócić do swoich dawnych nawyków. Irytował go jeszcze inny fakt. Brak męskiego towarzystwa. Owszem, przychodzili do niego koledzy, interesowali się jego stanem zdrowia, rzucali kilka dobrych kawałów i dawali mu możliwość popisywania się, ale ciągle czuł niedosyt. Wiedział, że zamieniłby całą bandę tych poubieranych w za duże ubrania i nakrytych za małymi czapkami bałwanów na jednego przyjaciela. Na Adama Roznerskiego. Powstrzymywał go nieopisany strach przed kontaktem z nim. Wstyd, że nie był na pogrzebie jego brata. Częściowo z powodu swojego jeszcze złego stanu, jednak głównie przez wyrzuty sumienia. Nikt nie zarzucał mu tego wprost i przez wzgląd na jego wybuchowy charakter na pewno nie miał zamiaru. Jednak Sebastian unikał spotkania twarzy ludzi, którzy mogliby go samym wzrokiem wpędzić w poczucie winy. Poczucie, które ciągle mu towarzyszyło. To on był kierowcą. Wszystkie myśli dotyczące wypadku z pewnością kręciły się wokół jego trzeźwości, umiejętności prowadzenia auta, braku podzielnej

uwagi. Sam dobrze wiedział, że za kółkiem zmieniał się w jeden skupiony punkt, wiedząc, że ma pod sobą maszynę, z którą nie można się bawić. Nie pochwalał wszystkich tych wariatów drogowych, którzy wyciskali ze swoich czterokołowych przyjaciół, „ile fabryka dała”. Nie chciał tego przyznać, ale o wiele lepiej czuł się, kiedy samochód sunął wolniej. Trochę niepokoił się nawet wymogami na autostradach, w które nie mógł się wpasować ze swoim spokojnym stylem jazdy.

Świetnie wiedział, że to nie jego wina, na pewno nieumyślna, że tego dnia, przy idealnym nasłonecznieniu, braku opadów, braku innych uczestników ruchu, jego stary peugeot po kilku solidnych remontach uderzył w jedno z wielu złowieszczo stojących przy drodze drzew, które tylko czekały na roztrzaskane auta, jakby ich kora domagała się błyszczącego metalu. Jednak niemożność przypomnienia sobie wszystkich szczegółów z tego dnia sprawiała, że wstydził się. Po ludzku się wstydził. Z palącymi uszami, z powykręcanyimi wnętrzościami, wstydził się i unikał Adama i jego matki jak ognia.

Sebastian obliczył, że minęło dokładnie osiem miesięcy. Osiem długich miesięcy. Tak długo go nie widział. Tak bardzo za nim tęsknił i przyznawał to sam przed sobą. Tęsknił za nim i nieraz odtwarzał w głowie ich wspólne dialogi, przeglądał zdjęcia, na których w kadrze mieścił się choćby kawałek nogi Adama. Wtedy był obecny. Nie odstępował go na krok. Nie było w ich przyjaźni lidera. Obaj czuli się na równi, silnie zależni od siebie. Gdyby tylko tego dnia nie zgodził się jechać po Igora, ochoczo oferując jego matce pomoc w przywiezieniu syna z zawodów pływackich. Chciał przypodobać się po raz kolejny pani Emilii, a skończyło się tylko tym palącym wstydem.

Z powodu uszkodzonej nogi nie mógł prowadzić samochodu.

Zresztą nawet gdyby był w pełni sprawny, a przed nim stał najnowszy mercedes, nie odważyłby się pojechać. Ta awersja do auta zostanie w nim pewnie jeszcze bardzo długo. Musiał jednak dostać się do centrum miasta. Taksówka podjechała piętnaście minut po jego telefonie.

- Dzień dobry.

Miły, starszy mężczyzna. Wyglądał, jakby jego poprzednia praca miała związek z prowadzeniem tira. Siedział zbyt wysoko, pewnie wciąż się nie odzwyczaił.

Sebastian wsiadł z ogromnym trudem i odpowiedział, starając się, by jego głos brzmiał jak najbardziej przyjaźnie:

- Dobry. Na Raławicką proszę, pod rondem wysiadę.

- Wsiądzie pan? Chyba się wywlecze!

- Taaa.

- Co to, nóżka połamana?

- Mały wypadek.

- Pewnie z łózka pan spadł! - Taksówkarz zarechotał.

Sebastian przewrócił wymownie oczami. Już wiedział, że nie znajdzie z nim wspólnego języka. Typowy grubiański humor, wszystkie żarty kierowane na erotyczne tory. Szczerze mówiąc, żałował, że nie dowlóknął się jednak o kulach. Taksówkarz o imieniu Tadeusz, jak sugerowała tania plastikowa tabliczka za przednią szybą, widocznie szukał z nim kontaktu. Poprawił obwisły brzuch, tak żeby nie utrudniał mu kierowania pojazdem, i odezwał się poważnym tonem:

- Słyszał pan, co to się teraz dzieje w tym mieście? Jakies science fiction.

Sebastian zdziwił się, że wyglądający na kanapowego pozeracza schabowych w grubej panierce mężczyzna tak bezbłędnie wypowiedział dwa angielskie słowa, które z pewnością



nie zostały użyte w dobrym kontekście. Zauważył, że Tadeusz nie zawsze używa kierunkowskazu. Mocniej złapał uchwyt przy swoich drzwiach. Podjął rozmowę:

- A co się dzieje?

- Chłopcze, mordują ludzi!

- Jakich ludzi?

- A właśnie przypadkowych, normalnych obywateli. Żadnej skazy nie mieli, jacyś tutejsi, ale ja ich nie znam. Ale żebyś wiedział, jak ich znaleźli. O matko! To się w ludzkiej głowie nie mieści.

Sebastian zanotował sobie w głowie, żeby dowiedzieć się, o czym mówi ten nieroztropny kierowca. Poczł wibrujący w kieszeni telefon i chciał odebrać. Pokazał taksówkarzowi świecący ekran na znak, że ma się nie odzywać. Nieznany numer.

- Słucham?

Szmery w tle.

- Sebastian?

- Tak, kto mówi?

Damski głos. Chyba upadł jej telefon, usłyszał trzask.

- Halo, kto mówi?

- Sebastian, nie wiem, gdzie jesteś, ale potrzebuję cię.

Słyszał czkanie spowodowane zbyt długim płaczem. Domyślał się, kto to, rozpoznawał ten głos, ale wierzyć mu się nie chciało, że dzwoni. Nagle do stojącego na światłach samochodu ktoś zapukał w szybę. Sebastianowi wypadł telefon z ręki, wystraszył się. Każdy odgłos, mimo że był tylko siedzącym z tyłu pasażerem trzymającym kurczowo pas bezpieczeństwa, wydawał mu się oznaką niebezpieczeństwa. Pan Tadeusz automatycznie otworzył okno, wyglądając przy tym jak szef wielkiej mafii, który załatwia interesy ze swoim gangiem.

- Co się stało?
- Pan z taksówki?
- Ta, ale zajęte.

Mężczyzna w ciemnych okularach, trzymający coś w prawej ręce, patrzył gdzieś w bok. Sebastian zobaczył, że połączenie zostało przerwane. Zapatrzył się na gościa, który pojawił się nie wiadomo skąd i zajmuje im czas. Auta zaczęły trąbić, poganiając ociągającego się kierowcę.

- Pan wie, czy jedzie tam teraz autobus 132?
- A co pan nie widzi?!

Tadeusz z otwartym oknem i piskiem opon odjechał, zostawiając nieporadnego mężczyznę samego sobie. Sebastian odwrócił się. Na oko trzydziestoletni, lekko zgarbiony. Zauważył w jego ręce laskę.

- On był niewidomy. To znaczy chyba niedowidzi.

Kierowca machnął ręką, również patrząc w lusterko nad czołem na stojącego mężczyznę, na którego trąbiły inne samochody chcące przejechać płynnie po uczęszczanym pasie ruchu.

- A co mi tam, mógł powiedzieć, że niepełnosprawny. Niech sobie psa załatwi, to go będzie prowadził. Wypuszczają takich samych sobie do ludzi i uważać trzeba, oczy dookoła głowy. Zaraz go rozjadą, jak się nie ruszy.

Sebastian poczuł do niego jeszcze większą niechęć. Popatrzył na swoją nogę. On też mógł być jednym z nich, tych, na których się trąbi, bo przeszkadzają w ruchu drogowym. Tych, których się omija na ulicy szybszym krokiem, bo nie wiadomo, czy nie potrzebują pomocy, a przecież każdy ma swoje sprawy, gdzieś się spieszy. Był tym, który nie może wjechać do swoich ulubionych restauracji w mieście, bo nie wybudowali tam jeszcze wjazdu dla

wózków inwalidzkich. Oddzwonił na numer, z którego dopiero co odebrał połączenie.

- Gdzie jesteś?
- U siebie w mieszkaniu.
- Ktoś jeszcze jest z tobą?
- Nie.
- Zaraz będę.

Rozłączył się i zalała go fala ciepła. Nadając swojemu głosowi jak najbardziej władczy ton, zwrócił się do taksówkarza:

- Proszę na Racławicką 18.
- No kolego, to ci się teraz baby zachciało.

Sebastian obiecał sobie w duchu, że zrobi wszystko, żeby już nigdy więcej nie korzystać z transportu z obcymi ludźmi, choćby miał człapać do każdego miejsca na czworaka...

Sandra odwiedzała cmentarz co kilka dni. Wiedziała, że tak wypada, choć gdyby to tylko od niej zależało, pojawiałaby się tam jedynie w znienawidzone święto zmarłych. Podobnie jednak jak od Wielkanocy i Bożego Narodzenia - nie miała szans się wymigać. Zawsze denerwowało ją sztuczne nakręcanie jakiegokolwiek daty w kalendarzu jako tego jedyne dnia, w którym albo spełniają się marzenia, albo możemy poczuć magię rodzinnego spotkania, albo zwierzęta mówią ludzkim głosem, albo coś jeszcze innego, co ofiarowali reklamodawcy na wielkich bilbordach psujących krajobraz miasta. To tylko okazje do wyłudzenia pieniędzy, do kupowania niepotrzebnych rzeczy, które potem leżą okrągły rok pod warstwą kurzu, gdzieś na strychu, obok tony innych bzdiewi kupionych pod wpływem chwili, pozostałości, które „jeszcze kiedyś się przydadzą”.

Na cmentarz chodziła wieczorową porą, starając się trafić

w jedną z najbardziej uczęszczanych wtedy godzin, tak aby mogli ją zauważyć inni ludzie, najczęściej znajomi lub tacy, którzy wiedzieli, jakie jest jej powiązanie z grobem położnym jak najbardziej po lewej stronie, z błyszczącym nagrobkiem i na bieżąco wymienianymi przez nią kwiatami. Stawała nad płytą, na której ktoś pięknie wyrzeźbił kilka słów: „Żal nasz bezmierny, cicha łza się sączy, ucichnie wtedy, kiedy Bóg nas złączy...”. Kiedy widziała go po raz pierwszy, istotnie się wzruszyła. Teraz nie wywoływał w niej żadnych emocji. O wiele bardziej podobało jej się: „A gdy już mi się zemrze, pochowajcie mnie twarzą do ziemi, tak żeby wszyscy jeszcze raz mogli pocałować mnie w dupę”. To przynajmniej ją rozweselało. Dzisiaj chciała też zobaczyć inny grób. Wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje, choć nigdy tam nie była. Zaczynało się już ściemniać i cały cmentarz wyglądał jak pięknie przystrojone podwórko jakichś bogaczy. Idąc, napotykała co jakiś czas starsze panie, które choć początkowo starały się mówić do siebie szeptem, teraz gaworzyły jak na targowisku. Każda była obładowana zwiędłymi kwiatami. Oddzielały od siebie znicze, które miały w sobie jeszcze dużo wkładu, od tych już całkowicie wypalonych.

- Mówię ci, Halinko, postaw te chryzantemy na środku, a te znicze to poustawiaj od największego.

- A zostaw te ładne kwiatki, weź je na początku połóż, to są sztuczne, to będą długo stały, a te prawdziwe na tył, to sobie będziesz wymieniać.

- Nie wyrzucaj tych zniczy. Patrz, tu mam takie, wyglądają jak książka, a tu z aniołkiem. Ja tylko wkłady kupuję gotowe i zapalam. To jak nowy znicz!

Minęła je ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Z daleka widziała już małe nagrobki. I natychmiast spostrzegła jeden

wyróżniający się od reszty, biały, świeżo wybudowany, jeszcze bez pięknej płyty i bez równie pięknego napisu wzbudzającego wzruszenie. Chciała przyspieszyć kroku, ale zauważyła postać, która zmierzała dokładnie w tę samą stronę. Panujący mrok i kulejący mężczyzna przyprawiły ją o dreszcze. Sebastian! Schowała się za pomnikiem Jezusa niosącego ogromny krzyż i obserwowała chłopaka z daleka, jak detektyw zbierający dowody na zdradę małżonka.

Sebastian postać dłuższą chwilę, dostrzegła, że ocierał rękawem policzki. Opierał się o nagrobek obok, pozycja stojąca była dla niego widocznie bardzo ciężka do utrzymania. Sandra spędziła niemal w bezruchu całe piętnaście minut, patrząc na niego. Mimo że wciąż czuła na rękach krew zabitego człowieka, zrobiło jej się bardzo smutno. Jakby przyływ niesamowitej empatii. Znała tę historię, bo przecież była tak mocno powiązana z osobami, które jej doświadczyły. Amanda była jej najlepszą przyjaciółką, przynajmniej tak siebie oficjalnie nazywały, ale nigdy nie poznała osobiście Sebastiana. Każda z nich miała za dużo obowiązków. Jeśli się spotykały, to tylko we dwie. Ale wiedziała o nim wszystko, bo ta chuda gaduła, napalona na małżeństwo bardziej niż głodny pies na karkówkę, nie omieszkała nie sprzedawać jej steku informacji o tym, jak układa się jej życie miłosne. Nigdy nie słysząc przebiegu ich rozmowy ani nie widząc ich przytulonych i wpatrzonych w siebie, od razu wiedziała, że to dwa odmienne charaktery, które nigdy się nie zgrają. Amanda za bardzo wszystko idealizowała. Nie było w jej cudownym życiu miejsca na dramaty, na nagłe zwroty akcji. Jego wypadek był jej nie po drodze. Wypadek jego i brata Adama. Na samą myśl o nim coś grzęzło jej w gardle, a żołądek kurczył się do rozmiarów orzeszka. Ale to już problem, który dla niej nie istniał. Dla

Sebastiana również...

Wizyta ojca w więzieniu była dla Kamila drogą przez mękę. Jego wywód sprawił mu wiele przykrości. Gdyby mógł wybrać, chciałby stracić wtedy słuch i tylko widzieć jego poruszające się wargi, które z nienawiścią wyrzucały kolejne słowa, śliniąc się przy tym nieestetycznie.

- Witaj, synu.

Jego oficjalny ton wydawał się Kamilowi tak głupi, zwłaszcza w tym miejscu. Miał ochotę dać ojcu w twarz. Czuł, że miał nad nim przewagę, poniekąd znajdował się na swoim terytorium. Nie musiał się wcale z nim widzieć, ale postanowił pozwolić mu na spotkanie z synem. Gdzieś głęboko chciał, żeby ojciec wziął go w ramiona, przytulił, dodał otuchy, powiedział coś, co dałoby mu nadzieję. Ale wiedział, że nic takiego się nie stanie i musi zgodzić się na taką rzeczywistość, którą daje mu los.

- Cześć, tato. Jak mama?

- Jak widzisz, nie ma jej tu, więc bardzo niedobrze.

Wzbudzanie poczucia winy. W tym był świetny.

- Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

Kamil widział po jego minie, że on sam chciałby odpowiedzieć na to pytanie, więc milczał. Z drżącymi nozdrzami ojciec powiedział:

- Wybory. Wiesz, kto je wygrał?

- Sądząc po tym, że jesteś tutaj, zamiast świętować gdzieś z szampanem w ręku, to raczej nie ty - powiedział chłopak złośliwie.

- Nie pyskuj.

Uniósł się. Kamil lekko się wystraszył, ale nie ruszył się z miejsca. Przecież tyle razy znosił jego wybuchy złości. Ojciec

przełknął ślinę i poprawił krawat. Granatowy. Jak każdy inny, który miał na sobie, z wyjątkiem ślubnego.

- Nie, nie ja. Suchorowski. Człowiek agresor. Wszyscy wiedzieli, jaki z niego porywczy korupcjonista. A jednak.

Kamil spuścił wzrok. Ojciec miał posadę w kieszeni, to było jasne. Choć nie mówił o tym wprost, dawał każdemu do zrozumienia, że prezydentura jest na wyciągnięcie ręki i reszta to tylko formalność. Sam siebie traktował tak, jakby już objął to stanowisko. Tak traktował też swoje konto bankowe, mając w planach zakup kolejnego samochodu. Przeliczył się, ale nie ze swojej winy. To zdenerwowało go najbardziej i nadawało teraz jego twarzy purpurowy odcień.

- Wiesz, ile włożyłem w to wysiłku? Ile nocy zarwałem, żeby dopiąć każdy szczegół na ostatni guzik? Ile miałem na głowie? Twoja latająca w chmurach matka i twoje dzikie wybryki wszystko mi utrudniały, ale szedłem po swoje. Wszystko się mogło zmienić...

- Co się miało zmienić? Twoje podejście do nas? Odsapnąłbyś? Miałbyś więcej czasu dla rodziny czy chodzilibyśmy jak w zegarku, żeby nie zepsuć ci publicznej opinii? Nie rozumiesz, że to dla nas nie miało znaczenia?

- Jak śmiesz tak mówić, niewdzięczny!

- Nie wyzywaj mnie!

Siedzieli naprzeciwko siebie z zaciśniętymi pięściami, jakby gotowi do walki wręcz. Kamil miał wrażenie, że jest w stanie wyrządzić mu fizyczną krzywdę, że nie poniesie już gorszych konsekwencji od tych, które go spotkały do tej pory. Romański zobaczył w synu jakąś bezradność i to dało mu satysfakcję. Odezwał się z triumfem w głosie:

- Chyba nie jesteś zadowolony ze swojej obecnej sytuacji? Nie

sądzę, że chciałeś tu być.

Rozejrzał się po pokoju, w którym znajdowało się jeszcze kilka innych par rozmówców, wszyscy skupili na nich wzrok. To go trochę ostudziło. Zwrócił się już miłszym tonem:

- Cóż, nie przeczę, że twój występki poniekąd zamknął mi drogę do rozwoju. Ale wiem, że to nie koniec. Nie z takich opresji wychodziłem obronną ręką.

Kamil zdziwił się tą nagłą zmianą w jego głosie. Twarz ojca jakby się delikatnie rozchmurzyła. Znał tę minę. Miał jakiś plan B, asa w rękawie.

- Wiem, że ktoś cię tu odwiedzał.

Ojciec interesował się jego dziewczynami?! Twarz Amandy stanęła mu przed oczyma. Nikt inny do niego nie przyszedł, nie licząc kolegi, który chciał sobie tylko przysporzyć sławy, że ma „kogoś za kratkami”. Odezwał się gburowato:

- No i?

- No i chyba dokładnie wiesz, czyja to córka.

- Czyja?

- Obecnego prezydenta miasta!

Znów się niepotrzebnie uniósł, przyciągając uwagę innych. Podniósł rękę na znak przeprosin. Kamil w mig zrozumiał jego intencje i znał już dalszy przebieg rozmowy. Chciał ją jak najszybciej zakończyć.

- Już tu nie przychodzi.

- Chyba mógłbyś ją sprowadzić? Dla mnie?

Zamrugnął jak kokietująca nastolatka, co wydawało się tak do niego niepasujące i nienaturalne, że wyglądał jak głupek.

- Po co? - zapytał, choć mógł teraz wydukać odpowiedź razem z ojcem.

- Chcę mieć na Suchorowskiego jakieś dowody, które będą



świadczyć o tym, że nie nadaje się na to stanowisko. – Odchylił się na krześle na znak, że powiedział coś bardzo ważnego i czeka na pozytywne rozpatrzenie jego żądania.

– Mam wywlekać czyjeś brudy na wierzch, zdobyć jej zaufanie i sprzedać ci najgorętsze kawałki z życia jej ojca, które by go pogrążyły?

– Dokładnie tak. Myślę, że tak byś odkupił swoje winy względem mnie.

Kamil roześmiał się tak głośno, że Romański w drodze do domu swoim lśniącym bmw słyszał jeszcze ten śmiech, cały dygocząc ze zdenerwowania.

– Po raz kolejny mówię ci, że nie potrzebuje nikogo takiego!

Sebastian leżał na łóżku, czując się bardzo bezsilnym wobec krzyczącej nad nim kobiety.

– Synku, teraz psychiatrzy to nie to co kiedyś. Nie jesteś czubem, tylko potrzebujesz pomocy!

Matka stała nad nim z rękami na biodrach i ze zmartwioną miną. Sebastian nie mógł już zliczyć, ile razy jej odmawiał.

– A zjedz chociaż jeszcze rosółku.

– A zadzwoń do kolegi, rozerwiesz się trochę.

– A pomógłbyś mi zrobić pierogi, będą na jutro?

– A może pojedziemy do dziadków, codziennie dzwonią.

Na siłę szukała mu różnorodnych rozrywek i starała się, by myślał, że wszystko jest normalnie. Była niesamowicie zorganizowana i mocno stąpająca po ziemi. Po wypadku nie płakała jak typowa matka, która martwiła się, że jej syn mógłby przestać chodzić, pozostać warzywem do końca życia lub nawet stracić życie. Nie, ona czekała, jak tylko otworzy oczy. Jej ściśnięte serce poczuło wtedy nowe siły, od razu przystąpiła do działania. Leczenie, rehabilitacja, nowe metody, które pozwolą jej

synowi wrócić do starego życia, w którym czuł się szczęśliwy i spełniony. Świadomie odrzucała od siebie myśli, że stracił przyjaciela, który był częstym gościem w ich domu i z zachwytem zajadał się jej ciasteczkami, bo głęboko wierzyła, a raczej była pewna, że wszystko wróci na stare miejsce. Jednak ostatnio jej natrętne namowy, mające na celu postawić syna na nogi, były nie do zniesienia. Mocno przybrały na sile, napotykając wyjątkowy opór.

Sebastian popatrzył na mamę. Wyglądała bardzo świeżo i zachwycała figurą dwudziestolatki. Była pasjonatką zdrowego jedzenia i kochała każdy rodzaj aktywności fizycznej. To ją można było spotkać na wszelkich imprezach sportowych, często jako liderkę grupy lub tę, która osiągała najlepsze wyniki. I to ją najgłośniej było słychać na trybunach stadionu, kiedy jej syn rozgrywał jeden ze swoich meczów. Był jej wdzięczny za wiele, ale teraz modlił się, żeby odpuściła.

- Mamo, wierz mi, sam do wszystkiego dojdę. Powoli, nie jestem taki jak ty. U mnie toczy się to trochę mozolnie, ale...

- Mozolnie?! Nie robisz żadnych postępów! Kto nie robi postępu, ten tak jakby się cofa!

- Chcę iść swoim tempem. Nie nakłaniaj mnie, proszę, do niczego, bo tylko pogarszasz sprawę!

Niepotrzebnie podniósł głos. Matka posmutniała. Zrobiła minę świetnie działającą na jej męża, który nie chciał z nią jechać na trzydniową wycieczkę w góry albo stanowczo odmawiał pójścia na bal charytatywny i wciśnięcia się w dobrze skrojony garnitur. Na niego działało, na jej syna niekoniecznie. Sebastian podniósł się na łokciach i powiedział ciepło:

- Mamuś, wiem, że chciałybyś odwiedzić babcię, słyszałem, że ma mnóstwo nowych zaszczepki od sąsiadki. Wiesz, jak by mógł

wyglądać za pół roku twój ogródek?! - Wyszczrzył zęby i zauważył, że kąciki jej ust delikatnie się podnoszą, więc kontynuował: - Więc proszę, jedź do dziadków na wieś, a ja pójdę na spacer...

Kobieta już otwierała usta, więc dodał:

- ...samotny! Ale obiecuję ci, że następnym razem nie odpuszczę i pojedę z tobą, nawet na jeden z twoich jarmarków ze zdrową żywnością.

Udawiała, że wierzy w jego słowa, i podrapała go po brodzie. Kręcąc głową, wyszła z pokoju ze słowami:

- Tylko nie bój się ludzi!

Sebastian został sam. Jej ostatnia rada była taka prawdziwa. Bał się ludzi. Bał się, że już nigdy nie będzie czuł się komfortowo w jakimkolwiek towarzystwie przez to, co się wydarzyło. Usunął wszystkie możliwe konta w serwisach społecznościowych. Miał nadzieję, że zainteresowani jego profilem pomyślą, że spędza czas na cieszeniu się życiem i prawdziwymi relacjami z rodziną i przyjaciółmi. Nie zmienił numeru telefonu, bo czekał na to jedno połączenie, które mogło nigdy nie nadejść... Opadł na poduszki i przypomniał sobie tę noc. Pamiętał dokładnie. Zaczęło się od kilku sygnałów, na które teraz tak czekał z utęsknieniem.

*Adam zadzwonił do niego, gdy oglądał wczorajsze skróty meczowe.*

*- Siema, stary byku! Zajęty jesteś?*

*- Nie, mogę gadać. Co jest?*

*- Nie uwierzysz, w co mnie mama wplątała. Trzeba młodego odebrać z jakichś zawodów. Tapla się gdzieś gówniarz i nie ma jak wrócić. Chyba nie wie, jak funkcjonują autobusy.*

*- I co, jedziesz po niego? To wpadniesz później?*

*- No właśnie nie mogę. Po piwku jestem. Za późno mi*

*powiedziała, a nie mogłem odmówić.*

*Po jego rozleniwionym głosie słyszał, że jest nie po jednym piwku. Może po połowie zgrzewki.*

*- Także prosba, Seb!*

*- Mam jechać?*

*- Wiem, że to dla ciebie podróż życia, bo umiesz tylko jeździć po podwórku, ale potrzeba taka, żeeee...*

*Sebastian oczami wyobraźni widział, jak Adam pokazuje niewidzialnemu przyjacielowi, jak wielka jest ta potrzeba. Słyszał w tle muzykę klubową. Trochę go zezłościł faktem, że bawi się bez niego prawdopodobnie dobrą godzinę, sądząc po czasie, w jakim się zazwyczaj upija. Popatrzył na zegarek. Dokładnie dziewięć.*

*- OK, pojedę. Jeszcze pewnie swoim autem.*

*- Mój ledwo ciągnie na oparach! Będę miał kasę, to ci zaleję pół baku. Jak go zawieszysz, to dawaj na Dmowskiego. Wiesz, gdzie?*

*Wiedział. Ale nie był pewny, czy skorzysta z zaproszenia.*

*To miała być jedna z jego niewielu przejażdżek samochodem. Nonszalancko usiadł na siedzeniu kierowcy i wyjeżdżał z garażu bardzo powoli, bojąc się, że znowu obrysuje tylny zderzak. Zadzwoił do mamy Adama.*

*- Dzień dobry. Adam do mnie dzwonił, ja akurat jestem w trasie, to podjadę po Igora. Może mi pani podać adres?*

*Po kilku minutach jazdy był już pewny siebie. Droga przebiegła płynnie i od razu znalazł miejsce docelowe, którego nie sposób było ominąć. Igor z mokrymi włosami, bez jednego zęba, stał przed pływalnią Syrenka z szeroko otwartymi oczami. Wsiadł, kiedy Sebastian dał mu znak ręką.*

*- A Adasia nie ma?*

- Nie, zajęty jest. Wysłał swojego superkierowcę. Jak tam, mały, które miejsce?

- A, szkoda gadać.

Malec zapiął pasy z nietęgą miną. Sebastianowi zrobiło się go bardzo szkoda. Był taki nieporadny. Pewnie wzięli go do drużyny, bo brakowało im zawodnika. Widać, że jest przejęty. Może bał się, że będą się śmiali z niego w szkole, bo zachłysnął się wodą i ratownik musiał interweniować. Kierowca patrzył na niego raz po raz. Chciał go rozweselić:

- Otwórz schowek.

Chłopiec wykonał polecenie i prawie natychmiast wysypały się czarno-białe ciasteczka Oreo.

- Ach, nie szkodzi, posprzątam. Nie zakręciłem dobrze opakowania. Weź sobie kilka, jak lubisz.

Malec, wygłodzony po zawodach zaczął ochoczo oblizywać łakocie. Głośno chrupiąc, wsuwał jedno za drugim.

Jedno z ciastek wpadło między popielniczkę i skrzynię biegów. Chciał je złapać między palec wskazujący i środkowy. Obsunęło się jednak i wpadło pod nogi Igora, który ręką niezajętą jedzeniem wystukiwał rytm piosenki lecącej w radiu.

- Igor, podniesiesz to rozwalone ciastko? Masz go pod...

Nie zdążył mu wyjaśnić, gdzie leżało ciasteczko z rozkruszonym wierzchem, brudzące tapicerkę jego auta. Obudził się w szpitalu, z ręką mocno ścisną przez Amandę.

## Suchorowski

Grzegorz Suchorowski nigdy nie czuł dumy. Mógł być jedynie z czegoś połowicznie zadowolony. Z wyników swojej firmy, z dobrego jedzenia w kantynie, z nowego zegarka, który obciążał mu nadgarstek. Nigdy też nie był z nikogo dumny, nawet ze swojej córki. A powodów mógł mieć wiele. Każdy inny rodzic na jego miejscu czułby, że wychował prawdziwego geniusza. Była zaradna: potrafiła sama wymienić żarówki, dolać olej w samochodzie, złożyć PIT w urzędzie skarbowym, zdać egzamin na prawo jazdy za pierwszym razem. Musiała szybko się usamodzielić. Jej relacje z ojcem były zbyt chłodne i naciągane, nie chciała naprzykrzać mu się swoimi nic nieznaczącymi problemami. Nic nieznaczącymi dla niego. Traktował ją jedynie jak mieszkańca swojego domu. Jego uczucia oscylowały zazwyczaj między ignorancją i pobłażaniem dla asystentki a delikatnym respektem przed żoną. Żona. Kolejna postać w jego życiu, która pojawiła się w odpowiednim momencie. Ledwo wiązał koniec z końcem. Pracował na trzy zmiany, był dostępny bez przerwy, nie czuł się zrelaksowany. Chciał brać na siebie jak najwięcej pracy, żeby spędzać w domu jak niemniej czasu i przynieść jak najwięcej pieniędzy. Miała tylko jedno zadanie, które dał jej w myślach tuż po ślubie, który miał być jego ratowaniem sytuacji finansowej i ultimatum postawionym przez ojca. Miała mu urodzić syna. Nigdy nie czuł takiego rozżalenia jak przy słowach „Będzie córeczka!”. Nie uczestniczył w żadnym USG, nie pomagał wybierać malutkich sukieneczek i malutkich bucików. Wszystko

było dla niego za różowe, za pachnące, za słodkie. Nie dawał sam sobie przekonać, że to niczyja wina, że płęć dziecka jest niespodzianką. Przestał chodzić na niedzielne msze, bo przecież każda jego ofiara na kościół miała w sobie cichą prośbę, która nie została spełniona. Czuł się oszukany przez Najwyższego, od którego przecież tak niewiele oczekiwał. Z żoną układało mu się pod wieloma względami, ale ze strony emocjonalnej i fizycznej to było totalne fiasko. Jednak żadne z nich nie myślało o rozwodzie, bo otrzymało od życia to, czego chciało. On wyrwał się ze wsi, ona pokazała rodzicom, że może zadbać sama o siebie. Razem doszli do tego, co posiadali, ale to on przywłaszczał wszystkie zasługi. Zresztą po cichu go do tego namawiała. Chciała, żeby zarówno jej aroganccy rodzice, którzy w nią nie wierzyli, jak i wszyscy zazdrośni przyjaciele widzieli w nim prawdziwego przywódcę, mężczyznę, który potrafi zadbać o wszystko, także o nią. Wychowywała córkę tak, jak chciała, choć przyłapywała się na tym, że powieliła zachowanie swojej matki. Uważała, że mimo wszystko musi trzymać rygor i dyscyplinę, bo inaczej wszystko znajdzie się na jej głowie, a każde przyszłe niepowodzenie zostanie ocenione jako jej osobista porażka.

Dzisiaj każde z nich było w wyśmienitym humorze. Mieli co świętować. Suchorowski użył swoich najdroższych perfum, trzymany na dobrą okazję. Miał dużo pieniędzy, mógł co tydzień sięgać po coraz to nowsze zapachy z najwyższych półek, jednak zmysł oszczędzania wciąż w nim siedział, jak wtedy, kiedy był małym chłopcem i liczył pieniądze otrzymane z butelek oddanych do sklepu, by kupić kilka tak przyjemnie pachnących kolorowych cukierków, sklejących zęby. Patrzył na swoją żonę z odrobiną czułości. Miał ochotę ją mocno wyściskać, ale pozwolił sobie tylko na buziaka w policzek, który w rzeczywistości był

cmoknięciem powietrza koło jej nosa. Rozpierała go radość.

- Stało się, Anno, stało się!

Czuł się podekscytowany jak dziecko. Jego żonie udzielała się jego radość i uśmiech nie mógł zejść z jej twarzy. Nawet nie starała się go ukryć. Chciała się cieszyć, zwłaszcza kiedy pojawiał ku temu dogodny powód. Kroiła w kuchni pyszną roladę na równe kawałki, kątem oka obserwując męża, który kręcił głową z niedowierzaniem i mówił co chwilę coś pod nosem, jakby chwając siebie samego. Bawił ją ten widok. Zauważyła, że się do niej zbliża. Miał świeżo umyte zęby, jego oddech był przyjemny.

- Aniu...

Nóż prawie wypadł jej z ręki. Tak dawno nie mówił do niej zdrobniale. Ciągłe słyszała: „Anno to”, „Anno tamto” albo formę zupełnie bezosobową. Nie odezwała się, pozwoliła mu mówić.

- ...nie wiem, gdzie jest nasza córka, ale widocznie nie przyjdzie dziś świętować z nami...

Nasza córka. Anna przyzwyczaiła się, że nazywał ją po imieniu, nigdy nie określając, kim dla niego jest. Zanim zaczęła się zastanawiać, gdzie rzeczywiście jest ich córka, która nieraz wychodziła z domu na kilka nocy, poczuła dotyk ust na szyi. Tych niespodzianek było już za wiele. Odwróciła się z szeroko otwartymi oczami, oczekując wyjaśnień, i napotkała speszoną twarz męża.

- Aniu, wiem, wiem, wiem. Wiem dokładnie, co myślisz. Musisz coś wiedzieć. Wygrywając wybory, nie poczułem się bliżej związany z pracą, ale z wami. Pomyślałem o tym, o ile więcej osiągnąłem od mojego ojca. Sam się zawstydzilem, wierz mi - uderzył zaciśniętą pięścią w pierś - tym, że tak ślepo dążyłem do celu, niszcząc wszystko, co staowało mi na drodze, żeby pokazać rodzicom, jakiego wychowali chojraka!



Annie zadrżały nozdrza. Pomyślała o swoich rodzicach. Ile w nią napakowali wyniosłości? Jak bardzo ją zepsuli?

Jej mąż zobaczył wzruszenie na jej twarzy, myśląc, że to przez jego słowa. Mówił dalej, zbliżając się do niej coraz bardziej:

- Kiedy mnie poznałaś, miałem rozwiane włosy, bo wszędzie poruszałem się starym motocyklem.

Wziął ją za prawą rękę.

- Mówiłaś mi, że jestem przystojny, ale powinienem częściej obcinać paznokcie.

Roześmiała się, a on położył jej rękę na ramieniu.

- Można?

Popatrzyła na niego z czułością.

- Zawsze mogłeś.

Z radia w jego gabinecie bardzo cicho grała muzyka. Zaczęli powoli poruszać się do rytmu.

- Od zawsze byłem porywczy. Sprąłem kiedyś dwóch gości naraz, bo chcieli z tobą tańczyć, pamiętasz?

- Haha, nie naraz! Lubisz sobie dopisywać zasługi. Między jedną a drugą bójką minęła ponad godzina i wypiliśmy w międzyczasie cztery piwa!

Teraz to on się roześmiał. Nie zdawał sobie sprawy, jakie to przyjemne. Rozmawianie o niczym, snucie się po kuchennej podłodze jak po parkiecie tanecznym, trzymanie mocno kobiety, która tak rzadko się śmiała, a którą pokochał przez jej śmiech. Jak grom z jasnego nieba spadły na niego wyrzuty sumienia. Za każdy poranek bez cmoknięcia ją w lekko zmarszczony policzek. Za długie chwile milczenia podczas ich pysznej kolacji, którą przygotowywała zgodnie z przepisem. Za ogromną odległość między nimi na sypialnianym łóżku, gdzie satynowa pościel prosiła się o momenty uniesień. Tego wieczoru się doczekała...

Po wizycie ojca Kamil nie mógł zasnąć, przekręcając się z boku na bok. Starał się nie otwierać oczu, wyobrażając sobie, że znajduje się u siebie w łóżku. Jednak jego węchu nie dało się oszukać. Stęchlizna i pot. Nie pomagało wciskanie nosa w poduszkę, która wydawała się wypchana zawartością worka z odkurzacza. Był psychicznie wykończony, a jego myśli ostatnio zbyt często krążyły wokół mocno zaciśniętej liny dookoła szyi, która ukróciłaby jego straszne cierpienia. Chciał pozbyć się natrętnego obrazu powracającego w jego głowie. Widoku płonącego budynku. Jego dzień kończył się i zaczynał tak samo. Do niedawna czekał z utęsknieniem na te krótkie spotkania z nią. Jednak stracił nadzieję nawet i na to. Widocznie trzymała się swoich obietnic. Tak strasznie żałował, że tę jedną na niej wymusił. Na stole spod książki Stephena Kinga *Joyland*, jednej z tych, do których lubił wracać, wysuwały się kartki. Wziął je do ręki. To na nich pisał jedyny w życiu list. Do Amandy. Mocno przyciskał długopis, tak że druga część listu odbiła się na pustym papierze. Odczytał go bez problemu:

*Nie uwierzysz, ale oni też siedzą w więzieniu. Pewnie się domyślasz, kto ich tam wsadził. Nie można zwalić całej winy tylko na tego policjanta. To był mój pomysł.*

*Wierz mi, że rzadko miałem kontakt z narkotykami. Zawsze chciałem patrzeć na świat trzeźwym okiem, wiedzieć, jak skończył się mój dzień, a nie poznawać później podkoloryzowane wersje moich znajomych. Bycie oryginalnym i zbuntowanym w świecie zepsutym i zdemoralizowanym wydawało mi się przyzwoite. Ale nie tego dnia, kiedy wpadliśmy w konflikt z prawem. Mam nadzieję, że nie wiesz, co to dropsy, i że nigdy*

nie będziesz miała z nimi do czynienia. Nie warto. Z żadnego powodu. My raz postanowiliśmy skorzystać. Po piętnastu minutach czułem się, jakbym obudził się w innym ciele, jakbym mówił nie swoim głosem. Długo mi przechodziło. Wydawało mi się, że z całej naszej trójki najciężej to przeżywam. Wtedy wpadliśmy na głupi pomysł, jeden z najgłupszych, jaki przyszedł mi do głowy, od kiedy zgołem sobie brwi, bo chciałem, żeby urosły mi nowe i słabsze. Okradliśmy sklep. I to nie jeden z tych, w których ceny były zawyżone, a klienci traktowani jak bankomaty. To był osiedlowy sklep. Nazwa mówi sama za siebie. Julcia i Henio. Interes prowadzili staruszkowie i szło im coraz gorzej. Wiem, bo po wszystkim czytałem każdy wycinek gazety, w której pojawiła się ta informacja. Nie chcę się usprawiedliwiać, że nie byłem wtedy sobą. Drzwi poszły lekko, a może tak nam się wydawało, bo czuliśmy się bardzo silni. Żadnego alarmu, żadnych zabezpieczeń. Raj dla złodziei. Oprócz widoku chłopaków, którzy brali najbardziej opłacalne do sprzedaży produkty, nie pamiętam wiele. Wiem tylko, że czułem się wtedy jak bohater. Poszedłem na zaplecze i odpaliłem banknotem stułotowym ogromne cygaro, jedno z wielu, które znajdowało się w szufladzie. Czułem się wtedy jak mój ojciec. Ja, władca, król, boss. Zapamiętam to na długo. Byłem podniecony jak małe dziecko. Cała akcja zajęła nam pół godziny. Zwialiśmy i zamiast jak prawdziwi złodzieje siedzieć cicho i przeczekać burzę, udając niewiniątka, poszliśmy do najbliższej klatki schodowej, dzieląc się łupem. Jak to możliwe, jaka była szansa, że wszystko widział policjant? Skąd mógł się wziąć? Wierz mi lub nie, ale nie pamiętam i nie wiem, jak to się stało, że jako jedyny uciekłem. Nie wydali mnie. Ja obiecałem im odwet. Nie miałem pojęcia, że w domu tego gliny będzie jego żona, byłem pewien, że tego dnia pracuje w przedszkolu. Przez

*myśl mi nie przeszło, że mogła tam zostać, długo nie chciałem wierzyć w to, że spaliłem człowieka żywcem. Wszystko poszło nie tak...*

*Podjęłaś słuszną decyzję, nie przychodząc do mnie. Mam nadzieję, że sobie radzisz w życiu, o którym tak marzę. W życiu na wolności.*

*(Po) kochałbym Cię,*

*Kamil*

Anna zaczęła się martwić nieobecnością córki, ale przyznawała się do tego, że bardzo jej pasował brak Amandy krzątającej się po domu. Grzegorz w ciągu kilku dni zmienił się tak bardzo, że szczypała się w ramię za każdym razem, kiedy widziała go wesoło gwizdzącego po porannym prysznicu, zadowolonego po połowie ryb z odnowioną kartą wędkarską lub zapraszającego ją na grilla i obiecującego soczystą karkówkę polaną piwem. Przez myśl przechodziły jej różne pomysły. Z początku zwałała to na jego nowy PR, który być może podsunęli mu doradcy, z nadzieją oczekując na łaskawość z jego strony przy obsadzaniu wyższych stanowisk. Miał być wszechstronnym mężczyzną, kochającym mężem zadowolonym z życia i patrzącym w przyszłość. Potem przemyślała sprawę kryzysu wieku średniego. Jednak zdecydowała się trzymać wersji, która najbardziej jej pasowała. Mówił prawdę. Chciał ocieplić ich stosunki.

- Aniu, dzwoniłaś do Amandy?

Przewracał mięso na drugą stronę, wesoło kiwając się na wszystkie strony.

- Nie, nie dzwoniłam. To nie pierwszy raz, kiedy tak znika. Kiedy Sebastian miał wypadek, siedziała u niego bez przerwy. Dajmy jej wolność, choć to trochę niegrzeczne, że w tak ważnym

czasie jak twoja wygrana...

- Kto to jest Sebastian?

Anna otworzyła usta ze zdziwienia. Grzesiek roześmiał się, trzymając piwo w ręce:

- Żartuję! Wiem, kto to. Ale przecież od dawna się nie spotykają.

- O proszę, to coś tam wiesz, a myślałam, że nową informacją jest dla ciebie, że Amanda ma drugie imię.

- Ta Stanisława to nóż w serce. Powinna się nazywać na odwrót. Stasia to takie piękne imię, nie powinno grać drugorzędnej roli.

- Wracając do tego Sebastiana - to dobry chłopak, może znowu się spotykają?

Suchorowski zrobił poważną minę. Widać było, że wie o wiele więcej.

- Hmm... Wątpię.

- Dlaczego?

- Bo mam informacje, że spotykała się z kimś innym. Nie wiem, na ile to poważne, mam nadzieję, że nie zostanie moim zięciem.

Anna, jak nigdy, poczuła żądzę poznania plotek. Prawie wyskoczyła z tarasu.

- Kto taki?!

- Ten chłopak, który spalił dom policjanta. Wyprzedzając twoje kolejne pytanie: tak, przebywa w więzieniu. I tak, jego ojciec to ten Romański.

- I ja o tym nie wiedziałam?!

- Cóż, może ty też nie masz zbyt dobrych relacji z córką?

Popatrzyli na siebie wymownym wzrokiem. Obydwoje poczuli się głupio.

Anna przypominała sobie swoje relacje z matką. W myślach nazywała swoich rodziców hrabim i hrabiną. Kiedy dzieci wokół były umorusane w błocie, ona w białej koszulce i czarnej sztruksowej spódnicy zasiadała do fortepianu, umilając gościom przyjemne popołudnie przy wytwornym cieście i specjalnie parzonej herbacie. Spotkała się z matką dwa tygodnie temu. Najpierw poprawiła jej włosy sięgające ramion, tak żeby zasłoniły szyję, bo według niej była za długa. Potem zwróciła uwagę na niedoprasowaną garsonkę. Anna odliczała minuty do końca ich spotkania, bo nie mogła jej słuchać ani tym bardziej patrzeć na jej czerwoną szminkę, która grudkowała się w kącikach ust. Nienawidziła tych różnorodnych pierścionków na jej zestarzałych dłoniach, które miały świadczyć o jej majątności, którą tak uwielbiała się popisywać.

Grzegorz ostatnimi czasy też często wracał myślami do swojego rodzinnego domu. I do tego, jak wstydził się swoich rodziców, dla których gospodarstwo było całym światem. Widzieli w synu swego następcę, a nie wyuczonego chuderlaka, który uciekał przed obowiązkami domowymi. Pamiętał zapach krowiego łajna, mamę uwalaną mlekiem. Ledwo zdążyła wydoić ciężarną, a już łapała maselnice, żeby przyrządzić świeże masło. Ich oknem na świat były plotki zasłyszane gdzieś w drodze do małego sklepu. Każde odstępstwo od znanego trybu życia uważali za dziwactwo. I tak nazywali swojego syna dziwolągiem. Jego poczynania stawały ojcu ością w gardle i gdyby mógł, zapewne wydziedziczyłby syna. Jego małżeństwo z Anną było akceptowane przez obydwójce, bo była taka posłuszna, niewinna, schludna i skromna, czyli miała wszystkie cechy pożądane w świecie, gdzie mogli rządzić tylko mężczyźni. Dominacja kobiet to była jakaś abstrakcja. Wszystko wskazywało na to, że ona, podobnie jak inne

kobiety na wsi, zostanie w domu. Zawalona po łokcie praniem, ze zmiotką w ręku, którą za sprawą wygniecionej szmaty łatwo było zamienić w mopa, skrzętnie zbierająca jajka w kurniku... Kto by się spodziewał, że zostanie asystentką jakiegoś prezesa w jakimś zarządzie? Nikt jej nie gratulował tej posady. Rodzice Grzegorza sądzili, że niepotrzebnie pcha się na jakieś stanowiska, zamiast zająć się tym, co pożyteczne. Jej rodzice byli zawiedzeni, bo przecież stać ją na więcej...

## Mikołaj

Poranne bieganie nie dodawało mu wcale energii. Już nie. Był do tego po prostu tak bardzo przyzwyczajony, że nie mógł przestać tego robić. Od ponad pół roku nie zmieniał swojej trasy, nie szukał nowych dróg, nie ciągnęło go do innych zakamarków miasta, aby tam zaczerpnąć zdrowego powietrza do błagających o odpoczynek płuc. W pobliskim parku mógłby teraz biec nawet po omacku. Mijał po drodze wiele zziębniętych dziewczyn, które wstawały wcześniej rano. Ubrane w za ciasne legginsy, wcinające się w pośladki i uwidaczniające rozległy cellulit, wstydziły się pewnie biegać w porze bardziej uczęszczanej. Mijał dwudziestoletnie mamy z perłowymi rozstępami na nogach, które nieudolnie starały się przykryć luźnymi sukienkami. Mijał pana Zenona, który w zamian za zaśpiewanie kilku piosenek każdego wieczora, ku uciesze nastoletnich twarzy z włączonymi kamerkami w telefonach, dostawał parę piw, które wesoło dołączały do najtańszych nalewek i usypiały starego stolarza na drewnianej ławeczce. Mikołaj miał wrażenie, że spotyka wciąż te same osoby. Aż do ostatniego razu, kiedy spotkał ją. Ją i jej wrywnego przyjaciela. Kochał zwierzęta, im nie musiał się tłumaczyć, słuchać ich rad, zapewniać, że wszystko z nim w porządku. Siedziała na wykutej z kamienia ławce, która miała pełnić funkcję pomnika, ale dzieło nigdy nie zostało ukończone. Bawiła się z wymiętoszonym pluszakiem, raz po raz wyrывая go Nektarowi z pyska. To był jakiś nagły, pochodzący nie wiadomo skąd impuls. Musiał do niej podejść. Z nadzieją, że ma na imię



Ewa.

- Jak się wabi?

Jedyne pytanie, jakie można zadać posiadaczce psa.

- Nektar - odpowiedziała szybko, jakby nie był dziś pierwszą osobą, która o to pyta. Uniosła wzrok i zatrzymała go na wysokości dobrze zbudowanego mężczyzny, któremu kropelki potu zachodziły na opaloną twarz i szczypały w niebieskie oczy. Spodobał jej się od razu. Jej ekspresowe myśli już krążyły wokół ołtarza. Ku jej ogromnej ucieście przykucnął obok niej.

- Pierwszy raz poznaję kobietę, która jest właścicielką amstafa. - Uśmiechnął się, odsłaniając rząd równych zębów.

Zaczerwieniła się. Tak, to jeden z tych mężczyzn, którzy są idealni pod każdym względem.

- Poznajesz to za dużo powiedziane. Przysiadłeś się osiem sekund temu.

- I zamierzam je przeciągnąć.

Wyciągnęła rękę.

- Barbara.

W duchu zasyczał ze złości. To tylko imię, ale jednak miał nadzieję...

- Mikołaj.

Nie połączyła ich wspólna pasja do biegania ani do czworonogów. Po dniach wypełnionych czerwonym winem, udawanym orgazmem, nieśmiałym trzymaniem spoconej ręki i przeciągniętymi spojrzeniami w oczy przyszedł czas na intymną część. Na rozmowy o przeszłości.

- Dobrze, więc opowiadaj!

Denerwowała go. Ta jej dziecięca bez troska, jej błahe pytania i wymuszona radość. Na siłę próbowała być radosna i wybuchała

śmiechem w mało spodziewanych momentach. Czasami nie starał się nawet zapewniać jej poczucia komfortu w swoim towarzystwie, miał długie chwile milczenia i raz po raz przewracał wymownie oczami. Minęło tyle dni, ale właśnie teraz, przy stole w tej cholernie drogiej restauracji zdał sobie sprawę, że ich znajomość nie prowadzi do tego, co sobie zamierzył. Jeszcze rano, po nocy wypełnionej jej sztucznymi jękami, snuł plany, chciał ją jeszcze ukierunkowywać, ale nagle czar przysł, przeszło mu zupełnie. Musi się z nią teraz przemęczyć.

- Zauważyłam, że masz nowe mieszkanie. Gdzie żyłeś wcześniej?

Zakulo go w gdzieś w klatce piersiowej. Fala gorąca przyplęnęła zniecka. Głupia krowa. Normalne pytanie wywołało w nim jeszcze większą niechęć do niej. Mimo to wziął jednak głębszy oddech i szybko przekalkulował. Łatwiej budować, niż niszczyć. Chciał dać jej szansę. Przecież miała w sobie to coś.

- W innym mieszkaniu. Jako policjant musiałem zmieniać mieszkania, żeby mnie nie znaleźli.

- Naprawdę? - Wydawała się szczerze zszokowana. Rozśmieszyła go.

- Oczywiście, że nie! Basiu, nieistotne, gdzie żyłem wcześniej. Kiedyś ci opowiem wszystko, obiecuję.

- Dobrze.

Powiedziała to krótkie „dobrze” dziecięcym głosem i zamruwała długimi rzęsami. Wydawała mu się przesłodka. Znowu pojawiły się w nim same pozytywne emocje. Chciał się czegoś o niej dowiedzieć, licząc na to, że jej odpowiedzi będą pokrywać się z jego nadziejami.

- Z czego żyjesz?

- Ach, z miłości, z dobrej energii.

„Konkrety!” Miał wrażenie, że dziewczyna nie rozumie powagi sytuacji. Chciał poznać tylko kilka istotnych szczegółów. Na bezcelowe gadanie przyjdzie jeszcze czas. Doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak tylko podjąć grę. Była ciężkim zawodnikiem jako rozmówca.

- Gdyby można było tym wykarmić dzieci...

- No widzisz, dzieci! Tym się zajmuję!

Uniósł brwi. Czyżby?

- Czyli jesteś...?

- Nie chodzi o mój zawód. To inna kwestia. Bardziej skupiam się na wolontariacie. Pomagam dzieciom i to daje mi więcej niż moja nudna korporacyjna praca.

- Jesteś wciśnięta w żakiet, chodzisz z aktówką i upiętym wysoko kokiem? Kiedy tak na ciebie patrzę w tych rozwianych włosach i luźnej sukience, ciężko mi to sobie wyobrazić.

- Tak, jestem najlepszym dowodem, że kobieta zmienną jest. Ale to, o czym mówisz, to stereotypy. Nie wysiadamy z koleżankami z tych samych niebieskich taksówek i nie idziemy krok w krok, żeby usiąść za biurkiem i popijając kawę, bez przerwy katować klawiaturę komputera.

- Rzeczywiście, przedstawiłaś mi obraz korporacji, który mam w głowie.

Pokręciła głową.

- Zupełnie nie. Przez pierwsze miesiące chodziłam do pracy z zafoliowanymi aluminium kanapkami i jadłam w łazience, żeby nikt nie widział wypadającej z chleba szynki i tony ketchupu. Miałam niemal zerowy budżet. Pewność siebie przysła z czasem i z kolejnymi zerami na koncie. Teraz z dumą idę na lunch z tacką w rękę i nakładam porządną porcję spaghetti.

- Nie musisz być zbyt pewna siebie.

Kawałek mozzarelli ugrzązł jej w gardle. Czyż mężczyźni nie do tego namawiają kobiety?

- Hmm, mówisz zupełnie co innego niż mężczyźni piszący porady pod artykułem „Mów, co chcesz, i bądź, kim chcesz!”.

- Chcę być twoją pewnością. Ty musisz być sobą.

Nachylił się i złapał ją za rękę. Rozczulił ją. Do tego tak pięknie się uśmiechał. Basia miała ochotę wyrwać mu każdy jeden ząb, każdy idealnie skrojony biały prostokącik i zawiesić sobie nad łóżkiem. Mikołaj puścił jej dłoń i wyciągnął z papierowej torebki, którą miał przy sobie, pięknie zapakowany sześcian. Już myślał, że jej go nie da, tak bardzo zwątpił w ich wspólną przyszłość...

- To dla ciebie.

- Dajesz mi prezent bez okazji?!

- Bardzo mi zależy na tym, żebyś z niego korzystała.

Ostatnie zdanie powiedział bardzo dobitnie, tonem śmiertelnie poważnym. Barbara przestraszyła się, co może znajdować się w pudełku. Wzięła do rąk pakunek. Perfumy. Jedne z tych, które jeszcze niedawno sprawdzała w drogerii. Szczerze mówiąc, nie przypadły jej do gustu. Ale to prezent. Od mężczyzny z idealnym uśmiechem.

- Dziękuję bardzo! Postaram się korzystać. Teraz pachnę tylko sosem czosnkowym, rozumiem, że cię to może odpychać.

Zaśmiała się, ale Mikołaj nie podzielił jej nastroju. Zobaczył jej minę. Nie spodobał jej się. Ma inny gust. Może da się to jeszcze uratować.

Wstał jako pierwszy, sprawdzając od razu, czy oddycha. Oddychała. Wraz ze świstem powietrza z jej ust wydobywał się zapach zostawionej na słońcu jajecznicy z rozdrobnionym

czosnkiem. Nie przeszkadzało mu to, sam czuł milimetrowy osad na zębach, szybko udał się do łazienki. Gdyby nie ona, usiadłby na sedesie i oddał się swojemu wstydliwemu rytuałowi. Zamiast tego stanął nad muszlą, polewając ją moczem koloru soku pomarańczowego z odrobiną coli. Zwrócił na to uwagę, gdyż takiego samego koloru były jej włosy spoczywające teraz na jego białej poduszce. Trzeba to zmienić. Jaki to może być kolor farby? Czekoladowy brąz? Zimna czekolada? Hollywood brownie? Nieistotne. Byle nie multiwitaminowy mocz. Otworzył drzwi łazienki, sprawdzając, czy nadal śpi. Przekręciła się w jego stronę, twarzą do niego. Nadawała się idealnie do roli jego dziewczyny. Do roli jego żony. Wąski garbaty nos zadarty ku górze. Rzadko spotykany. Rozrzedzone, ale długie rzęsy. Wciąż pomalowane. Nie chciała zmyć makijażu, by nie musiała się wstydzić nad ranem swojego naturalnego wyglądu. Obwisłe ramiona szczelnie obejmowały kołdrę nie pierwszej świeżości. Piersi wylewały się z każdej strony ze zbyt obcisłego czarnego topu, wyglądając dość niekształtnie. Trochę za chuda, pomyślał, szybko przypominając sobie, jakie restauracje wokół jego domu serwują najbardziej tuczące jedzenie. „U Grubego” zajmuje chyba najwyższe miejsce w jego osobistym rankingu. Muszą tam iść. Włączył cicho telewizor. Rzucił okiem na ekran i zamarł. Zobaczył swojego najlepszego kumpla. Razem poszli do szkoły policyjnej, razem z niej wyszli. Podał mu pierwszego papierosa, a potem poprosił, żeby razem rzucili okropny nałóg. Pokazywał mu kciuki do góry, kiedy rozmawiał z którąś z długonogich kobiet. Kilka razy nacisnął przycisk na pilocie. Z głośników dobiegał mocny basowy głos:

- Zakrwawioną kobietę policjanci znaleźli dziś rano w starej, opuszczonej kostnicy. Na razie nie znamy jej tożsamości, jej ciało

jest zmasakrowane, co może utrudnić rozpoznanie zwłok przez rodzinę. Czekamy na zgłoszenie zaginięcia.

Przyciszył. Kochał pracę w policji. Nie uważał jej za obowiązek, on spędzał tam swój czas. Ubierając mundur, czuł się jak w piżamie. Było mu przyjemnie. Jego zapał doceniał zarówno komendant, jak i pani w osiedlowej piekarni szykanowana przez męża. Pomógł jej raz, a skutecznie. Darmowe bułeczki miał przez rok. Zamknął oczy. Zobaczył znów te same sceny, których nie potrafił wyrzucić z pamięci. Choć przyznawał sam przed sobą, że nawet się nie starał. Były jego ostatnimi dobrymi wspomnieniami, mimo że miały miejsce tuż po tragedii. Zaraz po tryskających iskrach znad płonącego budynku, po zwęglonych, zwiniętych szczątkach. Jeszcze rano mógł ją przytulić, wsunąć ręce za jej luźne szorty, pogłaskać jej chropowate nogi, poczuć kokosowy zapach jej włosów. Wieczorem była niczym, niedostrzegalnym pyłem, utraconym na zawsze ciałem. W zamyśleniu nie zauważył, kiedy Barbara najszybciej, jak potrafiła, wsuwa się za drzwi łazienki, sprawdzając stan swoich włosów i szybko przejeżdżając palcem wysmarowanym pastą po równych zębach. Usłyszał dopiero splukiwanie wody.

- Chcesz kawy? Właśnie parzę dla siebie. Prawdziwa, z ekspresu.

Wychynęła zza drzwi, lekko zawstydzona.

- Prawdziwa nieprawdziwa, nie lubię kawy. Kto wymyślił poranki, których kawa i rogalik są nieodłącznym elementem?

Uśmiechnął się chłodno, dając do zrozumienia, że nie odpowiada mu taka odpowiedź. Jest gościem, powinna chcieć usiąść z nim przy dymiącym kubku i dziękować za jego dobre chęci. Puścił na chwilę w niepamięć jej odmowę, lecz postanowił w przyszłości wrócić do tematu. Nie będzie łatwo. Wiele pracy

przed nimi.

- W takim razie może pójdziemy coś zjeść? Wybierzesz restaurację, możesz najeść się do syta. Ja stawiam.

Kolejny szlachetny gest z jego strony. Niech doceni.

Basia spojrzała na niego ciepło. Stara się, chyba chce spędzić ze mną kolejny dzień. Kolejny dzień z rzędu. Pomyślała, jak zmęczona czuła się przez ostatni tydzień. Wydawało jej się, że jest atakowana wieloma pytaniami i narzuca się jej odpowiedzi. Przez tydzień spotykali się codziennie i robili rzeczy zaplanowane przez niego. Chciała coś zmienić, przejąć stery w ich relacji.

- Wiesz, dzisiaj mam już inne plany. Jest kilka, no wiesz, kobiecych spraw, które muszę zrobić. Nie chcę się zaniedbać. - Ostatnie zdanie powiedziała bardzo dobitnie, chcąc dać do zrozumienia, że myśli o sobie. Choć od razu doszła do wniosku, że mógł to opacznie zrozumieć. Że to dla niego chce dobrze wyglądać. A musi uchodzić za niezależną kobietę. Mikołaj znowu został zbity z tropu. Kolejna odpowiedź, która nie pasowała do jego planu. Nie wiedział dlaczego, nagle zaczęło się wszystko rozpadać; myślał, że wszechświat jest po jego stronie. Miał przecież dobre zamiary, nikogo nie zamierzał krzywdzić. Zanim przemyślał właściwą odpowiedź, kolejną próbę przekonania krnąbrnej kochanki, Barbara, lekko zamyślona, odezwała się nagle:

- Właściwie to chodźmy na jakieś dobre śniadanko. Mam ochotę naprawdę dobrze pojeść.

Zdziwił się nagłym zwrotem akcji. Odpowiedział lekko obrażonym tonem, nie chcąc dać po sobie poznać euforii:

- Skąd taka zmiana decyzji?

- Zdałam sobie sprawę z jednej ważnej rzeczy.

Zmarszczył brwi, bojąc się usłyszeć resztę. Domyśliła się?

- Jakiej?

- Nic o tobie nie wiem! Teraz dotarło do mnie, że ciągle rozmawiamy o mnie! Zadajesz mnóstwo wnikliwych pytań. A ja odpowiadam i odpowiadam.

Zaczęła gestykulować, pokazując, jak bardzo ją to nuży. Wzięła głęboki oddech.

- Uważam cię za interesującą kobietę. Lubię słuchać. Ostatnio próbowałaś coś ze mnie wyciągnąć i obiecałem, że powiem ci w swoim czasie. Chyba nigdzie się nam nie spieszy...

Trochę ujęła ją ta odpowiedź, ale jednocześnie zapaliła czerwoną lampkę. Mówił do niej jak do małego dziecka. Nie wiedzieć czemu chciała podbiec, chwycić go za ramiona, mocno potrząsnąć i powtórzyć mu głośno: „Nic o tobie nie wiem!”. Opanowała chwilowo ten zamiar i udawanym tonem nastoletniej flirciary zwróciła się do niego:

- Kochany, chcę dziś rozmawiać tylko o tobie, spotykamy się od niedawna i podoba mi się to, w jakim kierunku to może zmierzać. Ale nie chcę nadepnąć na minę.

Nie umiał ukryć zaczerwienienia na twarzy. Wystraszył się, choć nie wszystko stracone. Będzie przecież wiedziała tylko to, co sam jej powie. To nie medium, nie wejdzie w jego głowę.

- Masz rację. Masz rację.

Zaśmiała się dźwięcznie i przyklasnęła w dłonie na znak, że jest gotowa na dalszy ciąg dnia. Godzinę później siedzieli w miłej knajpce serwującej włoskie jedzenie, zdruzgotani widokiem za umazanym palcami oknem restauracji. Niewidomy mężczyzna stał bezradny blisko świateł drogowych, nie zważając na trąbiące na niego samochody.

Wstał w dobrym humorze. W zadziwiająco dobrym jak na



deszczowy dzień wypełniony narzekaniami starszych pań na porannej mszy na ich słabe kolana i rosnące ceny pieczywa. Cieszył go kolorowy ekran telewizora, przyjemne gderanie sąsiada z góry i nawoływanie matki za rozbrykanym dzieckiem na ulicy. Usiadł przy kuchennym stole z rozwichrzonymi włosami i w jaskrawych szortach i otworzył wczorajszą gazetę.

„Okrutna zbrodnia. Czy można mówić o seryjnym mordercy?”

Zaciekawił go artykuł. Wciąż miał pociąg do kryminalnych spraw. Kiedy czytał o zbrodniach, rozlewie krwi, niewyjaśnionych okolicznościach, zawsze czuł, jakby miał na sobie kamizelkę kuloodporną i wystylizowane włosy, jakie nosił, będąc na służbie. Wczuwał się ponownie w rolę dowódcy drużyny, która gotowa była przyznać mu rację w każdej możliwej kwestii. Budził respekt przyjaciół i współpracowników mimo swojego nerwowego charakteru i nieprzemyślanych odpowiedzi, które nieraz dotykały jego rozmówców. Nie myślał nigdy o tym, żeby ważyć słowa i dobierać je tak, aby nikogo nie uraziły. Mówił dużo, chętnie i dokładnie o tym, co w danej chwili czuł, mimo że nastroje i oceny zmieniały mu się zadziwiająco często.

„Brak jakichkolwiek świadków zdarzenia. W budynku znaleziono dwa ciała w bardzo nietypowych pozach”.

Kolejne zdania czytał z wypiekami na twarzy. Słyszał czasami o takim sposobie ułożenia zwłok przez oprawców, ale nigdy nie widział i nie miał sposobności badać takiego okrucieństwa. Rozkoszował się artykułem. Marzył, by być pierwszym, który zobaczyłby tę uśmierconą parę.

„W ustach dziewczyny znaleziono odcięte genitalia mężczyzny”.

Jak to mogło wyglądać? Jego wyobraźnia działała na najwyższych obrotach. Myślał nawet o tym, jak dokładnie mogli

być ubrani. Ona w kaszmirowym sweterku, w obcisłych legginsach. On w za dużych spodniach. Jego myśli przerwał zbyt głośny dzwonek do drzwi. Nikt nie odwiedzał go od kilku miesięcy. Nikt oprócz Barbary, która wyjechała na parę dni. Z nieprzyjemnym odczuciem podszedł do judasza. Dziewczyna, na oko nastoletnia. W zwiewnej sukience. W ręku trzymała...

- Nektar?

Otworzył drzwi z takim rozmachem, że Sandra krzyknęła i cofnęła się o kilka kroków, jakby myśląc, że Mikołaj ma zamiar ją uderzyć.

- Dzień dobry. Pan Mikołaj Nastecki?

Pogłaskał psa, upewniając się, że to na pewno on. Spojrzał podejrzliwie na dziewczynę. Nie lubił, kiedy ktoś go znał z imienia i nazwiska. Wydawało mu się wtedy, że automatycznie ma nad nim przewagę.

- Taaa... Skąd masz psa?

- Ja właśnie w tej sprawie. Pani Barbara jest moją sąsiadką. Wyjechała teraz na kilka dni i...

- Powierzyła ci Nektara? Dała ci namiary do mnie, jakby coś się działo, tak?

Sandra uniosła brwi. Zazwyczaj spotykała ludzi, którym trzeba było tłumaczyć wszystko od początku do końca. Choć ten niezbyt sympatyczny człowiek zdecydowanie nie przepadał za nowymi znajomościami, poczuła do niego nutkę sympatii. Uśmiechnęła się szeroko, mając nadzieję, że będzie mogła z nim dłużej porozmawiać.

- Tak, dokładnie. Otóż z psem nic się nie dzieje, ale ja mam mały problem. Dziś odwiedza mnie ciotka. Na kilka godzin, wie pan, pogaduszki z mamą. Normalnie nic by nie było, ale ona ma alergię na psy. To znaczy taką alergię urojoną. Nic jej nie jest od

sierści zwierząt, ale każdemu tak wmawia, bo nie lubi żadnych czworonogów. Więc przychodzę...

Głośno westchnął. Miał taki dobry humor, wydawać by się mogło, że nic go nie popsuje.

- Dobrze. Zostaw go u mnie, wróć, jak ciotka wyjdzie.

Chwycił smycz i od razu udał się w kierunku drzwi. Sandra nie wiedzieć czemu złapała go za rękę i, jak rażona prądem, szybko ją puściła.

- Ach, przepraszam. Po prostu... Też nie lubię tej ciotki. Tak jak całe osiedle, na którym mieszka. Nie chciałby pan iść z nami na spacer? Wiem, że mogłabym iść sama, ale skoro już zawróciłam panu głowę i tak wtargnęłam o poranku...

Zupełnie nie wiedział, czemu się zgodził. Nie znał tej dziewczyny i nie wydawała mu się ani trochę interesująca. Miała niski, nosowy głos, który bardzo go drażnił. A jednak, jak to w życiu jest, spontanicznie zdecydował i nie żałował. Dwugodzinny spacer z Sandrą Majkowską to było coś, czego od dawna potrzebował.

Sandra siedziała w ciepło udekorowanej kuchni, w pastelowych kolorach. Robiła największą w życiu jajecznicę, dodając do niej wszystko, co mogła znaleźć w niezbyt obficie wypełnionej lodówce. Warzyw i mięsa było o wiele więcej niż jajek, przez co bała się, że nie sprostą oczekiwaniom Basi i Mikołaja, którzy siedząc w salonie, oglądali jeden z odcinków amerykańskiego sitcomu i czuli już przyjemny zapach dobiegający z kuchni. Byli bardzo głodni i mieli nadzieję, że porcje będą okazałe.

Barbara miała ściągniętą twarz i widać było po niej, że nic nie idzie po jej myśli. Wczoraj wróciła ze służbowego wyjazdu, zastając śpiącą na kanapie dziewczynę, a obok niej jej własnego

psa. Gdyby to nie była Sandra, a inna, obca jej nastolatka, już dawno by jej tu nie było. Chciała jednak wyjaśnić zagadkę, dlaczego opiekunka jej psa znajduje się w mieszkaniu jej chłopaka. Mikołaj jeszcze w łóżku starał się jej wyjaśnić całe zajście, szepcząc prawie niedosłyszalnie. Nie zamierzał za bardzo tłumaczyć się z jej obecności, jakby uznając to za coś zupełnie normalnego.

- Poszliście na spacer i nagle została na noc?

- Chyba nie jesteś zazdrosna o małąotę? Jak ty się zachowujesz? To jest jeszcze dziecko, które opiekuje się naszym psem. Do pięć ci nie dorasta w żadnej dziedzinie.

Mimo że lechtało ją określenie „nasz pies”, oczekiwała dalszych wyjaśnień.

- Nie mogłeś odwieźć jej do domu?

- To naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Wierz mi, że dawno z nikim nie rozmawiałem tak poważnie i tak szczerze.

Zabolało ją. Ona od tak długiego czasu starała się wyciągnąć z niego choć krztę szczeroci i pozwolić wypłynąć jego emocjom na powierzchnię, a przypadkowa dla niego dziewczyna, która miała być tylko nianią dla Nektara, stała się jego powierniczką. Tej nocy myślała, że wybuchnie i zacznie na niego krzyczeć, ale myśl o drzemiącej w salonie dziewczynie ją przystopowała, więc obrażona poszła spać, odwracając się na drugi bok, dając mu do zrozumienia, że mimo rozłąki nie może jej nawet przytulić.

Teraz siedzieli we trójkę przy wspólnym śniadaniu. Delikatnie przypalona jajecznica dla ściśniętych głodem żołądków i tak była najsmaczniejszą potrawą, jaką mogliby sobie wymarzyć.

Sandra popatrzyła na Mikołaja i Barbarę. Ciekawiło ją, czy wyjaśnił kobiecie jej obecność w jego domu. Nie chciała być kimś niemile widzianym. Zależało jej na nich obojgu. Czuła się taka

kochana, mimo że tę miłość wmawiała sobie sama.

Barbara podjęła rozmowę, nie chcąc uchodzić za zazdrošnicę:

- Jak się zachowywał Nektar?

- Był trochę napalony, ale trzymałam go na uwięzi.

Barbara zadrżała. Miała wrażenie, że nie mówi o psie. „Głupia! Nie wymyślaj rzeczy, których nie ma”, skarciła się sama w duchu.

Mikołaj czuł się jednak trochę osaczony i dostrzegał napiętą atmosferę. Pomyślał przez chwilę, że może jednak Sandra ma nadzieję, że zajmie miejsce Basi. Jeszcze wczoraj wydawało mu się to niemożliwe, ale kto do końca zrozumie kobiety. Ostentacyjnie pocałował Basię w policzek.

- Kochanie, wszystko dobrze, Nektar cały i zdrowy, najedzony lepiej niż my. Więc wcinaj!

Puścił też Sandrze oczko i dodał jakby nagle olśniony:

- Chodźmy dziś na zakupy! Ja zapraszam moje drogie panie!

Barbara miała szczerą nadzieję, że dziewczyna odmówi z grzeczności i pójdzie do domu opłakiwać dalej swoją rodzinną tragedię, i pozwoli im wrócić do swoich zajęć. Ta jednak przyklasnęła w dłonie i rozweseliła się, jakby usłyszała komplement.

- Tak, tak, chodźmy, nawet nie wiecie, jak dawno nie byłam z żadną dziewczyną na zakupach!

„Dziewczyną?! Jestem od ciebie starsza co najmniej o piętnaście lat!”

Mikołaj nie wyglądał, jakby liczył na odmowę Sandry. Popatrzył pytająco na Basię, a ta, z zapchanymi chlebem ustami i z udawaną radością, krótkim mruknięciem przytaknęła na znak zgody.

Chwilę później, gdy Sandra, zgłaszając się na ochotnika,

doprowadzała kuchnię do nieskazitelności, w sypialni Mikołaja odbywała się rozmowa toczona z wielką ostrożnością.

- Wiesz, że dopiero co straciła ojca?!

- Wiem, mówiła mi. Kochanie, jestem pewien, że wiem o niej tyle samo, co ty, a nawet więcej.

- Tak? A wiesz, co się z nim stało?

- Tak, zaatakowała go jej matka po wielkiej kłótni.

Zbiła ją lekko z tropu jego kamienna twarz i spokojny ton. Nie znała go za dobrze, ale miała wrażenie, że ucieka w życiu od trudnych przypadków. A Sandra z pewnością stanowiła jeden z nich.

- I... nie przeszkadza ci to?

- A czy to jej wina?

- Nie, ale to na pewno odbiło się na niej w jakimś stopniu.

- Tak, na tyle, że potrzebuje wsparcia, a nie tarczy obronnej przed takimi jak ona.

Zawstydził ją. Myślała, że to ona w tym związku cechuje się dobrym sercem i porządnymi manierami. Oblał ją delikatny rumieniec.

- Dobrze, przepraszam. Poniosło mnie. Po prostu kiedy wracam z długiej podróży, nie spodziewam się spotkać na kanapie mojej młodszej sąsiadki, tylko...

Wyjął coś z dna szafy i dokończył za nią:

- Bukiet róż?

Idealnie białe zęby na tle krwistoczerwonych kwiatów załatwiły sprawę. Mikołaj objął jej szczupłą talię i wyszeptał do ucha:

- Może jak się sprawdzi w opiece nad psem, będzie świetną nianią dla naszych dzieci?

Zaskoczona zeszywniała. Dzieci i podejście do nich to temat,

który łączył ją ze stereotypową karierowiczką. Nie odpowiedziała, wzięła go za rękę, pokazując mu, że jest gotowa do wyjścia mimo braku makijażu i pogniecionych ubrań. Miała nadzieję, że jego podejście zmieni się, kiedy zacznie mu pokazywać, jak produktywne i twórcze będzie życie tylko we dwójkę, z włochatą kulką u nóg.

Wparował do domu jak szalony. Na wejściu potłukł wielki szklany wazon ze sztucznymi storczykami. Był taki wściekły! Z Barbarą wszystko szło tak dobrze i nagle koniec. Odbiło jej.

Siedząc na białej kanapie z plamą po moczu amstafa, którego zapach wciąż unosił się w powietrzu, pomału zdawał sobie sprawę, że to jednak on oszalał. Co on, głupi, sobie myślał?! Chciał nakłonić niewinną kobietę do wejścia w jego życie na jego zasadach?! Tak bardzo czuł się w tej chwili samotny. Tak tęsknił za żoną, którą starał się skasować z pamięci. Miał jednocześnie ochotę tłuc talerze i przytulić się do puchowego dywanu na podłodze. Zasnąć. Był taki rozdarty. Wydawało mu się, że ma słuszny cel, że nikogo nie krzywdzi, że chce tylko odebrać to, co zostało mu zabrane. Że to sam Bóg dał mu ku temu możliwości i musi z nich skorzystać. Może źle to rozegrał? Ach, to jego pospieszne myślenie wprzód. Zamiast budować cegielka po cegielce, chciał postawić domek z kartonu wycięty w kilka minut.

Pomału stabilizował się jego oddech. Mikołaj odtwarzał przebieg wieczoru. Zdawał sobie sprawę, że zapewne w tym momencie Basia siedzi na ceglany murku w swojej pięknej chabrowej sukience i nie może uwierzyć w to, jak właśnie została potraktowana.

Nie tworzyli delikatnego podłoża, na którym mogliby zasiać nasionka kiełkujące wraz z poświęconym sobie czasem. Obydwoje

zaczęli stawiać sprawę jasno, mówiąc o swoich potrzebach. Tylko osobno byliby w stanie odnaleźć szczęście. W parze żadne z nich nie miało prawa poczuć się do końca szczęśliwe. Mikołajowi wydawało się, że to on w ich relacji przejął rolę kobiety, która poświęcała się dla dobra obydwójga. Bez słów wdzięczności czuł się niedowartościowany. Oczekiwał współpracy, jednak poszedł odrobinę za daleko. Według niej o wiele za daleko. Uświadamianie sobie, że ją skrzywdził, przeplatało się z myślami, że cała sytuacja obróciła się przeciw niemu zupełnie niesprawiedliwie. Był wściekły, rozgoryczony i bezsilny.

Nagle ktoś wesoło zapukał do drzwi. Choć przez pierwszych kilka chwil nie miał zamiaru otwierać i próbował udawać, że nie ma go w domu, to jednak wstał z wściekłością z kanapy, bo pukanie zdawało się nigdy nie ustać, jakby osoba, która stała za drzwiami, była pewna jego obecności. Osoba, której mógł się spodziewać, a jednak był zaskoczony.

- Co chcesz?
- Dlaczego tak nieprzyjemnie się witasz?
- Nie oczekiwałem dzisiaj żadnych gości.

Sandra stanęła w progu, zniechęcona jego oschłym tonem.

- To miała być miła niespodzianka...

Mikołaj sterczał w drzwiach, nie mając zamiaru wpuszczać jej do środka. Cała sytuacja zaczęła być niezręczna, jednak Sandra wydawała się zbyt pewna siebie, żeby tak łatwo odpuścić.

- Przecież tyle razy tu przychodziłam i nie miałeś problemu, o co chodzi?

Nie chciało mu się tłumaczyć. Wciąż wszystko w nim wrzało. Uniósł lekko kącik ust i otworzył szerzej drzwi na znak, żeby weszła. Miał nadzieję, że szybko skończy się ich spotkanie, sam zrobi wszystko, żeby do tego doprowadzić. Dziewczyna obrzuciła



wzrokiem potłuczone szkło.

- Co się stało?

Popatrzył na nią spode łba.

- Kim ty właściwie dla mnie jesteś? Kim ty dla nas byłaś? Czego teraz chcesz?

Sandra popatrzyła się na niego jak na szaleńca. Co się w nim zmieniło? Tak dobrze im szło, ich relacje stawały się coraz cieplejsze i nagle on zadaje takie pytania. Takie, na które przecież nie mogła udzielić prostej odpowiedzi...

- Jesteście dla mnie jak matka i ojciec.

- Chyba żartujesz! Po pierwsze, nie ma mnie i Baśki. Więc twoich urojonych rodziców już nie ma.

- Jak to nie ma?! Gdzie jest?

- Właściwie gdzie masz psa? Nie miałaś go pilnować podczas naszego wyjścia?

- Nie chciałeś się dzisiaj oświadczać?

- Jak ty się w ogóle znalazłaś w moim życiu?!

Odpowiadali sobie pytaniem na pytanie, obydwójce z posiniałymi od złości twarzami, stali w pozycji bojowej, jakby gotowi do walki wręcz. Mikołaj z całych sił powstrzymywał się, żeby jej nie uderzyć. Nie wiedział, skąd się w nim zebrała taka agresja wobec tej dziewczyny. Przecież sam zaczynał traktować ją jak córkę. Pojawiła się przypadkowo, ale to na jego życzenie została w ich życiu, to on walczył z Baśką o to, żeby mogła uczestniczyć w ich związku, sporadycznie, ale jednak. Jednak kiedy teraz tak stał naprzeciwko niej, wciąż jeszcze mając w głowie wydarzenia z dzisiejszego wieczoru, otwierały mu się oczy.

- Spotykałaś się z Baśką czasami?

- Widziałam ją tylko dwa razy bez ciebie.

- I co jej nawkładałaś do głowy?!

- Nic, rozmawialiśmy jak przyjaciółki, o co ci chodzi?

- Właśnie, gdzie są twoi przyjaciele? Nie masz żadnej koleżanki w swoim wieku? Żadnego chłopaka? Co z twoją matką? Przecież została uniewinniona, dlaczego nie spędzasz z nią czasu? Dlaczego z mojego barku znikają alkohole? Jesteś jakąś ukrytą alkoholiczką, straciłaś wszystkich bliskich i chcesz wtargnąć do mojego życia?! Widziałem pokój gościnny, z którego pozwalałem ci korzystać, wygląda na to, że zmieniłaś w nim wszystko! Zamieszkałaś tu bez mojej wiedzy?!

Sandra poczuła się zaatakowana i zaszczuta. Chciała wszystko rzucić na fakt, że coś musiało nie pójść po jego myśli, że nigdy by nie mówił jej tak przykrych rzeczy. Była obrażona i jednocześnie pełna empatii dla niego. Czuła, że i tak przeginała, że za bardzo wczuła się w rolę córki w idealnej rodzinie. Że Nektar, który teraz rozwałił pewnie jej mieszkanie, chcąc wyjść na dwór, mógłby być jak jej malutki brat, który miał przyjść na świat... Grała byłemu policjantowi na nosie, była odpowiedzialna za wszystkie trzy zabójstwa, a jeden z najlepszych funkcjonariuszy w mieście nie zorientował się, że ma przy sobie morderczynię. Miarka się przebrała. Teraz dopiero mu pokaże, na co ją stać.

- Odchodzę.

- Odchodzisz? Świetnie! Mam dość kobiet w życiu! Jakichkolwiek. Wszystkie jesteście szalone! Same histeryczki!

Plan w jej głowie pojawił się w tej samej chwili, kiedy Mikołaj z całej siły zatrzaskał za nią drzwi, zwracając uwagę kilku przechodniów. Wymyśliła scenariusz, który zapewni jej ostateczną wygraną w życiu.

Miał serdecznie dość ludzi. Jego wyjście z domu po kilku dniach skutkowało tylko kolejnym zdenerwowaniem, milionem przekleństw, z których niektóre wyrywały się na wolność przez jego usta. Miał wrażenie, że pechowo spotykał dziś samych debili.

Mężczyzna, który stał na światłach, jednocześnie migdałąc się ze swoją żoną. Uznał chyba, że kierowcy trąbiący, by go pospieszyć, wysyłają im tylko wyrazy sympatii.

Kobieta z wrzeszczącym wniebogłosy dzieckiem, która nie zdawała sobie chyba sprawy, że zakłóca spokój nie tylko sobie i swojej zszarganej duszy, ale wszystkim innym klientom restauracji *Magnolia*. Po milionach wymuszonych uśmiechów dawali oni teraz bezgłośnie znak przewracanymi oczami, prosząc w duchu, by matka z pociechą opuścili to miejsce.

Wietnamczyk, nie wiadomo po co znajdujący się w ich mieście, które z pewnością nie czerpało profitów z turystyki. Zachowywał się jak zachwycony śniegiem mieszkaniec Afryki, zaczepiając raz po raz przypadkowych przechodniów, aby udzielili mu szerszych informacji na temat każdego wyglądającego jak zabytek budynku, który najczęściej był zwykłą nieruchomością mieszkalną bez żadnej znaczącej historii.

Grupa nastolatków, z pewnością przed osiemnastym rokiem życia, którzy nie zaciągając się papierosami, udawali swoich rodziców siedzących przy stole i dyskutujących na tematy polityczne i religijne. Ich słownictwo było tak ograniczone, a ich wiedza mocno okrojona i często mijająca się z prawdą, że Mikołaj usilnie powstrzymywał się przed tym, aby wejść im w słowo i naprowadzić na dobre tory. Ale uznał to za zupełnie bezsensowne. Tak jak wszystko, co się działo ostatnimi dniami w jego życiu, które zdawało się już nabierać tempa, żeby teraz wlec się jak wcześniej.

Zmęczony zakupami, ostatkiem sił wrzucał jedzenie do lodówki, nie trzymając się swoich zasad, wedle których każda półka miała przypisaną grupę żywnościową, tak aby ułatwić mu wybieranie produktów do posiłków, które kiedyś przygotowywał z taką pasją. Kiedy zaczynał wykladać jajka z wytłaczanki do specjalnie przygotowanej półeczki z zabawnymi obrazkami małych kurcząt, ktoś zadzwonił do drzwi. Tym razem naprawdę nie spodziewał się gości, urwał kontakt ze wszystkimi, którzy jeszcze niedawno mogli śmiało pukać do jego mieszkania. Instynktownie wyczuł oficjalny ton tej wizyty. Otworzył drzwi, nie patrząc przez judasz, co mu się zazwyczaj nie zdarzało. Nie mylił się. Poczuł ogromną gulę w gardle na widok mężczyzn w mundurach, którzy może byliby jego kolegami z pracy. Wydawało mu się nawet, że skądś ich pamięta.

- Mikołaj Nastecki, prawda?

Mężczyzna zadał pytanie tylko formalnie. Wiedział, że to on. Jego historia była tak powszechnie znana, że rozpoznałby go wszędzie.

- Tak, o co chodzi?

- Możemy wejść, prawda?

Nadużywania słowa „prawda” już go zirytowało, choć przecież usłyszał tylko dwa zdania od tego gościa. Zawsze niewiele mu wystarczyło, żeby zdecydować, czy będzie kogoś darzyć sympatią, czy nie. Ostatnio raczej wszyscy go irytowali.

- Zapraszam. - Otworzył szerzej drzwi. Zauważył, że wciąż nie posprzątał potłuczonego szkła, które przesunął teraz stopą. Choć wiedział, że nie musi im się z tego tłumaczyć, czuł się trochę winny. Może i z powodu swojego niechlujstwa. Nie miał głowy do porządków, wazon mu nie przeszkadzał, choć nosił pamiątkę jego ostatniego spotkania zarówno z Barbarą, jak

i Sandrą.

- Czy znasz tę dziewczynę?

Policjant wyciągnął zdjęcie dziewczyny i położył na stole. Mikołaj rzucił okiem i choć w pierwszej sekundzie wydawało mu się, że nic mu nie mówi ta koścista twarz, po chwili uświadomił sobie, że przecież to...

- Chyba znasz, prawda?

- Co z nią? Coś jej się stało, coś zrobiła?

- Właściwie mamy tylko pewne przypuszczenia. Może i coś zrobiła, może i coś się jej stało.

Drugi mężczyzna, z idealnie wygoloną brodą, którą raz po raz przeczesywał palcami, odezwał się w końcu:

- Mieliśmy zgłoszenie od jej matki, która notabene jeszcze niedawno sama gościła u nas w komisariacie. Ciężka sprawa.

- Znam całą historię, nie musicie mi jej opowiadać.

- Domyślamy się, że znasz.

Brodaty był dość nieprzyjemny. Zwracał się do niego oskarżycielskim tonem. Mikołaj to wyczuł, ale nie znalazł w sobie nawet odrobiny zażenowania. Nic nie zrobił. Nie jej.

- Wiemy, że spędzała ostatnio u ciebie sporo czasu.

- Mimo że to nie jest nielegalne, zapewniam was, że nie było między nami żadnego kontaktu fizycznego.

- A jaki był?

- Czysto przyjacielski.

- Więc była twoją młodszą przyjaciółką?

Mikołaj zasepił się. Kim ona dla niego była? Opiekunką psa jego dziewczyny, z którą rozstał się w nieprzyjemnych okolicznościach? Przyszywaną córką? Młodą kobietą z problemami, która zauroczyła go swoją otwartością i podobnym podejściem do świata?

- Przychodziła tu, nie przeszkadzała mi. Tak, zaprzyjaźniliśmy się, ale to już przeszłość. Trzy dni temu...

- No właśnie, trzy dni temu. Wtedy zaginęła.

- Może matka przesadza. Często nie bywała w domu, kilka razy spała w moim mieszkaniu na górze, w pokoju gościnnym.

Policjanci popatrzyli na siebie wymownie.

- Moglibyśmy obejrzeć ten pokój, prawda?

Nie widział przeciwwskazań. Chciał jednak czegoś się dowiedzieć. Miał za dużo pytań i kilka śmiałych podejrzeń.

- Skąd wiedzieliście, że spędzała ze mną czas?

Brodacz zmrużył oczy. Miał teraz drwiący uśmieszek.

- To nie za duże miasto, choć ostatnie niewyjaśnione wydarzenia mogłyby świadczyć o tym, że ludzie są anonimowi i przez to bezkarni.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz, jeśli potwierdzi się nasza teza.

- Jaka teza?

- Możemy zobaczyć pokój teraz?

- Rozmawialiście z Barbarą, tak? Ona was tu pokierowała.

- Jaka Barbara?

- Jej sąsiadka, moja...

- Nie wiemy, o czym mówisz.

Mikołaj zauważył, że zaczął głośno i szybko oddychać. Wstał energicznie.

- Muszę zadzwonić.

- To nie może poczekać, Mikołaj?

- To zajmie chwilę.

Policjant, który kochał słowo „prawda”, wykonał ruch ręką dający mu przyzwolenie. Mikołaj wyciągnął z kieszeni telefon i wyszukał kontakt „Basia”. Pięć sygnałów. Poczta głosowa.

Mogła specjalnie nie odbierać. Kolejne pięć sygnałów. Nic. Była w pracy? Serce zabiło mu mocniej. Podjął trzecią próbę. Policjanci wydawali się lekko zniecierpliwieni. Coś mu przyszło do głowy. Starał się przyjąć jak najspokojniejszy ton i odezwał się do mundurowych:

- No nic. Zapraszam na górę.

- Czy twój telefon ma związek ze sprawą?

- Panowie, ja nawet nie wiem, jaka to sprawa. Zaginęła dziewczyna, która spędziła tu kilka nocy. Zapraszam was do pokoju, chcę ułatwić śledztwo.

Obydwaj podążyli za Mikołajem, który nie miał zamiaru wdrażać ich w swój sposób myślenia. Musiał sam coś sprawdzić, nie chciał się wygłupić. Taki był, kiedy sprawował funkcję policjanta. Chciał sam wytropić cały przestępczy świat i wrzucić każdego bandytę za kratki. Swoimi pomysłami dzielił się tylko z Marią Wener, bo wiedział, że może od niej otrzymać tylko dobre rady, żadnego niepotrzebnego wtrącania się w nie swoje sprawy.

- Czujcie się jak u siebie.

Pokój mocno różnił się od swojego stanu pierwotnego. Na ścianach wisiało kilka plakatów, a na nich samoprzylepne karteczki, jednak bez żadnej treści, jakby miały być tylko elementem wystroju. Mikołaj nie interesował się tym, co robili mężczyźni, sam świdrował wzrokiem pokój, pozostając w pełnym skupieniu. Łóżko wyglądało na niechlujnie zaścielone, jakby Sandra opuściła je nagle wyrwana ze snu i miała zamiar do niego wrócić. Nie pamiętał dokładnie, kiedy spędziła tu swoją ostatnią noc. Dlaczego godził się, żeby u niego nocowała? Było mu chyba jej żal. Kiedy opowiedziała mu o wydarzeniach z tego dnia, cała drżała, jakby to wydarzyło się chwilę wcześniej. Ogromnie jej współczuł. Policjanci odsunęli łóżko. Cała trójka stanęła jak

wryta. Czy Sandra Majkowska mogła być aż taka głupia? Cała podłoga była zapisana jak kartka brudnopisu. Zwykłą kredą, która jakimś cudem utrzymała się na wypastowanych panelach. Przewróciło się kilka butelek. Mikołaj rozpoznał w nich jeszcze niedawną zawartość swojego barku. Wszystko opróżnione do zera. Jeden z policjantów uniósł brwi i zwrócił się pytająco do Nasteckiego:

- Rozumiesz coś z tych napisów?

- Chyba nie napisała tu nic wprost. Inaczej wolałaby pewnie skorzystać z kartki papieru i trzymać ją przy sobie.

- Po co miałyby pisać coś pod łóżkiem w obcym domu? Coś jest nie tak, prawda?

Mikołaj pomyślał o tym, że Sandra nie lubiła trzymać przy sobie jakichkolwiek rzeczy. Nosiła dowód i kartę do bankomatu w staniku, które utrzymywały się tam dzięki fiszbinom. Mówiła mu, że lubi wolność, lubi czuć, że w każdej chwili mogłaby zacząć biec przed siebie. Od jakiegoś czasu nie korzystała z telefonu, nie nosiła żadnej torebki, naszyjników, kolczyków... Ale kartka papieru? To przecież żadne obciążenie. Po co miałyby tu pisać coś, co ewidentnie wyglądało na łamigłówkę. Policjant z brodą odezwał się po dłuższym namyśle, podczas gdy drugi robił zdjęcia bazgrołom:

- Wszystko mi się tu zgadza. Oprócz kilku rzeczy. Nie wiem czemu, ale sędzę, że ty znasz odpowiedź. Może nawet o tym nie wiedząc. - Popatrzył na Mikołaja.

To nie było skomplikowane zadanie. Były glina zaczął myśleć. O wydarzeniach, które działy się w ich mieście. Istotnie, wszystko się zgadzało. Choć był jeden element spoza tej układanki. Policjant, który robił zdjęcia, powiedział coś, o czym myśleli wszyscy trzej:



- Nie wygląda mi to na stare zapiski. Podłoga jest bardzo czysta, a kurz pod łóżkiem zbiera się bardzo szybko. Chyba nie sprzątałeś tu dziś rano i nie wpędzasz nas teraz w maliny, pokazując fałszywe dowody, prawda?

Mikołaj popatrzył na niego jak na totalnego idiotę. Zaciśnął pięść. Ostatnio zbyt często zaciśnięta pięść była następstwem jego zdenerwowania.

- Jasne, że nie. Wiecie dobrze, że też byłem policjantem, nie robię teraz żartów ze sprawiedliwości. Nie zaglądałem tu od jakiegoś czasu. Nie interesowałem się tym pokojem, raz tylko to sprawdziłem. Sandra wiedziała o tym, powiedziałem jej, że wszystko w nim zmieniła. Od kiedy wyszła, na pewno tu nie wchodziłem. Właściwie wczoraj w ogóle nie było mnie w domu...

- A gdzie?

- Przesłuchujecie mnie?

- Dochodzimy prawdy.

- Byłem u chłopaka, który spalił mój dom.

Obydwaj się zarumienili. Nie był to łatwy temat dla żadnego z nich, plotkowanie ze znajomymi to co innego niż rozmowa z głównym tematem plotek, który był żywym dowodem na to, że ta opowieść była prawdziwa. Jeden z funkcjonariuszy znowu powiedział coś, co każdy miał na końcu języka:

- A więc była tu wczoraj.

Mikołaj patrzył na napisy jak zahipnotyzowany.

- I zostawiła je dla mnie.

- Nie miała pewności, że tu zajrzysz.

- Nie miała...

- Mikołaj, zdajesz sobie sprawę, że chcemy oskarżyć tę dziewczynę o morderstwo? O kilka morderstw, których się dopuściła. Ty jesteś jedną z osób, które znały ją po dokonaniu

zbrodni, podobno z nikim się nie spotykała.

- Sam jej to wypomniałem. Jestem w szoku.

Usiadł na skraju odsuniętego łóżka. Na nocnej szafeczce zauważył równo ułożone płyty DVD z widocznymi tytułami. Coś układało mu się w głowie. Usłyszał głos nad sobą:

- Gdzie ona teraz może być? Czy to nie jest wszystko zbyt oczywiste? Według tego, co tu widzę, szykuje się kolejna zbrodnia. Tylko gdzie, tylko gdzie? Czy tak miało być? Chce dać się złapać? Podpisała się pod wszystkim jak pod aktem przyznania się do winy?

Mikołaj spojrział na podłogę. Imię Sandra istotnie było wręcz wyryte na drewnie, musiała mocno dociskać kredę, aby uzyskać taki efekt. Było z nim jednak coś nie tak. Było przedzielone na pół równie widoczną kreską. Po co?

San|dra

Popatrzył z powrotem na stos filmów.

*Ojciec chrzestny*

*Mój przyjaciel Hachiko*

*Nad Niemnem*

Niepowiązane ze sobą filmy, każdy z innego gatunku, każdy opowiadający inną historię. Wpatrywał się w nie, przerzucając wzrok to na podpis San|dra, to na filmy. Olśniło go. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Przypominał sobie rozmowy z tą dziewczyną. Składało się to teraz w jedną całość. Mimo podniecenia poczuł przerażenie.

- Chłopaki, wiem, gdzie może być. I co, na litość boską, planuje. Dajcie mi wsparcie.

Znów czuł się jak policjant na służbie.

Mikołaj wyszedł od fryzjera jak nowo narodzony. Do tej pory

korzystał ze zwykłej maszynki w domu, jego fryzura nigdy go za bardzo nie absorbowwała. Dzisiaj chciał, żeby to ktoś się nim opiekował. Nawet jeśli to miało być tylko w obrębie jego głowy. Pachnący żel ciągnął się za nim, kiedy niemal radosnym krokiem, który od podskoku dzieliła cienka granica, szedł uliczkami miasta. Zrezygnował dzisiaj z samochodu. Chciał pozbyć się wszelkiego balastu. Zrzucenie kilkunastu gramów włosów było jednym z nich. Wiedział dokładnie, dokąd zmierza, choć wybierał nie najkrótsze drogi. Dobrze znał miasto, mógł sobie pozwolić na pogubienie się w nim. Przeglądał się w witrynach sklepowych, uśmiechał do obcych ludzi, którzy często odwzajemniali jego radosne pozdrowienie. Mimo swoich powoli już marniejących mięśni i zmniejszonego obwodu ramienia czuł się pośród nich jak olbrzym. Ten dobry, który oczekuje zrozumienia dla swojej inności. Czuł się inny, ale w dobrym sensie. Odmieniony. Świeży. Mimo trwającej już godzinę drogi nie czuł zmęczenia. Stał przed wejściem na cmentarz. Nawet to smutne miejsce wydawało mu się teraz radosne i piękne. Szybko odnalazł ten właściwy grób. Ewa Nastecka.

Pamiętał, jak rozmawiali z Sandrą o patetycznych napisach na grobach. Na grobie jego żony nie było żadnego. Żaden z nich nie pasował do jego odczuć. Samo patrzenie na wieńce z wypisanym „ostatnim pożegnaniem” było dla niego udręką. Kazało mu czuć, że to naprawdę pożegnanie, że tym razem nie ma powrotu.

- Ewo, tyle się wydarzyło...

Nigdy nie mówił do grobu, w którym gdzieś głęboko leżała ukryta jego zmarła ukochana. Ale czuł się teraz inny. Chciał tę inność przerzucić na wszystkie aspekty życia.

- Przed śmiercią dałem ci powód do odejścia. Prowokowałem sytuacje, które pozostawiały ci otwartą furtkę. Mocno wierzyłem,

że nie skorzystasz, że zostaniesz. Czy zostałabyś? Czy mam wierzyć, że tak? Czy może mijalibyśmy się na ulicy jako obcy ludzie, patrząc na siebie z nienawiścią? Nie odpowiesz mi, a ja wierzę w to, że nie.

Nie chciał płakać, nie był wzruszony, nie odczuwał żadnego cierpienia. Chciał traktować swoją zmarłą żonę jak zamknięty rozdział. Wiedział jednak, że będzie do niego wracał, już nie z truchlejącym sercem, ale ze stoickim spokojem. I nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że ta kobieta stanowiła tak ważny etap w jego życiu i wraz z jej odejściem tak wiele się zmieniło. Dostał ostatnio kilka nauczek życiowych. Jego walizki były już spakowane, wypchane po brzegi. Musiał zająć się jeszcze wynajęciem domu. Wciąż jednak myślał, że sprawa z Sandrą Majkowską nie jest do końca wyjaśniona. Jej już nie było, ale czuł, że coś jeszcze po sobie zostawiła. Tych kilka słów wypisanych na panelach w pokoju, tak niejasnych. Usiadł na ławeczce cmentarnej. Przyjemny wiaterek chłodził jego mokre od potu czoło.

Minęło już trochę czasu, od kiedy nabuzowany tak wieloma emocjami wsiadł do swojej czarnej mazdy i ruszył z piskiem opon. Policja współpracowała z nim tylko dlatego, że znała jego historię. W żadnym innym wypadku nie pozwolono by mu działać na własną rękę.

Przypomniawszy sobie napisy. Miał w głowie ich obraz, nie mógłby go wrzucić z pamięci, choćby się starał.

*Nie znam cię, ale jesteś moją najbliższą.*

*Upływa twoja krew tam, gdzie nikt już nie miał bijącego serca.*

*Upływa moja złość, kochana.*

*Nie znam was, ale jesteście dla siebie tacy ważni,  
Nie chcesz być obok mnie, ja zapewnię ci, że będziesz z nią do  
śmierci.*

*A ciebie znam, milutka,  
Ale dam ci tylko zimny koniec.*

*To jeszcze nie koniec, czekam na mojego tatę.*

*Sandra*

Myślał o wszystkich rozmowach z Sandrą. Teraz jej opowieści w połączeniu z zabójstwami wydawały mu się takie oczywiste. Nie rугał siebie za to, że nie rozwikłał tej sprawy, wszystko działo się gdzieś obok niego. Może gdyby zainteresował się wszystkim od początku, od razu rozgryzłby tę dziewczynę? Nie czuł się oszukany, ale obiecał sobie, że zwiększy swoją czujność. A może w nowym miejscu to nie będzie mu potrzebne. To tylko dwa miesiące. Musiał wrócić do tego miasta, kochał je. Chciał tylko chwilowej rozłęki, która uświadomi mu tęsknotę...

Kamil pisał kolejny list. Spodobało mu się wylewanie na papier wszystkiego tego, czego nie chciał wypowiadać na głos. Wszystkie listy adresował do Amandy, ale już nie zamierzał ich wysyłać. Każda strona w jego zeszycie była starannie opatrzona datą. Nie wyrwał z notesu ani jednej kartki, chciał mieć wszystko uporządkowane. Na okładce zanotował „Więzienne zapiski”, ale wydało mu się to za mało oryginalne, więc szybko to przekreślił. Jeśli wpadnie na jakiś dobry pomysł, to wtedy nada odpowiedni tytuł. Między listami zapisywał też historie, które sam wymyślał, nadając imiona bohaterom. Takie, które zasłyszał na spacerunku czy w stołówce. Z nikim się nie zaprzyjaźnił, ba, nawet nie

uważał, że ma tu choćby jednego znajomego.

Ostatnia wizyta była dla niego ogromnym zaskoczeniem. Żył sobie więziennym rytmem, nie spodziewając się żadnych gości. Ojciec nie pojawił się już więcej, matka przychodziła w środy, z wizyty na wizytę coraz bardziej wyrozumiała i współczująca...

Ołówek w jego ręce niejednokrotnie był bliski złamania, bo tak mocno go ścisnął, chcąc wszystko opisać w którymś z kolei listów do Amandy. Gdy nie odpowiedziała na pierwszy, pisany tak zaciekle, stracił nadzieję, że jeszcze ją zobaczy, że kiedykolwiek usłyszy wieści o niej.

Pisał w najwyższym skupieniu. Była środa. Matka dzisiaj go odwiedzi, chciał napisać jak najwięcej. Musiał to zrobić teraz, póki wszystko było w nim świeże. Wizyta Mikołaja rozdrapała stare rany. Była jak policzek, uderzenie poniżej pasa. Kamil chciał, żeby policjant mu coś zrobił, ale obydwaj wiedzieli, że żadne cierpienie nie będzie adekwatne do jego uczynku. Nie ma takiego odwetu, który wróciłby czyjeś życie...

Kiedy wszedł do pokoju odwiedzin, zobaczył, że mama nie była sama. Razem z nią siedział ojciec. Wychudzony, z obwisłymi policzkami, ale na jego twarzy rysowała się jakaś dziwna wesołość.

- Nie sądziłem, że jeszcze się spotkamy - rzucił w jego stronę, dając mamie rutynowego całusa w policzek.

- Jesteś moim synem. Nasze chwilowe starcie tego nie przekreśli.

- Chwilowe starcie?

- Daj spokój. Co było, to było. Życie daje nowe szanse. Będziemy cię odwiedzać. - Objął swoją żonę ramieniem, jednak nie przyciskając zbyt mocno, co wyglądało bardzo nienaturalnie.

Kamil pomyślał, że pewnie cały ich związek to pasmo

sztucznych zachowań. Zrobiło mu się szkoda matki, nie patrzył jej w oczy.

- Co cię przekonało?

- Do odwiedzin mojego rodzzonego syna, który zboczył z dobrej drogi? Nie żartuj, to chyba normalne.

- Nie w naszej rodzinie.

Wyczuł w ojcu lekkie podniecenie, jakby rodzic chciał mu coś powiedzieć i czekał na okazję, robił podchody...

- Kochanie, czego ci brakuje? - wtrąciła się mama.

Wiedział, że pyta o rzeczy materialne, jakby to miało jakieś znaczenie w tym miejscu. Chciał odpowiedzieć: „Przyjaźni, bliskości kogoś, kto ma czyste konto”.

- Niczego, mamó.

Ojciec wystrzelił szybko, choć miał zamiar jeszcze chwilę poczekać z tą wiadomością:

- Zostałem burmistrzem.

- Co?!

- Co prawda walkowerem, ale liczy się efekt.

- Po trupach do celu?

Romański się zagotował. Przyszedł w przyjacielskich zamiarach, choć ten jeden raz oczekiwał wdzięczności.

- Należało mi się - powiedział przez zęby.

Ta wizyta była krótka. Kamil jak najszybciej wrócił do swojej celi i do kolejnej strony swych zapisków...

## Barbara

Z zakupami sprawa miała się dokładnie tak jak z gotowaniem. Najpierw przychodzi myśl, że to już konieczność, potem ogromna niechęć, aż nagle zaczyna się zabawa i świadomość, że przepadłeś.

Basi spodobało się buszowanie w centrum handlowym, nawet mimo dziesiątek nastolatek w wysokich pończochach i jeansowych szortach, z przekłutymi różnymi częściami twarzy, zakrytej na ogół ogromnymi okularami. Musiała coraz zręczniejsz omijać ledwo człapiące starsze kobiety, które przyszły do jednego z hipermarketów po mięso i warzywa na obiad. Swoje dzisiejsze szaleństwa chciała zakończyć w sklepie zoologicznym. Jej najlepszy przyjaciel zasługiwał przecież na odrobinę przyjemności, mimo niemal całkowitego zdemolowania jej niebieskiej kanapy. Zatrzymała wzrok na wystawionych przed kioskiem gazetach. Ze stoiska patrzyły na nią wychudzone dziewczyny w nienaturalnej pozie, z rozchylonymi ustami. Przeszło jej przez myśl, że z każdej kobiety można śmiało zrobić modelkę. Jej przemyślenia zmieniły nagle tor, kiedy ujrzała swój koszmar, powód niemal każdej kłótni z Mikołajem. Barbara chciała gdzieś się schować, jednak Sandra ją dostrzegła i zaczęła do niej machać. Co za tupet! Basia uniosła jeden kącik ust i nieśmiało odmachała. Ku jej niezadowoleniu Sandra zaczęła iść w jej kierunku, jakby zachęcona jej nikłą, wymuszoną sympatią.

- Zakupki w niedzielę? Myślałam, że spędzasz ten dzień, leniuchując w domku.



Zaczyna się. To jej podgadywanie, naśmiewanie się z jej religijności, wrzucanie jej do jednego wora z moherowymi babciami. Te jej obrzydliwe zdrobnienia, jakby mówiła do małego dziecka. Mimo praktykowanej nauki o wybaczeniu i miłosierdziu wobec braci i sióstr podświadomie widziała swoje ręce wokół szyi tej roześmianej dziewczyny.

- Pracuję bez przerwy, nie mam czasu, żeby załatwić podstawowe sprawy.

- Jaaasnee. - Sandra przeciągnęła samogłoski, pokazując Basi kolejny akt niewychowania społecznego. Barbara uważała, że nigdy się nie lubiły. A przynajmniej od momentu, w którym spotkała ją u Mikołaja w domu. Sandra mieszkała piętro wyżej i w żadnym wypadku nie była jednym z najbardziej nieznośnych sąsiadów, z którymi Barbara miała do czynienia na co dzień. A było ich kilkoro.

Sąsiad mieszkający na parterze, zachowujący się jak sołtys znacznej wsi, który każdą podejrzaną dla niego sprawę natychmiast zgłaszał dzielnicowemu, i jego wiecznie zgorzkniała żona, która była w stanie narzekać na wszystko: na czerwone piwonie w ich malutkim ogródku z powodu ich krzywego wzrostu; na niestosowne pory wracania do domu nastoletniej pary zamieszkującej kawalerkę na najwyższym piętrze; na skrzypiące drzwi od toalety, która powinna być przecież połączona z łazienką, tak aby nie musiała ze wstydem zmieniać pomieszczenia podczas wieczornych zabiegów higienicznych; na głośne ubijanie schabowych, przygotowywanych wedle nowego przepisu z „Mojego Gotowania”. Jej narzekania echem odbijały się od pustych ścian, podczas gdy jej mąż patrolował te kilkadziesiąt metrów kwadratowych wokół obskurnego budynku, szukając kolejnych powodów do rozmów z wysłużonym dzielnicowym.

Sandra nie była również w żadnym stopniu tak irytująca jak kobieta zamieszkująca drugie piętro. Oficjalnie przedstawiała się jako samotna, niezależna kobieta, ale co kilka wieczorów z za jej nowych zatraskowych drzwi wydobywały się dźwięki świadczące o tym, że albo robiła coś, co sprawiało jej ogromny ból, albo wychodzący od niej mężczyźni z rozwichrzonymi włosami doprowadzali jej organizm do bolesnych uciech. Baśka starała się traktować tę kobietę tylko przez pryzmat ich krótkich rozmów, stwierdzając, że jest miłą, choć nieobytą trzydziestolatką. W jej głowie ciągle bił alarm, że rozmawia z puszczałką zdziwą, wyobrażając sobie ją w nienaturalnych pozach, krzyczącą wniebogłosy z prośbą o więcej i mocniej. Sandra była jedną z niewielu osób, do których mogła mieć krztę zaufania. Często spotykała ją wychodzącą po cichu z mieszkania, w czarno-różowych legginsach i ciut za dużych adidasach, z niesfornym kucykiem na środku głowy. Wymieniały się krótkim „dzień dobry” i jedna oddalała się truchtem w stronę pobliskiego parku, druga, ze smyczą w ręku i ekskluzywną torebką od Michaela Korsa, spokojnym krokiem udawała się na godzinny spacer, zahaczając o sklepy spożywcze. Kiedy musiała wyjechać na kilka dni, po namowach szefa, wiedziała, że musi oddać komuś w opiekę swojego Nektara. Rozłąkę z nim porównywała do rozłąki matki z kilkumiesięcznym dzieckiem i choć nigdy niczego podobnego przecież nie doświadczyła, była pewna, że takie same uczucia towarzyszą nieszczęśliwym rodzicom. Decyzja wydawała się prosta. Nie mogła w tym wypadku liczyć na swoich rodziców, którzy z okazji okrągłej rocznicy ślubu udali się na dwa tygodnie w góry, dzwoniąc do niej średnio co osiem godzin, żeby podzielić się opisem natury lub zapewniać, że powietrze w tym miejscu to raj dla ich miejskich płuc. Nieśmiało zapukała do Sandry, a ta

otworzyła jej z opuchniętą twarzą, jakby dopiero skończyła oglądać *Pamiętnik, Filadelfię* lub inny wzruszający film, od których ona sama uciekała. Nie lubiła dostarczać sobie przykrych emocji z powodu tak rozrywkowej czynności, jaką było oglądanie telewizji.

- Yyyy... - Zapomniała przysłowiowego języka w gębie. I słów, które ułożyła w myślach. Dlaczego oddanie psa było dla niej tak trudne?

Sandra patrzyła wtedy na nią z podejrzliwością. Nie kryła się ze swoją zapłakaną twarzą. Miała powód. Chyba każdy mieszkaniec tego bloku spodziewałby się ją zobaczyć w takim stanie. Trochę niegrzecznym tonem spytała:

- O co chodzi?

- Kochanie, mam prośbę. - Skinęła głową na Nektara, jakby to miało wyjaśnić całą sytuację. Sandra uniosła brwi.

- Wejdz, proszę.

Nie patyczkowała się z oficjalnym „pani”. Jeśli ta kobieta wtargnęła do jej samotnej rozpaczy z jakimś śmierdzącym kundlem, to sama złamała pewne konwenanse. Barbara była trochę zszokowana zaproszeniem, jednak powaga jej prośby wydawała jej się tak ogromna, że postanowiła wejść i prosić tę młodą dziewczynę w takim otoczeniu, w jakim sobie życzy.

- Jest bałagan, ale wiesz, nie mogę się jeszcze ogarnąć. To wszystko...

Barbara chrząknęła. Czuła się, jakby Sandra ją z kimś pomyliła. Mówiła do niej przecież, jakby miały ze sobą jakąś wspólną historię. Postanowiła przedstawić jej jednak swoją prośbę.

- Yyyy... Słuchaj, wiem, że jesteśmy jedynie mijającymi się sąsiadkami, ale nie mam teraz do kogo się zwrócić. Moi rodzice

są niedostępni, a facet ma jakieś ważne sprawy. No i wydajesz mi się taką normalną, rozgarniętą dziewczyną... – Popatrzyła na rozrzucone ubrania po całym pokoju, na zaschnięte jedzenie na białych talerzach. Mieszkała sama? Przyjrzała się jej uważnie. W rozpuszczonych włosach, które frywolnie sterczały w każdą stronę, wydawała się bardzo zaniedbana. Każdy jej paznokieć był nierówno przycięty, z resztkami fioletowego lakieru. Nagle pożałowała pomysłu, ale już czuła, że się nie wykręci. Sandra usiadła na wiklinowym fotelu i zmęczonym głosem odpowiedziała, zwracając się do niej bardzo spokojnie:

- Widzę, że przyprowadziłaś psa. To o niego chodzi, tak?
- Tak, właśnie. Czy mogłabyś...
- Jasne.

Baśka była przygotowana, miała w zanadrzu szereg argumentów, z których i tak zamierzała zrezygnować przy pierwszej odmowie. Była trochę rozdarta, ale uświadomiła sobie, że to pewnie jej ostatnia deska ratunku. Zamiast zacząć dziękować i obiecać sowite wynagrodzenie, zapytała ciekawskim tonem, którego nie potrafiła ukryć:

- Czy wszystko w porządku? Coś ci się stało? Wyglądasz na, hmm, cierpiącą...
- Mieszkasz w tym budynku?

Barbarze wydawało się, że dziewczyna jest szalona. Może miała jakieś urojenia. Jasne, że mieszkała w tym budynku, przecież właśnie o tym rozmawiały, przecież spotykały się na klatce schodowej. Sandra ją wyczuła. Ona nie wiedziała.

- Nic nie wiesz, nic nie wiesz. Przepraszam. Ostatnio dzielę ludzi na takich, którym muszę wyjaśniać wszystko od początku, i takich, którym dziękuję za słowa otuchy i wsparcia.
- Otucha i wsparcie w związku z czym?

- Musisz być bardzo zabiegana, skoro omijają cię nie tylko całe wydarzenia, ale i te wszystkie plotki.

- Sandro, czy to coś wyjaśnia, dlaczego jesteś teraz sama?

- I w domu nie ma rodziców? Tak, dokładnie to wyjaśnia.

Basia była szczerze zaciekawiona. Pies krążył wokół niej, prosząc się o uwagę. Nie odzywała się, czekała na kolejną część wypowiedzi. Wstrzymała nawet oddech.

- Moja mama jest na komisariacie. Po raz kolejny.

Barbara szybko przeszukiwała informacje w swojej głowie. Czy słyszała o jakimś nielegalnym przekręcie? Zdała sobie sprawę, jak dużo musiała spędzać czasu z Mikołajem. Aż umknęło jej jakieś policyjne śledztwo w ich bloku. Odpowiedziała dość ociężale:

- Mmm... W jakiej sprawie?

- W sprawie zabójstwa swojego męża, a mojego taty. Jestem półsierotą, witam. - Sandra uśmiechnęła się. Po raz drugi wydała się Basi szalona. Zabójstwo. I to własnego męża. Choć ciekawość wciąż brała górę, nie była pewna, czy chce słyszeć o całym zajściu, bo bała się, że dziewczyna okaże się zbyt nienormalna nie tylko na powierzenie jej psa, ale nawet na mieszkanie z nią w tym samym budynku, zaledwie kilka pięter niżej. Jej oddech przyspieszył, gdy zapytała:

- Jak to się stało?

Sandrze zmienił się wyraz twarzy. Już nie wyglądała na obłąkaną, ale na wyjątkowo smutną. Melancholia ogarnęła całe jej ciało, które wyglądało jak narzuta leżąca na wiklinowym fotelu. Czowała niemoc i bezradność. To była obca kobieta, ale czuła bijące z niej ciepło. Wręcz zachęcała do zwierzeń.

- Czy mogę ci opowiedzieć od początku?

Pytanie wydało się Basi dosyć dziwne. Pomyślała o tym, ile

ma jeszcze dziś do zrobienia. Czarno-zielona walizka leżała na jej łóżku, czekając na idealnie skrojone garsonki. Zatechłe pranie w łazience prosiło się o wrzucenie do pojemnego bębna pralki. Ale naprzeciw niej siedziała dziewczyna o oczach wypełnionych błaganiem o krztę zrozumienia. Tyle razy patrzyła w takie oczy podczas wolontariatu. Gdyby siedziała bliżej, ujęłaby ją za rękę. Zamiast tego powiedziała tylko zachęcającym głosem:

- Mów wszystko.

Sandra przełknęła ślinę.

- Moja mama to wspaniała kobieta. Naprawdę. Nikt tak jak ona nie zasługiwał na drugie dziecko. Jak widzisz, nikt się tu nie krząta, tylko ja i rodzice. Ale miał być ktoś jeszcze.

Barbara czuła, że rozumie. Myśli bardzo szybko przelatywały jej przez głowę i dopisywały resztę tej historii. Sama zastanawiała się, czy cokolwiek z jej wyobrażeń okaże się prawdą.

- Ale nie było jej dane.

- Miała problemy z zajściem w ciążę?

Basia uwielbiała zadawać pytania na bieżąco. Potem mogłaby zapomnieć, o co chciała zapytać.

- Nie tyle z zajściem w ciążę, co z jej utrzymaniem. Rodzice byli od zawsze tacy schematyczni, staroświeccy. Prości, ale dobrzy. Nie szukali problemów, nie byli wścibscy ani nachalni. Wobec nikogo, nawet wobec mnie. Nie wychylali się za bardzo, nic dziwnego, że nie zauważyłaś ich nieobecności...

- Szczerze mówiąc, wprowadziłam się tu stosunkowo niedawno, ale pamiętam pewną kobietę z ciążowym brzuchem. Nie wiedziałam, że to twoja mama.

Sandra poczuła nagle ból w zatokach. Od kiedy dostała w nos, często miewała z nimi problem. Może to tylko jej kolejne urojenia?

- Często budziła się w nocy z krzykiem. Przeczuwała coś, choć tego nie dało się przewidzieć.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu.

Barbara zaczęła kalkulować, co mogła robić miesiąc temu i jak to możliwe, że nie słyszała o tym incydencie. Chyba została w tyle z wieloma bieżącymi sprawami. Słyszała jakieś strzępki rozmów ludzi w kawiarni, w pracy, ale była zbyt zaferowana obowiązkami, Mikołajem, który był bardzo absorbujący. Trochę za bardzo...

- Wiesz, co jej się śniło?

- Chcesz o tym mówić?

- Opowiadała, że nękają ją straszne koszmary. Że idzie po zielonej polanie, czując się bardzo lekko. Jest ubrana w białą sukienkę. Ale sukienka zaczyna się zalewać krwią. Jest dużo krwi, a jej ciążowy brzuszeczek zaczyna się zmniejszać i zmniejszać, aż robi się wklęsły, a ona tonie we własnej krwi.

- Straszne. Bała się...

- Poronienia. Ciąża od początku była zagrożona.

Obie zamilkły. Barbara wiedziała już. Jej matka przeczuła, że poroni. Nie chciała teraz mówić Sandrze o sile przyciągania, bo uważała, że to oznaka złego wychowania, jakby chciała zrzucić winę na kobietę, która doświadczyła takiego cierpienia, jakim jest utrata nienarodzonego jeszcze dziecka. Sandra postanowiła kontynuować:

- Tak jak wspominałam, moi rodzice to ludzie najzwyczajni, jakich mogłabyś spotkać. Żadnych dramatów, spokojne rozmowy, dzielenie się obowiązkami... Mamie został miesiąc do rozwiązania. Wydawało się, że to ostatnia prosta... Słyszałaś kiedyś o tym, że człowieka należy poznać w dwóch sytuacjach?

Pijanego i trzeźwego? Tata nigdy nie pił, wieść, że już niedługo powita na świecie swojego syna, i namowy kolegów zrobiły swoje.

Barbara nie zakładała takiego końca opowieści...

Patrząc na przechodzącą obok parę w silnym ucisku, utrudniającym im normalne poruszanie się, pomyślała o Mikołaju. O tym, czy więcej drobiazgów w jego zachowaniu odbiera jako irytujące, czy zabawne. Był dobrze zbudowany, choć lekko nieproporcjonalny. Za każdym razem, gdy używał rąk do noszenia jej zakupów czy mieszania w garnku z soczystym gulaszem, patrzył na swoje rosnące bicepsy z zachwytem. Wyglądało na to, że ma ochotę je polizać i pocałować. Godzinami mógł nucić piosenkę zasłyszaną rano w radiu, co sprawiało, że nie tylko przestawała słuchać tego utworu, ale wykluczała ze swego kręgu zainteresowań wszystkie dzieła każdego artysty, którego melodie z fałszerskim akcentem wypływały z ust Mikołaja. Jednak nic innego jej tak nie denerwowało jak jego władczy ton. Mówienie do niej brzmiało jak dawanie komend. Jego opowieści były jak kazanie. Wszystkie sytuacje, w których zaczynał zachowywać się w sposób nieco despotyczny, tłumaczyła sobie jego porzuconym zawodem. Jako policjant podobno był świetny. Nie wiedziała, jak wyglądało jego poprzednie życie, bo niewiele chciał o nim mówić. Aż do tego pamiętnego wieczoru, który zakończył się dla ich związku tak tragicznie. Tego dnia nie chciała powierzać Nektara Sandrze, ale zamierzała uniknąć wymijających odpowiedzi, którymi musiałyby uraczyć Mikołaja pytającego, skąd u niej awersja do tej dziewczyny, która jest tylko niewinną, skrzywdzoną przez los nastolatką. Mieli spędzić te kilka godzin w jednej z najromantyczniejszych restauracji poza miastem, gdzie na stolik czeka się co najmniej miesiąc, a wielkość dań jest zupełnie



nieadekwatna do ceny, jaką trzeba za nie zapłacić. Przyjechał po nią w szarmanckim stylu, z bukietem kwiatów. Prosił, żeby ubrała się elegancko, bo chce, żeby czuła się pięknie tej nocy. Przyszedł jej do głowy pomysł, że być może planuje się jej oświadczyć, ale szybko wyrzuciła go z głowy. Nie tylko było za wcześnie, ale nie wydawał jej się gotowy na kolejne małżeństwo. O swojej poprzedniej żonie powiedział, że odeszła, a on rzucił w tym czasie służbę ojczyźnie. Nie wiedziała, co kryło się za słowem „odeszła”. Zmarła, zostawiła go, zdradziła? Chciała drążyć temat, ale za każdym razem go zwinnie zmieniał. Skoro nie czuł się gotowy uchylić choćby rąbka tajemnicy o swoim poprzednim etapie życia, to czy miałby zamiar otwierać teraz nowy wspólnie z nią? Nie byli młodzi, ale w tym świecie nie tak stare małżeństwa się zawiązywały. Przywitał ją ciepło, zachwycony jej wyglądem. Obcisła sukienka była taka kusząca. Kiedy przychylił się, żeby cmoknąć ją w usta, wyczuł nutkę piżmowych perfum.

- To nie są moje perfumy.

- A taaak, jeszcze nie zaczęłam z nich korzystać.

- Dlaczego?

Władczy ton. Nadęta mina.

- Nie skończyłam jeszcze poprzednich.

Kłamała. Perfumy i buty to była jej kobieca słabość. Miała ich więcej, niż naprawdę potrzebowała. Wybór padł na jej ulubiony flakonik, który z pewnością nie był prezentem od Mikołaja. To miał być według niego wyjątkowy wieczór, więc dobrała wszystkie dodatki, w których czuła się najpewniej. Mina Mikołaja mówiła, że jest co najmniej zawiedziony. Postanowił póki co przemilczeć tę kwestię.

- Zapraszam do limuzyny.

- Przyjechałeś limuzyną?!

- Jasne, że nie, ale możemy uruchomić wyobraźnię. Mój samochód to limuzyna, a twoje włosy to lśniące brązowe loki.

- Co?

- Przepraszam, tak bardzo mi się podobają kręcone brązowe włosy. Twoje też są piękne, ale... Na pewno masz coś, co też chciałabyś we mnie zmienić. To chyba normalne.

Wydawały jej się dziwne te jego próby zmieniania jej pod swój gust. Ale przy słowach „to chyba normalne” postanowiła, że nie będzie się unosić i puści to w niepamięć.

- Jedźmy, proszę.

Usiedli w pachnącym aucie. Mikołaj włączył przygotowaną składankę z utworami. Francuskie piosenki. Chyba nic bardziej nie pasowało do spokojnej jazdy pięknie oświetlonym miastem po zmierzchu. Basia podrygiwała. Podobało jej się! Milczeli całą drogę, ale żadne nie czuło się niezręcznie. Niedługo później przywitał ich kelner w białym smokingu:

- Dobry wieczór, państwo pozwolą, że zabiorę okrycia.

Basia miała na sobie tylko cienką marynarkę, Mikołaj elegancką kurtkę. Była zachwycona miejscem. Teraz nawet chciała, żeby dziś ktoś się jej oświadczył. To nawet nie musiał być Mikołaj, w takim miejscu zgodziłaby się wyjść za każdego.

- Czyż nie jest pięknie?

- Och tak, tak. Jestem przeszczęśliwa, Mikołaj!

- Dla przyjaciół i kochanek jestem Miki - dodał na pół żartobliwym tonem. Puściła to mimo uszu. Nie chciała do niego mówić jak do psa. Chwilę później przeglądali menu, będąc zupełnie skołowani wyborem. Basia zapytała nieśmiało:

- To chyba francuska restauracja, tak?

- Nie zauważyłaś?

- Nie znam francuskiego. Jeśli o to chodzi, to mnie nazwa

restauracji nigdy nic nie mówi.

Pracowała w jednej z lepszych firm w kraju zajmujących się międzynarodową sprzedażą. Nie miała styczności z francuskim? Mikołaj miał nadzieję, że w innych dziedzinach jest bardziej obyta. Zadawał jej mnóstwo pytań i starał się uzyskać odpowiedzi, które by go satysfakcjonowały, ale wiedział, że wiele tematów pozostało jeszcze nieporuszonych. Chwilę później, gdy pomógł jej wybrać według niego najlepsze danie, siedzieli naprzeciwko wpatrzeni w siebie, oczekując na posiłek. Basia postanowiła podjąć temat, który jej ciążył:

- Nie myślisz, że Sandra powinna mieć trochę więcej czasu dla siebie?

- Co masz na myśli?

- Mam wrażenie, że ciągle kręci się wokół nas.

- Chyba poruszaliśmy już tę kwestię.

- Wiem, wiem, ale chodzi mi o to, że wydaje mi się to podejrzane, że nie ma żadnych zajęć dodatkowych. Co o niej wiesz?

- Cóż, uwielbia biegać, dużo czyta, podobno wykupiła połowę antykwariatu.

- Nigdy nie widziałam jej z książką.

Mikołaj zastanowił się. On w sumie też nie.

- Przez śmierć ojca chyba wiele się u niej zmieniło. Powoli będzie wracać do swoich zajęć, dajmy jej czas.

- Mówisz trochę, jakbyś to ty był jej ojcem.

- Ale nie czuję się tak.

Zamilkła. Mikołaj zamyślił się chwilę nad Sandrą i odrzekł:

- Chyba wiele spraw nałożyło się jej naraz. Opowiadała mi o swojej przyjaciółce, Amandzie. Podobno były nierozłączne, ale wszystko się między nimi zatarło z dnia na dzień.

- Przez jej rodzinną tragedię?

- Nie, z jej opowieści wynikało, że czuła się za bardzo zdominowana przez jej perfekcjonizm, ale rzeczywiście kontakt im się urwał dopiero po tych dramatycznych zajściach.

Basi zaczęło burczeć w brzuchu. Zniecierpliwiona oglądała się na wszystkie strony, mając nadzieję, że zobaczy kelnera z tacą idącego w ich kierunku. Niestety, widocznie w tej restauracji na każdy posiłek się długo czeka i swoje trzeba wysiedzieć. Odpowiedź Mikołaja nie wydawała jej się kompletna.

- I nie ma innych przyjaciółek? Dziewczyny w jej wieku zazwyczaj mają wianuszek dobrych znajomych.

- Chyba zraziła się do dziewczyn. Mówiła przecież o swojej koleżance Kai z warsztatów teatralnych, nie pamiętasz?

Basi wstyd się było przyznać, ale często wyłączała się podczas rozmów Mikołaja i Sandry, które toczyły się pod jej nosem. Wiele informacji z pewnością jej umknęło.

- Coś kojarzę. Co z nią było?

- Związała się z Adamem. Miłością jej życia.

Adam. To imię kojarzy. Rzeczywiście, coś opowiadała o swoich nieszczęśliwych uniesieniach, myśląc, że Basia podejmie temat, bo przecież był typowo kobiecy. Ona jednak najczęściej ukrócała wszystkie rozpoczęte przez nią rozmowy, zazwyczaj tłumacząc się pracą, wolontariatem czy opieką nad psem.

- No tak, rzeczywiście nałożyło jej się kilka spraw...

Wiedziała, że nie ma sensu kontynuować rozmowy o Sandrze. Jej argumenty i tak by do niego nie przemówiły. Skwitowała wszystko jednym zdaniem:

- Widać, że jest twoim oczkiem w głowie.

Mikołaj widocznie się ożywił.

- Chciałbym mieć kogoś, kto naprawdę byłby moim oczkiem

w głowie. Kogo mógłbym wychowywać od początku, być przy jego narodzinach. Ty też tego chcesz, prawda?

Przełknęła ślinę. Zauważył to.

- Mikołaj...

- Miki...

Znowu to zignorowała.

- Nie do końca chciałabym mieć dzieci.

- Przecież zajmujesz się dziećmi!

- Tak, i wiem, jakie to trudne. Myślę, że spełniam się w roli opiekunki do cudzych dzieci, ale sama nie chcę się tego podejmować. Nie czuję tego. Naprawdę ci to przeszkadza? Każdy z nas ma jakąś przeszłość, możemy stworzyć swoją, nową, drogą kompromisu. Ale musimy się dotrzeć. Jeśli masz niezłomne zasady, to nie wiem, czy jest sens, bo ja nie zmienię zdania.

- Jak to nie zmienisz zdania?!

Twarz zmieniła mu się diametralnie. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać albo roznieść wszystko w pył. Zdziwiła się jego gwałtowną reakcją.

- To chyba normalne. Mam swoje lata.

- Tak bardzo chciałaś mieć dzieci. Tak bardzo powinnaś chcieć mieć dzieci.

- O czym ty mówisz?

- Nie mam do ciebie siły! Wszystko psujesz! - krzyczał na nią. Nagle wstał. Ludzie dookoła zaczęli zwracać na nich uwagę. Kelnerzy mówili coś do siebie na ucho.

- Mikołaj, siadaj!

- Nie szanujesz moich prezentów! Udajesz niezależną i chcesz kompromisów?!

Kelnerzy szli w ich stronę, i to wcale nie z tacą z jedzeniem.

- Proszę państwa, to elegancki lokal, proszę ciszej.

Mikołaj zrobił coś, czego chwilę później żałował. Uderzył zaciśniętą pięścią jednego z kelnerów prosto między oczy. Widok leżącego mężczyzny go trochę przytemperował. Zaczął go przeproszać, ludzie wstawali z miejsc, żeby obserwować sytuację, Barbara ze zszokowaną miną ruszyła w kierunku wyjścia. Nie słyszał, co mówił do niego drugi z obsługujących, który pomagał wstać koledze i natychmiast kazał im wyjść.

Mikołaj pobiegł za zawstydzoną Barbarą. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, z dala od spojrzeń ludzi, to ona zaczęła do niego krzyczeć:

- To dlatego kupiłeś mi perfumy? Ona takich używała, tak? Rozkazywałeś mi, jak mam się do ciebie zwracać, jakich słów mam używać, jak się poruszać, czym powinnam się interesować! Odeszła od ciebie, bo byłeś agresywnym furiatem?! Teraz za nią tęsknisz i chcesz, żebym była taka jak ona?! Kiedyś powiedziałeś do mnie „Ewa” i przeproszałeś za przejęzyczenie. Tak miała na imię, prawda?

Mikołaj spuścił oczy, ale był wściekły. Nie podobało mu się, że na niego krzyczy. Stali obok jego samochodu.

- Chciałem tylko odzyskać żonę, ty głupia zdziro!

Odjechał z piskiem opon sprzed jej nosa. Tak szybko wsiadł do samochodu, że Basia ledwo mogła to zarejestrować. Stała teraz, dygocąc z zimna w chabrowej sukience. Wstydziła się wejść do restauracji po swoją marynarkę.

Szłochała głośniejsz niż trąbiące na nią samochody. Trzymała się prawej strony jezdni, o mały włos nie lądując co jakiś czas w rowie. Łzy spływały strumieniem, rozmywając wczorajszy makijaż na policzkach. Na siedzeniu pasażera leżała otwarta w popłochu paczka owinięta w zwykły szary papier, rozerwany

w popłochu. Każde spojrzenie na jej zawartość wywoływało u niej kolejne palpacje. Wiedziała, że to należało do niego. Do jej ukochanej psiny, do prawdziwej miłości jej życia. Ale nie przyjmowała tego do wiadomości, odkładała na bok widok zakrwawionego zwierzaka, który umiera w konwulsjach. Którego już nie ma.

- Patrz, jak jedziesz, głupia szmato!

Kierowca audi A6 nie przebierał w słowach i mijając roztrzęsioną Barbarę, wciąż jeszcze coś mamrotał pod nosem, zniesmaczony „babą za kółkiem”, która nie potrafiła utrzymać równego tempa jazdy, nie mówiąc o prostym torze jazdy. Jej rozgruchotany golf starał się resztkami sił i niemal na oparach benzyny służyć swojej właścicielce, która z pewnością mogła nazwać ten dzień najgorszym w swoim życiu. Spod paczki wystawał kawałek papieru z napisanymi naprędce słowami: „Wiem, że uwielbiasz film *Ojciec chrzestny...*”. Kiedy rano zobaczyła pakunek pod swoimi drzwiami, nie spodziewała się, że znajdzie w nim część swojego przyjaciela. Po odczytaniu tej krótkiej notki przed jej oczami stanęła scena z kultowego filmu z Marlonem Brando, gdzie jeden z bohaterów budzi się w łóżku obok zakrwawionej głowy konia. Wiedziała, co się stało, kiedy wzięła do ręki odcięty psi ogon. Jej krzyki było słychać na całym piętrze budynku. Pobiegnęła schodami na górę, do mieszkania Sandry. Waliła pięściami w drzwi. Nikt nie otwierał. Po pierwszym szoku, kiedy niemal omdlała, obróciła kartkę, gdzie widniał adres. Nie wiedzieć czemu oprzytomniała, zabrała kluczyki od samochodu i minutę później siedziała na siedzeniu kierowcy, wpisując zapamiętany adres w starą nawigację. Całą drogę mówiła sama do siebie:

- Czym ja zawiniłam, Boże, dopomóż! To nie moja wina, to

w ogóle nie moja sprawa, jak mogło mnie to spotkać?! Czemu się nie wycofałam, kiedy widziałam, że coś jest nie tak?

Jechała na wyznaczone miejsce spotkania w godzinach szczytu. Było duszno, pot kapał jej z nosa, grzywka przykleiła się do czoła. Nie wiedziała, czy gorzej czuła się psychicznie, czy fizycznie. Nie mogła pozbyć się widoku cierpiącego psa.

Po nieudanym wieczorze z Mikołajem, pozostawiona sama sobie bez pieniędzy, zadzwoniła do rodziców. Poprosiła ich o dwa dni noclegu i, mimo ogromnej niechęci do Sandry, wykonała do niej telefon, błagając przyjaznym głosem o dwa dni opieki nad psem. Dziewczyna zgodziła się ochoczo, nie wydawało jej się to dziwne, bo zawsze chętnie chciała jej pomagać. Po powrocie do swojego mieszkania podniosła paczkę z wycieraczki. Nikt się tym nie zainteresował. Ile mogła tam leżeć?

Do miejsca docelowego zostało tylko piętnaście minut. Już chciała wyskoczyć z samochodu i tam pobiec. Ręce drżały jej coraz silniej, zwolniła delikatnie, bojąc się wypadku.

- Cel znajduje się po prawej stronie - odezwał się głos z nawigacji.

Miejsce znajdowało się na obrzeżach miasta. Stało tam kilka budynków wyglądających dosyć staro. Na pewno nikt w nich nie mieszkał. Nieopodal słyszała szum rzeki. Nagle, nie wiadomo skąd, ktoś się odezwał:

- Spodziewałam się ciebie odrobinę wcześniej.

Obróciła się. Skąd dobiegał? Poznała głos Sandry. Ten niski nosowy głos, który tak ją irytował.

- Gdzie jesteś?! Gdzie Nektar? Co mu zrobiłaś?

- Już nie żyje. Nie miał najmniejszych szans. Nie sądzisz chyba, że odcięłam ogon żyjącemu psu?

Basia zawyła.



- Ty wywłoko! Ty debilko! Kim ty jesteś?!

Chciała się rzucić, ale nie wiedziała na co. Dopiero po chwili w rogu pod jednym z domów, wyglądających jak niedokończona budowa, zobaczyła interkom.

- Nie wiem, jak to zrobiłaś ani gdzie jesteś, ale jak cię dorwę...!

- Zauważyłam, że nie jesteś zbyt bystra, dlatego teraz to wykorzystuję. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim nienarodzonym bracie? Tak traktowałam twojego psa. Jak brata, którego nie dane mi było poznać. Opiekowałam się nim, dbałam o niego, mówiłam do niego jak do małego człowieka. Pozwalałam wam żyć swoim życiem. Chciałam, żebyście traktowali mnie jak córkę. Odbiło mi? Myślisz, że mi odbiło? Na pewno! Po śmierci ojca, którego zabiła moja własna matka w obronie własnej, przestałam wierzyć w jakiekolwiek wartości. Byli dla mnie tacy czyści. Wystarczyło kilka flaszek wódki, żeby w moim kochanym tatusiu odezwała się agresja. Mikołaj zauważył mój problem z alkoholem, ty oczywiście nie.

Basia opadła z sił. Słuchała tego wywodu w skupieniu. Sandra była gdzieś w pobliżu? Jak działają te interkomy? Czy jest sens jej szukać w tej dziurze? Nie miała ochoty, usiadła na masce samochodu i ukryła twarz w dłoniach z niemocy.

- Nie miałam problemu z pozbyciem się przyjaciółki, byłego chłopaka i jego nowej dziewczyny. Ale tamte zabójstwa były inne. Sama się przekonasz. Widzisz, zabiłam twojego psa tak, jakbym zabijała swojego brata...

Basia poczuła w kieszeni wibrujący telefon. Ktoś wielokrotnie próbował się z nią skontaktować, ale dopiero teraz była na tyle przytomna, że to zauważyła. Odebrała. Wiedziała, kto dzwonił. Czemu pierwsza się z nim nie skontaktowała? Mimo tego, co jej

zrobił, mógłby przecież pomóc.

- Mikołaj?

Interkom ucichł. Słyszać było tylko szmery. Nagle wszystko zaczęło się dziać tak szybko. Basia ze słuchawką przy uchu obserwowała, jakby w zwolnionym tempie, jak samochód ukryty za krzakami jakieś sto metrów od niej wyjeżdża, natychmiastowo się rozpędzając.

- Sandra!!!

Krzyknęła na darmo. Dziewczyna już jej nie usłyszała.

- Mikołaj, nie dogonię jej! Nie widzę rejestracji, to nie był jej samochód!

Była w szoku, rozłączyła się i podbiegła do interkomu. Na jego odwrocie była ręcznie narysowana mapka. Małe prostokąciki odpowiadały tym kilku ruderom. Dwie wąskie linie musiały oznaczać rzekę. Między ostatnim budynkiem a brzegiem rzeki był postawiony krzyżyk. Wiedziała, co jest pod nim ukryte. Zwróciła wzrok w tamtą stronę. Świeżo usypana górką. Nie zastanawiając się długo, zaczęła gołymi rękami odkopywać ziemię. Kiedy ujęła w dłonie zwłoki swojego amstafa, podjechały dwa radiowozy i jedna czarna mazda, z której wysiadł przerażony Mikołaj.

Sala przesłuchań wyglądała dokładnie tak samo jak w serialach kryminalnych. Stały tam szary, prostokątny stół i dwa twarde krzesła naprzeciwko siebie. Kilka plakatów „ozdabiało” lekko obskurną ścianę. I największa zagadka dla małych dzieci - weneckie lustro. Z jednej strony mogłeś się przejrzeć, z drugiej mogłeś przejrzeć kogoś.

Niska, wyjątkowo szczupła policjantka z niezwykle świdrującym spojrzeniem patrzyła na ogromnie napuchniętą od kilkudniowego płaczu twarz.

- Jak to pani nie wie?

Wychudzona kobieta znów głośno zapłakała. Podkomisarz Maria Wener przewróciła znacząco oczami.

- Niech się pani w końcu uspokoi i odpowiada na pytania!

Przesłuchiwana zamknęła oczy, starając się powstrzymać kolejny szloch, i poprawiła szeroki szal na szyi.

- Nie wiem, nie wiem dlaczego....

Powiedziała to tak nienaturalnie dziwnym głosem, że Maria lekko podskoczyła, czując się, jakby rozmawiała z kimś z zaświatów. Szybko odzyskała zimną krew.

- Nie wie pani, dlaczego pani to zrobiła? Może tak po prostu, dla zabawy, co? - Ostatnie pytania wypowiedziała, krzycząc.

Krzyczała właściwie codziennie na przeróżnych bandytów. Nie przyznawali się do winy, najczęściej zachowywali się skrajnie chamsko. Myśleli, że i tak im się upiecze, jeśli nikt nie da rady im nic udowodnić. Najgorzej było z mężczyznami. Codziennie atrakcyjna policjantka spotykała dziesiątki natarczywych, a przez to jeszcze bardziej odpychających gwałcicieli i porywaczy. Dlatego Maria Wener krzyczała często i słusznie. Jej rozmówcy nagle zyskiwali świadomość tego, kto ma władzę, tego, że nie mogli sobie ot tak pozwalać na zbereżne teksty albo głupie wymówki. Ale ten przypadek był inny. Błada kobieta, wyglądająca, jakby była jedną nogą w trumnie, przyznała się do winy od razu. A raczej wszystko na to wskazywało. Dała się zakuć w grube kajdanki i odprowadzić do wozu policyjnego. Nie stawiała żadnego oporu i nie próbowała uciekać. Jednak od kiedy otworzyły się drzwi jej mieszkania i policjanci zobaczyli ją z nożem ociekającym krwią w ręku, prawie przestała się odzywać. Ale nie przestawała płakać. Jej usta posiniały, a nos nie mógł wrócić do normalnego koloru, ciągle pozostawał czerwony i opuchnięty. Pani podkomisarz było jej żal i najchętniej dałaby jej

święty spokój, ale przecież musiała wykonywać swój zawód. A ta kobieta sprawiła, że zaczynała go nienawidzić tak bardzo, że dwukrotnie myślała o odejściu z posterunku, bo wydawało jej się, że zszargała swe nerwy do granic wytrzymałości, będąc zmuszoną do pracy z ludźmi, którzy definitywnie odmawiają współpracy. Połknęła głośno ślinę i zapytała głosem o wiele cichszym:

- Może chodziło o chęć pozbycia się niewygodnej przeszkody?  
Miała pani romans?

Kobieta bardzo szybko pokręciła głową. Maria była więc pewna, że to nie ten powód.

- Powie mi pani dlaczego? Może uda się załatwić lżejszą karę, jeśli będę wiedziała.

Powiedziała to głosem niesamowicie potulnym jak na nią. I niemal natychmiast otrzymała reakcję ze strony rozmówczynie:

- Tak? I będę mogła wrócić do dzieci?

- No, tak szybko, jak to będzie możliwe.

Kobieta otarła łzy rękawem i przysunęła się bliżej stołu, patrząc na Marię. Widocznie argument dotyczący dzieci podziałał na nią zachęcająco.

- Chcę mówić.

Szczupła policjantka miała ochotę krzyknąć: „No w końcu!”, jednak wydało jej się to bardzo nieprofesjonalne. Zamiast tego usiadła jeszcze wygodniej na krześle i przysuwając się, odrzekła:

- Niech pani mówi. Dlaczego zabiła pani swojego męża?

Zanim wychudzona kobieta otworzyła usta, do sali wszedł energicznie policjant z zadbaną brodą.

- Marysia, potrzebujemy cię teraz, proszę.

- Szymon, jestem w trakcie czegoś ważnego.

Zapłakana kobieta odezwała się szybko:

- Chcę mówić, komukolwiek.

Maria popatrzyła na kobietę i na mężczyznę.

- Szymek, zostaniesz z nią.

Wyczuła, że to coś ważnego. Czyżby...? Nagle stanęła jak wryta. Jej oczom ukazała się osoba, której najmniej się spodziewała w takim miejscu, mimo że to tu się poznali.

- Nie wierzę, Mikołaj NastECKi!

Przytuliła się do niego mocno, jak do starego przyjaciela.

- Dobrze cię spotkać. Właśnie o tobie pomyślałam, ale szybko wyrzuciłam tę myśl z głowy. A jednak!

- Po twoich wygranych sprawach, w których ci troszkę pomogłem, czułem się wręcz zobligowany, żeby cię odwiedzić.

- Cóż, myślałam, że już całkiem się wypiąłeś na komisariat i wszystko, co z nim związane.

- Nie wiem, w jaki sposób to wszystko nagle zatoczyło koło. Słyszałem kilka informacji w porannych wiadomościach, nie łączyłem faktów ze sobą...

- Czujesz się wykiwany?

- Wierz mi, że nie...

Zaprosiła go gestem do swojego biurka i wskazała krzesło.

- Zaraz kończę zmianę. Nie masz ochoty się czegoś napić?

- Pewnie, że mam, po to przyszedłem. Nie byłaś w trakcie czegoś ważnego?

- Mam nadzieję, że wygada wszystko temu osiłkowi. Powiem ci, że po twoim odejściu już z nikim się tak dobrze tu nie dogadywałam.

- Pochlebiasz mi.

- Zasługujesz.

- Kto tam teraz jest?

- Kobieta, która zabiła swojego męża. Taaak, kolejna kobieta,

która zabiła swojego męża. Wydaje mi się, że akurat ta sprawa ma drugie dno. Dasz wiarę, że znowu mi to przypało?

- Kobiety są szalone w dzisiejszych czasach. Sam tego doświadczyłem.

Maria pomyślała o Ewie. Smutno jej się zrobiło, ale po raz kolejny poczuła ukłucie zazdrości.

- Ale sprawa Majkowskich była inna. Ona była w ciąży, podobno bała się poronienia jak diabli. Pijany mąż zaczął się z nią szarpać, zobaczyła krew i oszalała. Byli w kuchni, chwyciła za nóż i...

- Wiem, znam całą historię od początku do końca.

- No racja. Mikołaj - nachyliła się do niego - skąd wiedziałeś, gdzie zakopała psa?

- Zgadłem.

- Dzięki tym napisom na podłodze?

- Tak, ale same napisy nic by nie dały. Znałem ją, nieraz otwierała się przede mną, a ja chętnie słuchałem. Pokazywała mi to miejsce pod Wrocławiem. Mówiła, że nie wie, czy do kogoś należy, ale chciałyby tam kiedyś zamieszkać, przerobić każdy budynek na dom i stworzyć osadę. Bajki o fokach. Przyjemnie się tego słuchało, jak marzeń małej dziewczynki. Kiedyś prosiła mnie, żebym pojechał tam razem z nią, kiedy Barbara była na wyjeździe służbowym, stąd właśnie znam to miejsce.

Maria uniosła brwi.

- Barbara?

- Wierz mi, nie warto opowiadać...

- Hmm, jasne. A skąd wiedziałeś o drugim miejscu?

- To już omówimy przy latte, ja stawiam!

## Ewa

Napuściła pełną wannę z podejrzanego materiału, kupioną w promocji, i wrzuciła kilka sypiących się bombek z kolorowym napisem „Do kąpeli”. To był czas dla niej. Wzięła do ręki książkę *Miłośnica* i zanurzyła się nago w wodzie. Papier lekko przemókł od jej wilgotnych palców. Było jej trochę za gorąco, ale wiedziała, że to dobrze dla jej zatkanych porów. Postanowiła się przemęczyć.

„Wabiła jak suka...”

Wczytała się intensywnie i niezauważenie pochłonęła prawie dwadzieścia stron. Historia Krystyny Skarbek, jedna z niewielu spraw ostatnimi czasy, zaczęła ją szczerze interesować. Nalane po brzegi kieliszka czerwone wino stało na rogu wanny. Zanurzyła usta. Niedobre. Ale tak bardzo pasowało do całego klimatu. Choć podświadomie wiedziała, że nie dla niej taki bierny wypoczynek, i zamiast tego wołała wspinać się po górach z włączonym audiobookiem, brnęła dalej w ten przymusowy rytuał, który trwał już od kilku tygodni. Zalecenie lekarza. Za dużo stresów. Nieustanne myślenie o dziecku. Nieustanne pragnienie posiadania dziecka. Nie rozumiała nigdy matek narzekających na brak czasu, na zarzygane ubranka wielkości bochenka chleba, na miliony słoiczków z uśmiechniętymi bobaskami, które zagracały im kuchnie. Coś, co dla niej było marzeniem, dla innych udręką. Płytko myślące małolaty zachodziły w ciążę po kilku zakrapianych imprezach, zostając zapłodnione na obskurnym sedesie w jednym z obrzydliwych

klubów, w których jedyną formą komunikacji jest krzyk. Ona starała się żyć w zgodzie ze wszystkim, co naturalne. Doszła do etapu, gdy nie chciała, aby na jej talerzu gościło cokolwiek spoza przydomowego ogródka.

Ich wspomniały dom. Pamiętała ten dzień, kiedy Mikołaj dał jej pięknie zapakowane pudełko, wyglądające jak jedno z tych od Tiffany'ego. Słoneczne Santorini. Jej ulubiona grecka wyspa. Zagrzechotała nim ze śmiechem.

- Co to?

- Otwórz.

- Wiesz, że nie lubię niespodzianek. Są zawsze takie rozczarowujące.

- Ta nie będzie. Zobacz.

Otworzyła i jej oczom ukazał się pęk kluczy. Z początku myślała, że to nieprzydatny breloczek.

- Kluczyki do...?

Miał przygotowane obrazki na telefonie. Podsunął jej pod nos. Krzyknęła z zachwytem.

- Dom?! Nasz dom? Miki, ile ty zarabiasz?!

Mikołaj uśmiechnął się triumfalnie. Widział zachwyty w jej oczach. Nie chciał teraz myśleć o tym, co zrobił, żeby zdobyć pieniądze. Czuł się przy niej już dostatecznie wyjęty spod prawa. A przecież sam miał obowiązek dopilnowywać porządku na ulicach miast. Pieniądze, szybki zysk. W jego myślach pojawiły się nowe możliwości. Teraz w blasku słońca u boku swojej ukochanej czuł się jak zwykły kanciarz, jak nieuchwytny terrorysta. Psuło mu to nastrój, choć starał się nie dać tego po sobie poznać. Przeprowadził transakcje, zdobywając pieniądze, które przekraczały jego najśmielsze wyobrażenia. Ale ciągle miał w głowie jej spojrzenie, jej zmartwione spojrzenie, kiedy po raz



kolejny spoglądała na test ciążowy, na którym widniała jedna kreska. Chciał ją pocieszyć, ale pragnął zrobić to z prawdziwym przytupem. I chyba mu się udało.

Długie miesiące zajęło im przeprowadzanie się i zaczynanie wszystkiego od nowa. Dekoracja salonu, dobór nowych kuchennych mebli zajęły ją bez reszty. Odsunęła na bok troski związane z macierzyństwem, którego mogła nigdy nie doświadczyć. Dopiero dekorowanie pustego pokoju, który w zamiarze miał być pokojem dziecięcym, przywiódł na nowo smutek i gorycz. Z umalowanej farbą uśmiechniętej twarzy stopniowo zniknęło zadowolenie. Jej cera szarzała z dnia na dzień, a żołądek kurczył się, bo nie mogła nic przełknąć. Jednak nadzieja nie umierała.

Odłożyła książkę. Skóra była już silnie pomarszczona od wody. W salonie leciała Edith Piaf, którą uwielbiała puszczać, kiedy Mikołaja nie było w domu. Nie potrafił przekonać się do francuskiej piosenkarki. Dobrze, że przynajmniej zaakceptował Presleya, zawsze to krok do przodu. Jednak ostatnie wydarzenia to znów kilka kroków wstecz.

Siedząc w wannie, przypominała sobie ich wczorajszą kłótnię. Usłyszała jego rozmowę, myślał, że nie ma jej w domu. Migrena nie pozwoliła jej zasnąć, obudziła się, kiedy on jeszcze spał. W pracy wytrzymała tylko dwie godziny, musiała wrócić do domu, kiedy w końcu ktoś mógł ją zastąpić. Mikołaja nie było w domu, kiedy wróciła, ale po kolejnym przebudzeniu się usłyszała na dole ludzkie głosy. Położyła się bezszelestnie na ziemi, aby pozostać niedostrzeżoną z dolnego piętra. Tak też najlepiej słyszała.

- Nie przychodź więcej do mnie do domu, to wyjątkowa sytuacja, chciałem załatwić sprawę do końca, ale nie chcę już czerpać żadnych profitów z waszej sprzedaży. Możecie mi nie

ufać, ale myślę, że żaden z was nie ma wyjścia. Słowo przeciwko słowu.

Drugi facet odezwał się niskim głosem:

- Nie mamy żadnej gwarancji, że nas nie wydasz...

- Ja też nie mam, że nie udowodnicie w sądzie, że byłem waszą pomocą, że brałem od was kupę szmalu w zamian za...

- I źle ci się wiedzie? Widzę, że chatka niczego sobie. Urząd skarbowy się nie interesował?

- Robię wszystko z głową. Może i jestem korupcyjnym dupkiem, ale nie debilem. Ale koniec z tym, nie potrzebuję już więcej profitów. Pomyśl, kto najwięcej straci, jeśli sprawa się wyda. Uszanuj moją decyzję.

Właściciel tubalnego basu opuścił ich dom. Dopiero wtedy Ewa podniosła się z ziemi i oparła o balustradę na schodach. Usłyszał ją i z bijącym sercem podniósł głowę. Dyszała z wściekłości:

- Chcę rozwodu.

- Ewa, wiem, jak to wygląda, wiem, że wszystko słyszałaś, daj mi tylko kilkanaście minut na wyjaśnienia, a potem zrobisz, co chcesz.

Jego opowieść rzeczywiście trwała kilkanaście minut. Uważała go za policjanta z pasją, takiego, który kocha swój zawód i nigdy nie przekroczyłby prawa. W jej wyobrażeniach jawił się jako prawdziwy człowiek honoru. Wszystkie cechy, które mu przypisywała, teraz podawała w wątpliwość. Jaki naprawdę był jej mąż? Czy uczucie między nimi było szczere? Pomyślała, że tego nie potrafiłby ukryć, tak jak ona nie mogła kamuflować się ze swoim szczęściem, mając go przy boku. Prosiła go o kilka dni na zastanowienie się. Ale już teraz, leżąc w letniej wodzie, wiedziała, że jest w stanie mu wybaczyć. Że w tym tkwi „bycie ze sobą na

złe”, które mu przysięgała. Z kina domowego rozbrzmiewała muzyka. Zamknęła oczy, rozkoszując się słowami francuskiej gwiazdy.

*Padam, padam, padam...*

*Il arrive en courant derrière moi*

Nie słyszała niczego innego. Myślami błądziła gdzieś po Lazurowym Wybrzeżu. Pamiętała, jak kazała mu stanąć w kierunku zachodzącego światła. Zdjęcie, które mu wtedy zrobiła, do dziś wisiało na ścianie w pomalowanym na kremowo salonie, tuż obok jej portretu.

*Padam, padam, padam...*

*Il me fait le coup du souviens-toi*

*Padam, padam, padam...*

*C'est un air qui me montre du doigt.*

*Et je traîne après moi comme un drôle d'erreur,*

*Cet air qui sait tout par Coeur.*

Pamiętała ich pierwszą wizytę w Paryżu, widok z hotelu na wieżę Eiffla, croissant, który smakował jak skrawek nieba. To były jej najpiękniejsze urodziny...

*Il dit: „Rappelle-toi tes amours*

*Rappelle-toi puisque c'est ton tour*

*'y a pas d'raison pour qu'tu n'pleures pas*

*Avec tes souvenirs sur les bras...*

Może przygotuje kolację na znak zgody? Tak dawno nie gotowała

specjalnie dla niego. To będzie prawdziwe miłosierdzie z jej strony. Wybaczy mu oszustwo i przygotowuje coś pysznego.

*Et moi je revois ceux qui restent  
Mes vingt ans font battre tambour  
Je vois s'entrebattre des gestes  
Toute la comédie des amours  
Sur cet air qui va toujours...*

Nie słyszała już dalszej części piosenki. Czad ją przyćmił. Godzinę później jej zwęglone ciało na oczach Mikołaja wynosili strażacy.

## Sandra

Pochylona nad umywalką płakała. Znowu. Nie lubiła tej mimowolnej czynności, która z pewnością źle wpływała na jej jakże delikatną skórę wokół oczu i nadwyręzała budżet potrzebny na kolejne kosmetyki do rzęs. Ale przecież to było silniejsze od powtarzanych sobie w myślach „daj spokój, daj spokój”. Tak sobie to tłumaczyła, a więc tak musiało być. Któż zna nas lepiej od nas samych? Czasami wydawało jej się, że płacz stał się jej rutynową czynnością, wręcz konieczną życiową potrzebą, podobnie jak jedzenie czy oddychanie. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Mokre od łez, mocno zaczerwienione oczy, podobnie usta, które wyglądały już na zakrwawione, jakby grała w filmie o wampirach. Ale nie, wtedy nie widziałaaby swojego odbicia w lustrze. Spuściła wodę w toalecie, zakręciła kran, jej jedyny zagłuszacz. Niemiłosiernie bolała ją głowa, jakby neurony wynajęły tam stado miniaturowych dzięciołów, które z chęcią wykonywały swoją pracę.

- Sandra, długo jeszcze? Spieszę się, zaraz muszę wyjść.

- Chwila, mam!

Obmyła szybko twarz zimną wodą. Dla niepoznaki.

- No ile można siedzieć w łazience? Co ty tam robisz? Matce się spieszy, kochanie.

Tata poganiał ją, bo twierdził, że tak wypada robić ojcu, głowie rodziny, ale nie robił tego zbyt natarczywie, Sandra nigdy nie doświadczyła z jego strony przykrości. Wydawał jej się nawet nieco ciapowaty, ale zawsze lubił wcisnąć swoje przysłowiowe

trzy grosze, nawet jeśli działo się coś, co w najmniejszym stopniu go nie dotyczyło. Musiał jednak pokazać, że to on ma władzę, choć robił to w tak zabawny sposób, że ani jego żona, ani córka nie odczuwały, iż to on jest panem domu i wyznacza zasady, obowiązki i prawa każdego z mieszkańców. Raczej jedynie prawa.

Wyszła z łazienki, a mama szybko czmychnęła przed jej nosem. Cięża jej służyła, wyglądała tak kwitnąco. Każdy obstawiał chłopca i okazało się, że mieli rację. Dla Klary Majkowskiej płęć dziecka była zupełnie obojętna, chciała tylko, żeby było zdrowe. I żeby starczyło jej energii, aby je wychować. Nadal pracowała w sklepie, pomagając swojej siostrze w interesach. Nie męczyła się, a pieniędzy potrzebowali. To już ósmy miesiąc. Tak blisko do końca...

Sandra trzymała w sobie wspaniałą dla niej wiadomość i jak najszybciej chciała się nią podzielić.

- Chyba dostanę główną rolę w teatrze! - krzyknęła tak, żeby mama mimo szumu wody ją usłyszała. Jedyna dobra nowina, którą mogła się pochwalić. Nie będzie przecież mówić rodzicom o niespełnionej miłości. Nie traktowała ich jak przyjaciół, mocno selekcjonowała tematy rozmów, które mogłaby z nimi podjąć.

- Naprawdę? Cieszymy się, kochanie.

Widziała w ojcu dumę. Nie potrafił ukrywać żadnych emocji, był w tym tak dziecięco szczery.

- Mama wróci z pracy późno, może babcia przyjdzie do nas na chwilę, nie musisz być w domu, ma klucze do mieszkania.

- A ty gdzie wychodzisz? - Sandra zdziwiła się, że tata w dzień wolny od pracy ma plany inne od leżenia przed czterdziestocalowym telewizorem, który był jego kolejnym powodem do dumy.

- Umówiłem się z kolegami z pracy.

Wypiął pierś do przodu, a słowo „kolegami” mocniej zaakcentował. Z łazienki odezwała się pani Majkowska:

- Tak, córeczko, ja też jestem zaskoczona. Twój tata ma znajomych w prawdziwym życiu!

Roześmiały się we dwie. Majkowski udawał obruszonego, ale i jemu udzielił się nastrój.

- Nawet mam zamiar wypić kilka piw!

- O, tato, uważaj, żeby cię nie musieli wciągać na trzecie piętro!

- Hoho! Dzięki naszej abstynencji wyrosła nam cudowna córka, której nie muszę oglądać rano pod sklepem z papierosem w ręce. A niedługo będzie nam rósł wspaniały syn!

Mama wyszła z łazienki z uśmiechem na twarzy. Cmoknęła ojca w policzek i pogłaskała córkę po głowie. To był ostatni dzień, kiedy była taka szczęśliwa.

Sandra po cichu wyszła z domu, wręcz bezszelestnie zamykając frontowe drzwi. Sztukę wychodzenia o szóstej rano tak, aby nie obudzić żadnego z domowników, opanowała wprost do perfekcji. Dopiero na dworze się rozluźniła, przez cały czas wstrzymywała oddech. Dokładnie sprawdziła, jak co dzień, czy ma dobrze zawiązane sznurowadła, ścisnęła dresy w pasie i naciągnęła nonszalancko kaptur na głowę. Na niebie pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącego deszczu. Z pewnością będzie jej towarzyszył podczas powrotu. Zaczęła truchtem, rozgrzewając uśpione jeszcze ciało, zmuszając stopy do szybszego pokonywania tej samej od paru miesięcy trasy. Mięśnie w łydkach coraz wyraźniej rysowały się pod lekko opaloną skórą, ogoloną tępą maszynką. Starła się dość miarowo oddychać. Słuchawki w uszach już spełniały swoje zadanie, rytmicznie uderzając

w błonę ucha, pobudzając mózg do aktywności. Kroki stawały się coraz szybsze i szybsze, aż w końcu osiągnęły stadium, w którym chciała pozostać, i tym tempem dobiegła do końca dębowego lasu. Pokonała parę kilometrów, co kilka minut jednak przechodząc na chwilę do marszu. W głowie nie pojawiły się inne myśli niż te analizujące tekst piosenki, tworząc obrazy śpiewanych wyrazów.

Uwielbiała biegać. Od kilku miesięcy stało się to jedną z jej największych pasji. Zaczęło się od jednego zdania, które zauważyła na okładce jakiegoś magazynu propagującego zdrowy styl życia: „Jeśli chcesz biegać, przebiegnij kilometr. Jeśli chcesz zmienić swoje życie, przebiegnij maraton”. Trochę ją to ruszyło. Zresztą często jest tak, że poruszają nas rzeczy małe, wydawać by się mogło – zupełnie niepozorne – które mogą sprawić, że potrafimy nieraz rzucić wszystko, całą doczesność, i żyć od nowa. Tak było w jej przypadku. Wydawało jej się, że bieganie otwiera przed nią niemal nowy świat, inny i lepszy. To była prawdziwa odskocznia od codzienności. Kiedy biegała, czuła, że wszystko inne jest jakby obok. W chwili, kiedy ona przebierała nogami, a płuca wręcz nie mogły nadążyć z wymianą powietrza, istniało tylko jej niesamowicie szybko bijące serce i przyjemny ból mięśni. To był ten rodzaj przyjemnego katowania się wysiłkiem fizycznym. Mimo hektolitrowy wylanego potu po każdej godzinnej treningu czuła się tak strasznie szczęśliwa jak gwiazda rocka niesiona przez tłum fanów, wykrzykujących tekst jej piosenki. Gdzieś czytała, że ma to związek z hormonami szczęścia, które są produkowane podczas pracy fizycznej jej organizmu. Jednak nie interesował ją żaden powód – kochała ten stan, jakiegokolwiek byłoby jego źródło. Nieważne zresztą, co robimy i po co, ważne, że daje nam to radość i spokój.



Zmęczona zauważyła niedaleko drewnianą, wysłużoną ławkę. Czas na odpoczynek. Park był ogromny, wielu mieszkańców nazywało go Central Parkiem; kręciło się tu sporo osób. Oddychając głęboko, Sandra zaczęła obserwować ludzi. Kobieta mająca na oko pięćdziesiąt lat. Jej poorana zmarszczkami twarz sugerowała, że prowadziła niezdrowe życie. Dwadzieścia lat palenia papierosów i bujne życie za młodu, ilość kieliszków wódki przegryzanych raz po raz kiszonymi ogórkami bliska granicy dobrego smaku. Co wieczór wino w kubku bez ucha. Z drugiej strony zmierzała kolejna alkoholiczka. Włosy ściągnięte do tyłu tak mocno, że powodowały mały wytrzeszcz. Brud za paznokciami, żyły na ręce, chcące wyrwać się spod skóry. W dłoni wymięta plastikowa reklamówka z podejrzaną zawartością. Minęła młodego chłopaka. Kolczyk w uchu świadczący o luźnym podejściu do życia. Tak luźnym jak jego spodnie. Tarcza zegarka większa od dłoni. Prezent od dziewczyny, droższy niż wszystko inne, co miał na sobie. Znowu zaczęła biec, zrobiła trzy okrążenia, które mocno dały jej w kość.

Zatrzymała się, wciągnęła mocno powietrze i zaczęła masować kolana. Nachyliła się do przodu i szybko odskoczyła jak poparzona. Przed jej stopami w niekobiecy rozmiarze przebiegł ogromny amstaf. Wzdrygnęła się z odrazą. Nienawidziła zwierząt. Denerwowało ją to, że nie potrafią mówić, są jak pasożyty, które trzeba dokarmiać, zabierać do weterynarza, nic nie dostając w zamian. Ani śmiesznego żartu, ani gorzkiej porady.

Zamyśliła się tak bardzo, że nie zauważyła, kiedy obok na ławce usiadła starsza pani z wieloma torbami, z których wystawały najtańsze produkty. Była to sympatycznie wyglądająca kobieta o bielutkich jak czysty śnieg włosach, mocno skręconych, zapewne u zaufanej fryzjerki. Jej poorana zmarszczkami twarz

wyglądała niesamowicie ciepło i zachęcająco. Widząc młodą dziewczynę całą czerwoną na twarzy ze strużką potu ciekącą po niskim czole, podniosła z ziemi ciężką torbę i przesunęła się na kraniec ławki, widocznie ku zadowoleniu dziewczyny. Sandra podziękowała jej szerokim uśmiechem i niemal rzuciła się na zielone drewno, kierując twarz ku niebu i z zamkniętymi oczami łapiąc powietrze.

- Panienska tak musi się męczyć? Taka ładna pogoda, zamiast poleżeć na słończku...

Zdziwiło ją to pytanie wypowiedziane cichym, melodyjnym głosem. Poczowała wstyd ze swojej zbyt nonszalanckiej postawy wobec tak dumnie i elegancko siedzącej obok starszej damy. Głośno odchrząknęła i z lekkim drzeniem w głosie wydukała:

- A tak, lubię tak. Sobie pobiegać.

- A to dobrze, to bardzo dobrze, dziecko. Mój wnuk to siedzi tylko przed tą skrzynią i cały dzień nie widzi światła. Ile można oddychać tymi spalinami? Żeby nawet trochę świeżego powietrza nie zaciągnąć. O Chryste!

Sandra była już przyzwyczajona do takich staruszek, które zawodziły nad młodym pokoleniem i rozwodziły się nad cudownymi czasami zabawy i bez troski bez tej całej niepotrzebnej techniki. Ale instynkt podpowiadał jej, że w tym przypadku jej rozmówczynie wcale nie miała zamiaru dawać jej teraz babcinych porad ani narzekać na nowy świat, w którym przyszło jej żyć.

- Tak, teraz trudno zgonić człowieka sprzed komputera.

- Ja nie uznaję czegoś takiego. - Kobieta pokręciła głową z dezaprobatą.

- Ludziom jest teraz łatwiej w wielu dziedzinach. To naprawdę pomaga w wielu sprawach.

Sandra chciała porozmawiać dłużej z nową znajomą, była

taka ciepła. Ale z pewnością nie o komputerach.

- Tak, na pewno pomaga.

„Nie, tylko nie koniec. Niech ona coś powie”. Chciała posłuchać jej uspokajającego głosu. Mogłaby chociaż zaśpiewać jej piosenkę, opowiedzieć wiersz...

- A wiesz co, słonko?

„Tak!”

- Hmm?

- Ja to sobie tak lubię tu posiedzieć na tej ławeczce. Ona tak tu jedna została. Ja też taka jedna zostałam. Takie jesteśmy. Same.

Sandra głośno przełknęła ślinę. O czym ona mówi? Jest pełno ławeczek, zwłaszcza w tym parku.

- Mówiła pani, że ma wnuka.

Staruszka była w lekkiej zadumie.

- A tak, tak, mam. Mam dwie córki i syna. Każde z nich wzięło ślub i mają po kilkoro dzieci.

- To nie jest pani sama. Ja mam tylko rodziców i brata.

Kobieta uśmiechnęła się. Przeuroczy widok.

- Wiesz, kochanie, można być samemu nawet z taką dużą rodziną. Widzisz tamto drzewo, takie większe wokół tych kilku mniejszych?

Sandra popatrzyła w kierunku wskazywanym jej przez staruszkę.

- Mhm. Co z nim?

- Tam zmarł mój mąż. Dlatego lubię tę ławeczkę, bo jest dokładnie naprzeciwko.

Sandra poczuła się niezręcznie, włoski na jej rękach lekko się uniosły. Chciała posłuchać historii, która z pewnością pochodziła z dawnych czasów.

- Bardzo mi przykro, proszę pani.

- Niepotrzebnie. Taka jest kolej rzeczy. Kiedyś przyjdzie kolej i na mnie.

Myślała, że teraz nie wypada nic mówić. Nie lubiła tematu śmierci. Nawet tej zasłużonej i koniecznej.

- Ale przeżyłam bardzo wiele z Henrykiem. Tak dużo, że mi wystarczy do końca życia. Odszedł, ale zostawił mi trochę zapasów szczęścia i chętnie z nich korzystam. Wiesz, co to jest?

- Nie wiem, proszę pani.

- Wspomnienia, słonko, wspomnienia.

Strasznie, strasznie chciała, żeby ona się tymi wspomnieniami, tym bagażem zapasowego szczęścia podzieliła. Zacisnęła nawet kciuki, jakby miało to zmusić staruszkę do mówienia.

- Pamiętaj, kochanie. Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą. On mądrze to powiedział.

Słyszała to tysiące razy. Zapytała bardzo delikatnie i nieśmiało:

- Jak umarł?

- Dostał zawału.

- Tu w parku?

- Dziwne, prawda? W takim pięknym zielonym parku, który kojarzy się z budzącym życiem, serce mojego męża pękło z żalu.

- Jakiego żalu?

Staruszka spuściła wzrok.

- Okradli nasz sklep. Nie byliśmy ubezpieczeni, straciliśmy wszystko. To było dla niego wszystko, co miał. Szkoda, że nie zabrał mnie ze sobą.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Starsza pani po chwili wstała, jakby zapomniała, że z kimś właśnie rozmawia. Sandra patrzyła

na jej znikającą w oddali sylwetkę z pewnym niedosytem.

Ktoś przysiadł się obok niej. Nie miała ochoty na kolejną rozmowę. Wróciła do domu poćwiczyć dykcję przed jutrzejszymi warsztatami teatralnymi, które dla niej były wszystkim.

Maj w pełnej krasie, pełniejszej od biustu pani naprzeciwko.

Sandra siedziała w pociągu, myśląc o wydarzeniach, które zdawały się następować jedno po drugim, kaskadowo. Przez zabójstwa nie stała się ani nerwowa, ani wystraszona, jedynie uzależniona od nikotyny. Smak papierosa w ustach kojarzył jej się z przyjemnością, z ulatniającym się życiem. Zdawała sobie sprawę, że o wiele bardziej kręciło ją przygotowanie morderstwa niż jego wykonanie. Nie martwiła się o zdemaskowanie, nie czuła na sobie oddechu zdezorientowanych funkcjonariuszy, którzy zachodzili w głowę, jak udało się zatuszować ślady zbrodni wyglądających tak amatorsko. Najpierw znaleźli dziewczynę w starej kostnicy. Zmasakrowana twarz, nie do poznania, reszta nagiego ciała nieruszona. Narzędziem zbrodni prawdopodobnie stał się pilniczek do paznokci. Małe, postrzępione rany. Okazało się, że ofiarą była dwudziestokilkuletnia dziewczyna, absolwentka prawa. Miała spore ambicje życiowe, codziennie piła kawę ze Starbucksa, czasami podając fałszywe imię. Nosila wysoko spięte włosy, na prawej łopatkę miała wytatuowane trzy małe jaskółki.

Kolejne dwie ofiary to narzeczeństwo, na kilka miesięcy przed ślubem. Ona była delikatnie od niego wyższa, dlatego starał się nadrabiać różnicę fryzurą. Nie byli pewni swojego uczucia, ale chcieli wejść w końcu w nowy etap, podążać za trendami, dostosować się do reszty swoich znajomych...

Porzuciła liczby w swoim życiu. Przestała ustawiać budzik na siódmą rano, jak to miała w zwyczaju; wstawała tylko wtedy,

kiedy czuła w kręgosłupie i w okolicy obojczyków nieprzyjemny ból od zbyt długiego leżenia. Nie odmierzała jedzenia, nie patrzyła na kalorie, jadła, aż nadęty brzuch nie pozwalał jej się poruszyć. Nie sprawdzała godzin odjazdów autobusów, czekała, aż jakiś się pojawi. Znienawidziła liczby, znienawidziła porządek, znienawidziła kolejność. Całymi dniami patrzyła tępo przed siebie. Tak mijały jej ostatnio całe dni. Na siedzeniu, ewentualnie leżeniu w najdziwniejszych pozycjach i myśleniu. Myśleniu, myśleniu, myśleniu... Czasami bała się, że jej mózg nie jest w stanie pomieścić aż tylu najdziwniejszych myśli naraz, może się przegrzać jak słabej jakości procesor podczas wycieńczającej pracy przy komputerze. Ale to właśnie jej wyobraźnia wypełniała jej kolejne minuty i godziny, właściwie nadawała sens tym niekończącym się dniom, które powoli zlepiały się w monotonię topiącą się w wymiotach całego świata. Czuła się gorzej od tych, którzy żyją w slumsach i przykrywają się na noc papierami jak najlepszej jakości kołdrą. Ona mogła zmieniać swoje życie, mogła sprawić, żeby było choćby w ósmej części bliskie jej marzeniom - w końcu chcieć to mieć. A ci ze slumsów nie mieli nic, nie mogli nic, byli skazani na odwieczną walkę z głodem i brudem, ich marzeniem było tylko przetrwanie kolejnego dnia. Bez perspektyw na bajeczną przyszłość, która zapewne pojawiała się w sennych marzeniach. Mogła sobie tłumaczyć, że przecież rozważa dwie inne płaszczyzny: nie ma sensu porównywać się do społecznego marginesu, powinna raczej stawiać się gdzieś pomiędzy swoimi. Ale jednak. Ta myśl ciągle nie dawała jej spokoju. Że gdzieś ludzie mają gorzej i nie narzekają. Nie płaczą z byle powodu, nie psują sobie na siłę życia, aby sprawić, żeby chciało się jeszcze mniej. Robią wszystko, aby zyskać choćby namiastkę szczęścia.

Sandra prawie całe dni analizowała wszystko po kolei, potem jeszcze raz i jeszcze. Następnie musiała przypomnieć sobie każdy detal i wyjaśnić jego znaczenie. Myślała też dokładnie, czy aby żadnego z nich nie pominęła. Tak, myślenie to z pewnością jej codzienny rytuał i aktywność, która zajmowała jej najwięcej czasu. Nie była to jednak twórcza czynność - na pewno nie pomagało jej to w rozwiązywaniu logorytmów ani wyznaczaniu prędkości niemieckiego pociągu podczas silnego deszczu. Ten rodzaj myślenia był raczej destruktywny. Nie niszczyło jej ciała (choć można się i tu dopatrywać pewnych złych nawyków - siedzenie pół dnia w jednej pozycji na pewno nie sprzyjało jej zdrowiu), ale kompletnie rujnowało całą jej układankę - składającą się ze wspomnień, szczęśliwych chwil, tych dobrych cech, z których mogła być dumna. Całość sypała się na małe części, wbijające się w płuca, w pofałdowaną powierzchnię mózgu i w wiecznie bijące obie komory serca, nie pozwalając beztrudnie oddychać, prawidłowo i produktywnie myśleć ani odczuwać szczęścia.

Zarzucała sobie lenistwo i brak wytrwałości. Tak jak trzy czwarte innych ludzi.

Wiedziała, że musi wstać w końcu ze zbudowanego przez siebie ze złych wspomnień łóżka i zrzucić z siebie kołdrę uszytą z beznadziejności, załataną żalem i wypełnioną pierzem apatii. Ale przyjęła idee „odjutronizmu”. Tylko że im bliżej było jutra, tym bardziej go przesuwiała na dalszy termin, dając sobie więcej czasu, który i tak będzie zmarnowany i przeżuty jak w gardle psa. Za jedną z niewielu niezamarnowanych chwil uważała wczorajszą rozmowę z Mikołajem. Nieświadomie podsunął jej pomysł na ostatnie zabójstwo. Jednak jej ciągłe myślenie o dokonanych zbrodniach zaczęło w niej wywoływać wyrzuty sumienia. Coraz

większe i większe. Ogarnęła ją histeria. Nie było dla niej ratunku. Nie wyobrażała sobie teraz żyć, jakby nic się nie stało, została po raz kolejny odrzucona. Nie wiedziała, co robi jej mama, która tak rzadko bywała w domu, odkąd spędziła czas w szpitalu, a potem została zabrana przez swoją siostrę. Sandra została w domu, tłumacząc mamie i ciotce, dwóm niemal identycznym siostrom, że chce powoli wrócić do normalności, że zajmie się domem pod nieobecność mamy. Nektar szalał teraz pewnie w mieszkaniu. Mógł zbudzić sąsiadów. Niedługo ucichnie na wieki... Chciała popełnić tylko jedno zabójstwo. Jeszcze jedno. Zdążyła jednak w ciągu trzech dni popełnić jeszcze dwa.

Sandra musiała jak najszybciej porzucić samochód. Chciała go efektownie zniszczyć, wkładając zapalony kawałek papieru do otworu, gdzie wlewa się benzynę, i obserwować, jak auto wybuchna na jej oczach. Zrezygnowała z tego pomysłu. Jej dotychczasowy spokój zastąpiło podenerwowanie. Kiedy usłyszała, jak Barbara zaczyna rozmawiać z Mikołajem, nie zastanawiała się ani trochę. Ruszyła od razu przed siebie, bojąc się, że zostanie złapana. Że straci wolność, na krótko przed swoją ostatnią misją. To musiało być dziś. Wysiadła z samochodu gdzieś na środku polany. Z głośników dobiegała muzyka, słyszała Stinga i jego *Englishman in New York*. Zostawiła kluczyk w stacyjce kradzionego samochodu. Z tego miejsca już widziała budynek, który był jej celem. Zaczęła biec, najszybciej, jak tylko mogła. Bała się, że usłyszy za sobą głos Mikołaja, że chwyci ją za ramię, zatrzyma ją. Przypomniła sobie jego twarz. Wydawał jej się taki potulny, kochany. Chciała jeszcze ten ostatni raz móc się do niego przytulić, pozwolić, żeby łzy kapały na jego wełniany sweter. Zwolniła tempo. Już niedaleko, obdrapany blok był coraz bliżej.



Zacisnęła mocniej pięść. W prawej ręce trzymała jeden klucz. Mimo że już wyprowadziła się stąd prawie dwanaście lat temu, do tej pory trzymała w szkatułce mały kluczyk otwierający kłódkę do piwnicy. Od dwunastu lat żaden z nowych lokatorów nie pomyślał, żeby zmienić zamek.

Myśl o Mikołaju zasmuciła ją. Był dla niej kimś, kogo nie potrafiła trafnie zdefiniować. Traktowała go jak pamiętnik, chciała opowiedzieć mu wszystko, co ją spotkało. O Adamie, o jej miłosnym zawodzie. O tym, jak bardzo obojętna była jej Amanda, z którą tyle przeżyła, jak jednocześnie chciała ratować ich dobrą relację, jak i całkowicie o niej zapomnieć. O jej rodzinnym dramacie, o spotkaniu staruszki w parku, o jej marzeniach o karierze aktorki. Nie mogła być niedyskretna, często gryzła się w język, żeby nie dać się zdemaskować. Był policjantem, a w jego domu mieszkała zabójczyni.

Gdzieś w oddali usłyszała policyjne radiowozy. Już nie było odwrotu. Poczula strach, ale nie chciała dać mu się sparaliżować. Stała zziębnięta przed klatką schodową. Nie zauważyła żadnego mieszkańca, poczuła namiastkę szczęścia. Nikt jej nie przeszkodzi. Weszła do budynku i zbiegła schodami do piwnic. Zielone drzwi wyróżniały się na tle innych. Drżącymi rękami otworzyła kłódkę. Małe zagracone pomieszczenie, mnóstwo niepotrzebnych rupieci. Zdała sobie sprawę, że jest nieprzygotowana. Miała nadzieję, że wszystko, czego potrzebuje, znajdzie się na tych kilku metrach kwadratowych. Po chwili stała na krześle z zaciśniętą pętlą wokół szyi, która drapała jej gardło. Wyobraziła sobie, że naprzeciwko niej stoją Amanda, Adam, szczęśliwi rodzice, mały chłopiec, który mógłby być jej bratem, takim, jakiego sobie zawsze wyobrażała. Pomyślała o pani Julii, o jej opowieści, o jej tęsknocie za mężem, o ich spotkaniu

w parku, o tym, jak bardzo chciała być ze swoim Henrykiem. Sandra jej w tym pomogła. To było jej jedyne morderstwo bez osobistych intencji. Najtrudniejsze ze wszystkich, choć powtarzała sobie, że robi to w słusznej sprawie. Jej wyobraźnia pracowała na wysokich obrotach. Postacie jej najbliższych wydawały się wręcz namacalne, jakby naprawdę znajdowały się w tej samej piwnicy. Pot spływał jej po twarzy.

- Kochani, no to hop!

Stopy zawisnęły dziesięć centymetrów nad ziemią...

## Ostatni

Amanda trzymała w ręku szary pamiętnik. Wszystkie daty były zatarte, jakby Sandra w pewnym momencie nagle zrezygnowała z dat, liczb i kolejności.

*Upadek własnego świata moralności, zburzenie muru swojej godności budowanej całe życie i złamanie zasad, którymi kierowaliśmy się do tej pory. Do pory wybuchu. Przychodzi wybuch – chwila, w której wszystko się wali niemal z samego nieba, chcąc dostać się jeszcze głębiej. Pod ziemię, gdzie nie ma już tego wstydu, palącej nienawiści do samego siebie. Im głębiej, tym bezpieczniej. Warto się zamykać i uciekać?*

*Człowiek całe życie się oszukuje. Wierzy, że wszystko wokół niego się zmieni. Albo że zmieni się on sam. Potrafi naobiecować sobie przysłowiowych gruszek na wierzbie i udawać wiarę w to, że umie dotrzymać wszystkich złożonych sobie w myślach przyrzeczeń. Na początku pojawia się ogromny zapal. Rozpalone wielkie ognisko unoszące się na parę metrów ku niebu. Ale do ogniska nikt nie dokłada nowego drewna. Choć ogień jest piękny i silny, to szybko traci blask, opadając coraz niżej i niżej. W końcu nikt go nie karmi. Dlaczego? Może dlatego, że nie ma czasu. Bo przecież w dzisiejszym świecie tak trudno go znaleźć, właściwie wydaje się, że czas ucieka przez palce, i wszyscy dobrze wiedzą, że nie pomoże przecież wstrzymywanie siłą wskazówek zegara. Ogień wygasa i po polach zostaje rozwiany popiół. Symbol i historia niespełnionych marzeń.*

*Boję się wyjść ze swojej bezpiecznej strefy, zwłaszcza kiedy widzę, jak bardzo niebezpieczne jest wszystko inne. Jestem trochę jak motyl, który nigdy nie wydostanie się ze swojego kokonu, bo wydaje mu się, że zawinięty i nieruszany pozostaje najbezpieczniejszy. Nie chce rozwijać skrzydeł i zachwycać ludzi swoim pięknem, bo w tamtym świecie wszystko jest mordercze. Cóż z tego, że gdzieś żyje się cudownie, skoro tak krótko? I ja też mam taki lęk i wybór - intensywność czy bezpieczeństwo? Życie czy wegetować? Specjaliści od rozwoju osobistego krzyczą: „Żyj! Nie trać chwili!”, a ja szepczę: „Wolę umiarkowany klimat zamiast lawirowania między Arktyką a lasem tropikalnym”.*

*W miłości nie ma skrótów. Trzeba wybrać najdłuższą drogę do celu. Im dłuższa, tym bardziej oczekujemy końca. I tym bardziej doceniamy to, co dostaniemy na mecie. Nic, co łatwo przychodzi, nie jest wartościowe. Najważniejsze w życiu słowa najtrudniej jest powiedzieć. Szkoda, bo to właśnie one są najpiękniejsze.*

Wchodził na górę po trzy schodki. Im był wyżej, tym coraz bardziej podniecały go pracujące mięśnie. Pot lał mu się ciurkiem po plecach, jak spływająca rozkosz. W końcu czuł w pełni swoje ciało i miał świadomość każdego swojego ruchu. Był bliski granicy płaczu, jego wzruszenie nie miało końca. Stał przed dębowymi drzwiami do mieszkania Adama. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo będzie się bał tego spotkania. Rano był pełen nadziei, miał wrażenie, że już wszystko pójdzie po jego myśli. Kilkakrotnie wymyślał pierwsze słowa, które skieruje do swojego przyjaciela. Bo przecież ciągle pozostali przyjaciółmi. Mimo długiej rozłąki, mimo tych wszystkich dni wypełnionych żalem

i obarczaniem się winą. Zapukał stanowczo. Usłyszał kroki. Zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy. Spocona koszulka zaczęła mu przeszkadzać. Klamka powoli się poruszyła.

- Wejdz. - Adam powiedział to tonem tak spokojnym i przyjemnym, jakby wizyta Sebastiana sprawiła mu miłą niespodziankę. Popatrzyli sobie w oczy. W ich spojrzeniach mieszkało zbyt wiele słów, żeby kiedykolwiek je wypowiedzieć. Sebastian wszedł na drżących nogach, ale czuł ogromną ulgę. Czuł się jak oczyszczony. Zaproszenie Adama traktował jako akt wybaczenia.

- Jesteś sam? - zapytał zagadkowym tonem.

- Tak, mama jak zwykle w niedzielę jeździ po najtańszych sklepach. Na jednym końcu miasta wyhaczy łososia w promocji, a potem usłyszy o cebulkach kwiatowych i... - Adam przewrócił oczami w zabawny sposób i obaj się roześmiali. Zrobiło im się bardzo swojsko. Sebastian zrobił ruch, jakby chciał uściskać swojego przyjaciela, ale zatrzymał się. Za wcześnie. Wiedział, że jeszcze nie będą rozmawiali o wypadku. Że dzisiejsze spotkanie potraktują jak jedno z wielu, które miało miejsce przed tą tragedią. Adama jednak wyraźnie korciło, aby poruszyć jakąś kwestię, jedną z tych, która ich podzieliła. Ale miał też na głowie inną niecierpiącą zwłoki sprawę. Chciał jak najszybciej się nią podzielić. Wypuścił głośno powietrze.

- Dobrze, że jesteś. Ostatnie dni to jakaś katastrofa. Ciężko mi się pozbierać, mam taki natłok informacji...

Sebastian na słowa „dobrze, że jesteś” zarumienił się jak mała dziewczynka, która dostała przepiękny komplement.

- Chodzi o Sandrę?

- Taaa, to, co zrobiła, wydaje mi się szalone.

Niewiele wiedział, ale w końcu to był powód jego dzisiejszej

wizyty. Kiedy Adam zadzwonił do niego wczoraj wieczorem, Sebastian rozmasowywał swoją sprawną nogę i cieszył się, że po wypadku i długich spacerach na wózku inwalidzkim w końcu widocznie odzyskiwał dawną formę. Usłyszawszy głos kolegi, cały zeszytniał. Starał się zachować zimną krew i odpowiadać płynnie i wyraźnie, jakby bojąc się, że gdy się zająknie, przyjaciel rzuci słuchawką i ich kontakt znowu przepadnie. Usłyszał wtedy, że...

- Tak, popełniła samobójstwo. To straszne, w końcu to twoja była dziewczyna. Sentyment zostaje.

- Nie chodzi o sentyment. Nie wiesz jeszcze wszystkiego. - Adam powiedział to bardzo tajemniczym głosem. Chciał wywołać dobry efekt. To, czego się dowiedział, wstrząsnęło nim. Sebastian nachylił się, uważając, że tak wypada, i wstrzymał oddech. Adam rozłożył się na kanapie nonszalancko i od razu się głupio poczuł.

- Wczoraj zadzwoniła do mnie policjantka. Na mój prywatny numer. Samobójstwo to jeszcze nic. A raczej to wisienka na torcie.

- Jak to?

Sebastian zaciekał się. Rzadko ktoś nazywa odebranie sobie życia wisienką na torcie. Tak jakby pogrzeb nazwać gwoździem programu zwanego życiem.

- Przyjechałem na komisariat. Myślałem, że to jakieś przesłuchanie. Ze mną było jeszcze kilka innych osób...

Jego przyjaciel uniósł brwi.

- ...w tym twoja Amanda.

- Nie jest moja...

- Tak, tak, wiem, nie jesteście razem długo. Słyszałem przecież co nieco od czasu śmierci Igora.

A jednak. Poruszył tę kwestię, wszedł na teren minowy.

Sebastian nie wiedział, czy rozmowa przejdzie teraz na inne tory, ale bardziej niż wyjaśniać okoliczności wypadku, chciał się dowiedzieć, co Adam usłyszał na komisariacie. Jego lewa noga nagle go mocno zabolęła. Czekał na dalszy potok słów. Adam przełknął ślinę. Myślał, że wspomnienie wypadku wywoła w nim jakieś silne emocje. Kontynuował:

- Razem z tą policjantką był jakiś facet. Były glina, pisali o nim sporo. Na pewno słyszałeś o pożarze...

Sebastian na znak, że zna tę historię, uderzył otwartą dłońią w bolejącą nogę, trochę na wpół świadomie, i syknął z bólu. Adam uniósł krzaczaste brwi.

- Goi się?

- Tak. Jest już lepiej. I co dalej?

Adam również się nachylił i wyglądali w tym momencie jak dwaj bokserzy przed walką mierzący swojego rywala.

- Nie uwierzysz. Do tej pory nie mieści mi się to w głowie. Sandra była tym cichym zabójcą, który najpierw okaleczył dziewczynę pilniczką do paznokci w starej kostnicy, potem porzucił parę ludzi i ułożył w dziwnych pozycjach. No i na koniec ten pies.

- Pies?

- Tak, piękny amstaf. Wabił się Nektor czy jakoś tak. Jego właścicielka też tam była. Cała roztrzęsiona i zapłakana, jakby wybili jej pół rodziny. To był chyba jej jedyny towarzysz. Choć podobno spotykała się z tym policjantem jakiś czas. I podobno on ją uratował przed śmiercią.

Sebastian kręcił głową z niedowierzaniem. Owszem, słyszał wszystkie historie. Znaleźli dziewczynę, nagą, w starej kostnicy, ze zmasakrowaną twarzą, potem parę ludzi, podobno narzeczonych na dwa miesiące przed ślubem. Ona skończyła

z odciętymi genitaliami swojego przyszłego męża w gardle. Ludzie plotkowali o zemście jakiegoś mężczyzny, który musiał być wyjątkowo silny, aby dać radę uprowadzić tych ludzi, i bezwzględny, aby w tak drastyczny sposób zakończyć ich żywot. Nie spodziewali się, że stoi za tym drobna nastolatka, którą znał jako przyjaciółkę swojej byłej dziewczyny. Adam widział w oczach przyjaciela niedowierzanie i czuł nawet lekkie podniecenie. Zawsze lubił opowiadać mu mroźne historie i sprawiać, że nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Nawet teraz, kiedy sprawa dotyczyła jego. Wyjaśniał dalej zeszywniałemu chłopakowi:

- Nie wiem, jak poradziła sobie z amstafem. Wiem, że nie lubiła żadnych zwierząt, bała się ich. Odcięła mu ogon i wysłała w paczce tej Barbarze. Resztę zakopała nad Odrą.

- Nad Odrą?

- Tak, kolejna rzecz, która mi do niej pasuje. Uwielbiała gry słowne. Zgadnij, gdzie popełniła samobójstwo.

Sebastian znowu uderzył ręką w nogę. Tym razem nie zabolęło.

- Nad Sanem!

- Dokładnie. Sandra. San i Odra. Że też połączyła zabawę słowami z tak strasznymi zbrodniami...

- Poczekaj, ale po co was tam ściągnęli? To znaczy ciebie i Amandę. Chcieli wam opowiedzieć o tym w sekrecie?

- No właśnie i tu jest drugie dno... - Adam wziął ogromny haust powietrza. Teraz część, która dotyczyła go bezpośrednio.

- Nie wiedziałem, że była we mnie tak zakochana. Wiesz, związki rozpadają się, potem jakoś puszczasz wszystko w niepamięć. U niej wszystko było świeże. Gdybym wiedział, że tak źle sobie z tym radzi, inaczej bym to rozegrał, wierz mi. Nie chcę, żeby ludzie przeze mnie cierpieli. Nie chciałem, żebyś ty też



cierpiał, uwierz. I tak przecież mocno przeżyłeś to, co cię spotkało.

Znowu poruszył sprawę wypadku. Sebastian czuł, że wielkimi krokami zbliża się ich rozmowa, na którą czekał tak długo. Adam poczuł ulgę, że mu to powiedział, wplatając temat w swoją wypowiedź.

- Nie wiem, czy ktoś wymyślił nazwę dla takiego odstępstwa od normy. Wydaje mi się, że to poważne schorzenie psychiczne.

- O czym ty mówisz?!

- O jej ofiarach. Ci ludzie to zamiennicy.

- Zamiennicy czego?

- Mnie, Amandy, jej brata, który nie zdążył przyjść na świat...

Sebastian zrozumiał. Kiedy usłyszał ponownie imię „Amanda”, lekko go zakłuło. Tyle ich łączyło, a teraz dowiadywał się, że jej przyjaciółka zabiła obcą dziewczynę z myślą o jego byłej dziewczynie. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans na ich ponowne zejście, tym bardziej że dowiedział się o jej nowej sytuacji życiowej. Był u niej w mieszkaniu przy Raławickiej, potem dał jej możliwość przenocowania w ich domku letniskowym za lasem. Bała się rodziców, bała się przede wszystkim ojca, któremu musiała powiedzieć gorzką prawdę, odwlekała chwilę spotkania się z nim. Mimo wszystko bardzo jej współczuł. Pewnie w jej głowie ciągle tkwi teraz myśl, że to mogła być ona...

- Ta para to ty i Kaja?

- Skąd wiesz o Kai?

- Ja też coś tam słyszałem od śmierci Igora.

Adam uśmiechnął się. Czuł, że schodzi z nich całe napięcie. Już widział oczami wyobraźni ich wspólne maratony filmowe przy ociekającej tłuszczem pizzy, stek przekleństw pod adresem przeciwnej drużyny piłkarskiej...

- Nie rozumiałem sam siebie, nie wiedziałem, dlaczego winię ciebie za brak mojego młodszego brata. Lżej było mi zrzucić na kogoś ten ciężar. Trudno nazwać mnie idealnym bratem, bardziej pasuje „gburowaty”. Nie mierzwiłem mu włosów ze śmiechem, gdy coś przekrobał, odpychałem go. Nie chcę teraz gdybać, wmawiać wszystkim dookoła, że gdyby teraz żył, byłibyśmy nierozłączni. Że pokazałbym mu, jak jeździć na deskorolce, żeby przyszpianować, kryłbym go przed rodzicami, kiedy paliłby w piwnicy, pożyczał mu kilka złotych na niezdrowe jedzenie w tajemnicy przed mamą. Nie wiem, jak by było. Pewnie nadal bym go zniechęcał do siebie i przełączał kanały w telewizji. Jego śmierć uświadomiła mi tylko moją chwiejność. Nie ma dla mnie nic stałego i to mnie pcha do przodu.

Sebastian spuścił wzrok. Zaszklily mu się oczy, więc chciał szybko coś powiedzieć, jakby jego wypowiedź miała mu wysuszyć powieki. Adam jednak wstał i usiadł obok niego na kanapie. Przytulili się. Był to ich ostatni tak ckliwy akt. Od tej pory, pomimo jednej bójki i kilku ostrych wymian zdań po alkoholu, trzymali się razem. Jak bracia. Adam przychodził na amatorskie mecze Sebastiana, ten z kolei dopingował Adama w jego karierze lekarza. Pani Roznerska traktowała Sebastiana jak utraconego syna. Nigdy nie miała żalu, że w starym samochodzie, tuż po przeglądzie, znajdował się tej okropnej nocy jej mały Igor i przyjaciel jej starszego syna. To zrządzenie losu, ta chwilowa nieuwaga i mnóstwo niedopracowanych szczegółów. To nie śmierć na życzenie. Modliła się o każdy dobry dzień w przyszłości, zostawiając przeszłość tam, gdzie jej miejsce. W niepamięci.

Grzegorz Suchorowski siedział na samym końcu bogato

zastawionego stołu i czuł się w pełni szczęśliwy, tak bardzo, że bał się, że to uczucie go niedługo opuści. Odsunął na bok wszystkie ponure myśli. Patrzył na swojego ojca, który uśmiechał się bez przerwy, pokazując rząd pięknych zębów, które dopiero co zostały wstawione przez dentystkę poleconą mu przez synową. Tak długo opierał się przed jakimkolwiek zabiegiem wykonywanym przez miastowych. W sprawach zdrowotnych ufał tylko pani Malinowskiej, byłej pielęgniarce, której wiedza medyczna zatrzymała się na początku lat dziewięćdziesiątych. Mimo wszystko jej rady były traktowane śmiertelnie poważnie.

Grill palił się kilka metrów od stołu, mocno obciążony przez różne rodzaje mięs ochoczo wybieranych w hipermarkecie. Lipcowe powietrze było takie świeże i przyjemne. Minęła już fala gorąca, która utrudniała normalne funkcjonowanie i sklejała ubrania nieprzyjemnym potem. Zebrało się wielu bliskich, nagle każdy poczuł ze sobą mocną więź, choć na co dzień każdy toczył swój życiowy garb, a relacje z rodziną kończyły się tylko na plotkach bądź spotkaniach nad kolejną trumną lub parą młodych stojących przy ołtarzu. Jednak wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy i ogromny wysiłek, który podjął Grzegorz, żeby na nowo ich scalić, spowodował, że byli znów razem. Jego siostra z wygoloną głową, z której wystawały pojedyncze włoski. Wielokrotnie chciała przerwać walkę z rakiem, widząc swoje wymiociny w umywalce czy garść blond włosów na szczotce. Było to długie spotkanie, bez wzruszających momentów i urojonych po kryjomu łez. To było spotkanie w okresie jego życia, kiedy nie chciał tracić swojego cennego czasu na emocjonalne bzdety, niedające mu finansowych korzyści. Choroba jego siostry, którą całe dzieciństwo traktował jak swojego młodszego brata, nie oszczędzając jej w ogóle, była mu wtedy tak nie na rękę jak

urodzenie przez jej żonę córki. Córki, która była teraz oczkiem w jego głowie. Którą za tydzień zabierał na dwutygodniowy wypad na Mazury. Córki, która siedziała teraz naprzeciwko rozweselonego Suchorowskiego seniora, z trudem sięgając po cokolwiek ze środka stołu przez jej ogromny brzuch, w którym tworzyło się nowe życie.

- Podaj mi, proszę, ten ciemny chleb, kochanie - siostra Grzegorza zwróciła się do swojego męża, którego rozmiary brzucha mogły śmiało konkurować z ciężowym brzuchem Amandy. Obydwoje dbali o zdrowe odżywianie i nawet na rodzinnym spotkaniu, gdzie każdy odkładał na bok swoje postanowienia, aby przestać zapychać się śmieciowym jedzeniem, i śmiało nakładał sobie kolejną porcję soczystej karkówki, trzymali się kurczowo swoich zasad i przynosili swój prowiant na każdą imprezę, w której dominowało obfite jedzenie.

Amanda popatrzyła kątem oka na ciotkę i wuja, jedną z tych par „na dobre i na złe”. On ze zmartwioną miną podający jej kubek gorącej herbaty, ona dziękująca mu z nawiązką, kiedy już całkowicie wróciły jej siły do życia. Amanda pogłaskała się po brzuchu. Teraz to ten mały, niczego nieświadomy człowieczek będzie jej miłością na dobre i złe. Nie potrzebuje ojca, który okazał się przypadkową przygodą po alkoholowym wyskoku. Dała mu wybór, on to wykorzystał. Patrząc na całą rodzinę, którą właśnie rozbawiła nieporadność babci, czuła, że nie potrzebuje jego zaangażowania. Dziadek widocznie chciał coś powiedzieć, czekając na moment, kiedy wszyscy ucichną. Wykorzystując chwilę ciszy, spojrzął na każdego po kolei i powiedział:

- W końcu jesteśmy razem. Muszę wam powiedzieć, że ta chwila jest dla mnie bardzo ważna. Dopiero co skończyłem siedemdziesiąt pięć lat, myśląc, że już nic mi w życiu nie wyszło.

Modliłem się codziennie za Dorotę, która zachorowała na raka i wiele razy chciała się poddać – popatrzył z łezką w oku na córkę, która trzymała kurczowo kolano swojego męża, równie wzruszonego – ale mimo wszystko dała radę i jest tu z nami, a Bóg obdarował nas wspaniałymi małymi istotkami. – Pobujał wózek dziecięcy, w którym słodko drzemali bliźniacy. Pociągnął głośno nosem. Cała rodzina słuchała w skupieniu, wiedząc, że to nie koniec jego wypowiedzi. – Może i byłem nieco despotyczny i chciałem was na siłę przytrzymać pod dachem, licząc, że wasze domy powstaną gdzieś obok naszego, żebym mógł przychodzić do was i swoimi starczymi rękami pomagać układać cegiełki w waszych kuchniach. Chciałem, żebyście żyli tak jak ja: zaharowani ciężką pracą, obciążeni obowiązkami, zamknięci na miejskie życie. Chciałem was wszystkiego nauczyć, a to wy nauczyliście mnie, jak żyć w tym świecie, który tak poszedł do przodu, kiedy ja się zatrzymałem. Dziękuję ci, synu, że zrezygnowałeś z posady burmistrza, że przyszedłeś do mnie zapłakany, dziękując mi za chwile, które dały ci lekcje życia, przeprasząc za wszystkie niepotrzebne słowa i te długie okresy milczenia. Ja i mama – teraz to on złapał posiwiąłą staruszkę za kolano – tęskniliśmy za naszym małym Grzesiem i za jego uroczą żoną.

Anna uniosła się na krzeselku, usłyszawszy swoje imię, a dziadek Suchorowski wstał.

– I przede wszystkim za ich piękną córeczką, która miała mieć na imię Dominisia, tak jak to sobie zawsze wyobrażałem.

Przez stół przewędrował lekki chichot. Dziadek często wspominał o tym, że kocha imię „Dominika”, które kojarzy mu się z dostojnością. Anna patrzyła na męża jak zakochana nastolatka. Była zachwycona jego przemianą. Teraz cieszyła się, że nie

słuchała porad swoich koleżanek, które na wpół z zazdrości, na wpół z litości namawiały ją do zerwania jakichkolwiek więzi z tym nadpobudliwym histerykiem. Niejedna z nich doświadczyła wybuchu jego agresji i widziała ich jałowe relacje. Anna została bardziej dla świętego spokoju niż z powodu wiary, że coś się zmieni. Dlatego metamorfoza jej męża stanowiła tak przyjemne zaskoczenie i zbudowała w niej pewność, że już tak zostanie. Chciała zbliżyć się z jego rodziną, jednak spotkanie ze swoją odkładała w czasie. To jeszcze poczeka. Każdy z nich musi dojrzeć do poważnych rozmów, do wyrzutów, do gorzkich słów, które w nich siedzą. Teraz patrzyła na swoją córkę, która ze zboląłą miną przyszła do nich siedem miesięcy temu, pokazując im pozytywny test ciążowy. Choć Amanda oczekiwała wybuchu złości, słów, które spowodują lawinę płaczu, otrzymała tylko mocne uściski i przy akompaniamencie słów wsparcia rozczuliła się wraz z ojcem, który w tym samym momencie zdecydował, że to te dwie kobiety są jego całym życiem i nie potrzebuje żadnej aprobaty tłumu i mocnych uścisków dłoni na znak, że świetnie sprawuje się na nowym stanowisku. Nie było mu żal oddać stołek Romańskiemu, któremu wstyd nie pozwalał spojrzeć mu w oczy. Każdy z nich niósł swój bagaż życiowy i chciał odreagować na swój sposób. Amanda pogłaskała jeszcze raz swój brzuch, w którym spokojnie odpoczywał malutki Dominik, nie wiedząc, co go czeka w tym świecie pełnym ludzkich emocji, które mogą prowadzić do katastrofy bądź tak szczęśliwych chwil jak ta.

## EPILOG

Słońce mocno przypalało blond włosy samotnych dziewczyn i z zawziętością chciało wkraść się pod kremy z wysokim filtrem. Mikołaj pewnym krokiem mijał tureckie budki z kebabami, gdzie wąsaty mężczyzna kulejącym polskim namawiał do skosztowania niezapomnianego smaku mięsa. Zręcznie przyspieszał przy stoiskach z kwiatami, nie patrząc na sprzedające staruszki, które ugrzęzły na swoich szmacianych taborecikach i wachlowały się „Życiem Na Gorąco”. Jego pewny chód stanowił całkowitą opozycję do jego rozchwianych myśli. Coś nie dawało mu spokoju. Czuł, że to nie wszystko. Sprawa wydawała się zakończona, co było zagadką, zostało wyjaśnione, a jednak nie mógł odpędzić od siebie jednej myśli. „Więcej, niż musiałam”. Co to mogło oznaczać? Żadna z zabitych kobiet nie była w ciąży. To sprawdził od razu. W zamyśleniu nie zauważył, że ktoś do niego ochoczo macha. W ostatniej chwili dostrzegł ją kątem oka. Barbara. Podeszła do niego nieśmiało, ale z lekkim entuzjazmem.

- Cześć, Mikołaj.

Skinął głową na znak przywitania. Czy na pewno miał ochotę, by zamienić z nią kilka zdań? Nie czuł się zobowiązany do rozmowy. Nie był jej nic winien. Odezwała się ponownie, trochę przygaszona jego brakiem zainteresowania:

- Wiem, że jest ci...

- Ciężko? Że mogę czuć się zagubiony? Nie potrzebuję żadnych głupich frazesów. Nie musisz się wysilać, pocieszać i oferować pomocy.

Stała jak wryta, zaskoczona tak oschłą odpowiedzią.

Mikołaj zmrużył oczy i kontynuował:

- Będziemy się mijać, być może często, mieszkamy w tej samej dzielnicy. Wróciłem już na stałe. Może będziemy na siebie wpadać kilka razy dziennie. Nie musisz się ze mną witać, nie musisz się uśmiechać, nie musisz do mnie machać, nie jesteśmy dla siebie nikim ważnym, nie traćmy więc czasu na pustą znajomość bez przyszłości.

Coś zaczęło w niej buzować, chciała powiedzieć zbyt wiele rzeczy naraz. Z mocno bijącym sercem odrzekła podniesionym głosem:

- Tak zachowują się dobrzy ludzie, Mikołaj! Są dla siebie mili. Jesteś mi winien przeprosiny, tylko tego od ciebie oczekuję, ale ty jesteś zimnym, oschłym czubem, który...

Nie słyszał reszty zdania. Słowo „zimnym” zabrzęczało mu w uszach. Przypominały mu się znowu napisy na podłodze. „A ciebie znam, milutka,/ Ale dam ci tylko zimny koniec”.

Czuł, że wie, co zastanie w piwnicy swojego domu. Szybki marsz przerodził się w bieg. Zasapany wleciał do domu i jak najszybciej pomknął schodami w dół. Z bijącym sercem, z kropelkami potu otworzył zamrażalkę. Wciągnął mocno powietrze.

Na szyi starszej pani wisiała zamrożona kartka: „Oby tam czekał na ciebie Henryk”.



Szpital psychiatryczny przyjął nową pacjentkę. Klara Majkowska, która w wyniku poronienia straciła syna oraz zabiła swojego męża, który zaatakował ją pod wpływem alkoholu. Jej jedyna córka popełniła samobójstwo, mając na koncie kilka zabójstw, udowodnionych przez podkomisarz Marię Wener i jej przyjaciela, byłego funkcjonariusza policji, Mikołaja Nasteckiego.

Uwaga! Zaginął mój dziadek. Ostatnio widziano go tydzień temu. Pracował w antykwariacie, nosi okulary – połówki, jest bardzo inteligentny, w pełni zdrowy i świadomy. Jeśli ktoś go widział, proszę o kontakt. Nazywa się Tadeusz Kazimierski.

Zapowiedź pierwsza – w związek małżeński mają zamiar wstąpić – Mikołaj Nastecki, kawaler z parafii śś. Piotra i Pawła w Małobrzegu, i Maria Wener, panna z parafii tutejszej.

Burmistrz miasta w pierwszym tak szczerym wywiadzie o swoim synu:

„Rzeczą ludzką jest błędzić...”

Jak życie więzienne syna wpływa na jego relacje z ojcem.

– Ja, Amanda Stanisława, biorę sobie ciebie, Sebastianie, za męża i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy święci.

„Tylko u nas! Niesamowita historia kobiety, która przeżyła piekło, a dziś jest szczęśliwą mamą prowadzącą schronisko dla porzuconych psów. Poznajcie Basię, naszą superbohaterkę!”

*Histeria*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-890-1

© Magdalena Cieślik i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Łukasz Zdancewicz

KOREKTA: Katarzyna Kusojć

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

